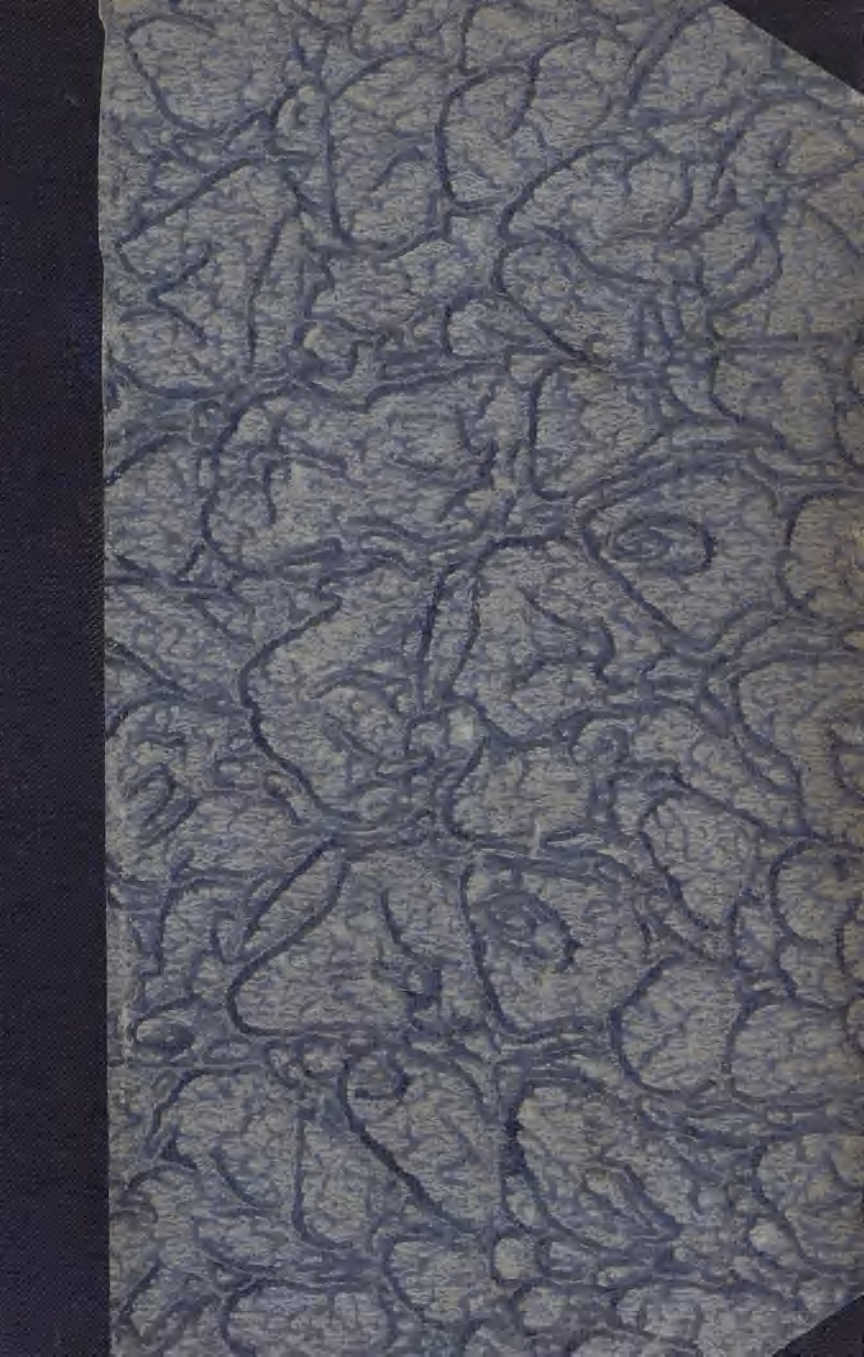
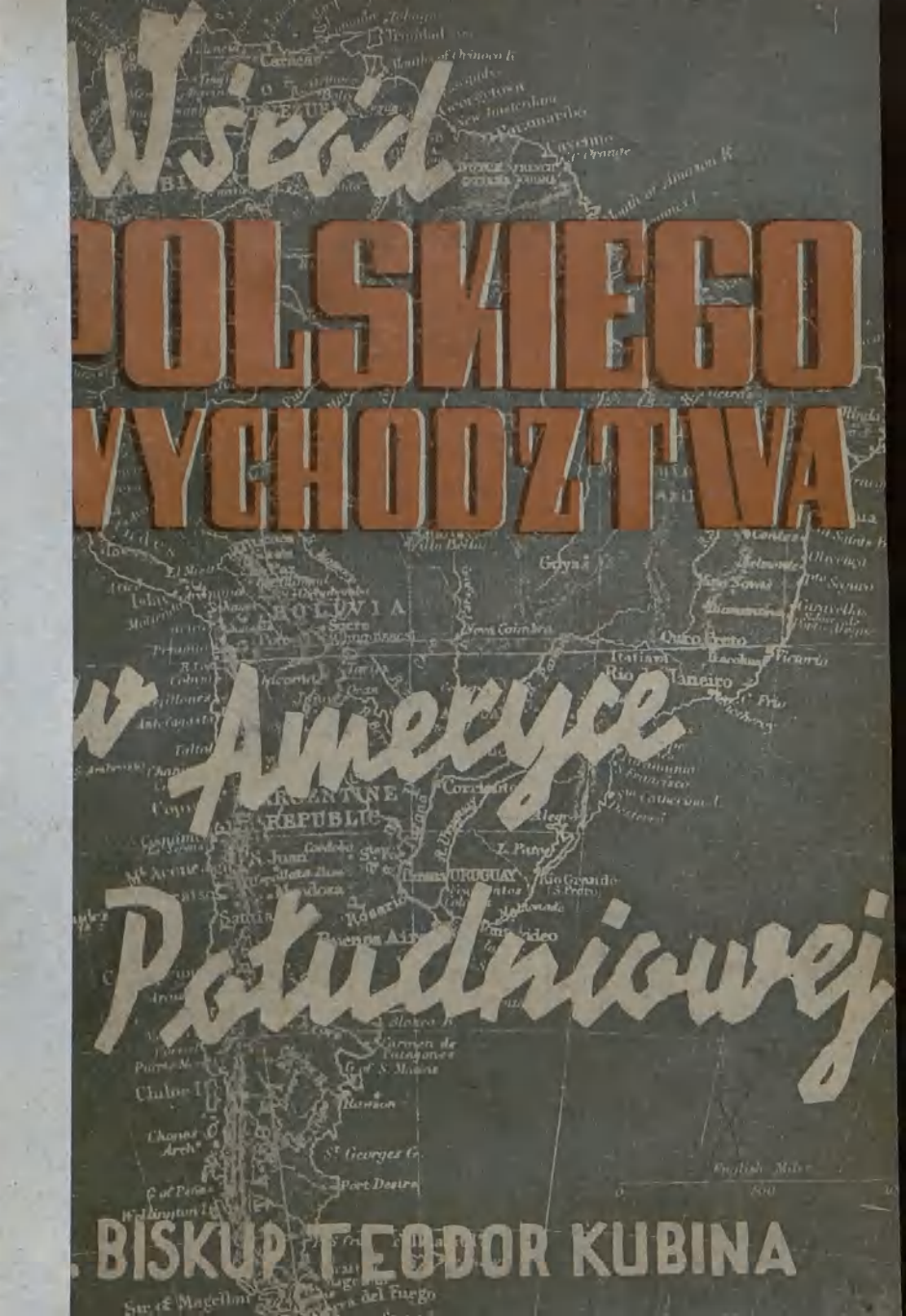






Wśród POLSKIEGO WYCHODZTWA

Ameryce Południowej

BISKUP TEODOR KUBINA

162 163

WŚRÓD
POLSKIEGO WYCHODZTWA
W AMERYCE POŁUDNIOWEJ

DRUKIEM SEMINARIUM ZAGRANICZNEGO
POTULICE, p. NAKŁO N., NOTECIA, (POM.)

X. BISKUP DR TEODOR KUBINA

**Wśród
Polskiego Wychodźstwa
w Ameryce Południowej**

1938

POTULICE

NAKŁADEM SEMINARIUM ZAGRANICZNEGO

162 30/163

9266

482572
I

t. Gór kowa
Bytom, Chrobrego 7/5
6.11.63. 30,-



Słowo wstępne

Listy te, przeważnie pisane naprędce, w krótkich, wolnych chwilach, które mi pozostawiła moja praca apostołska, złożyły się w całości na dość obszerny i — jak sądzę — dość dokładny i ciekawy obraz życia i pracy naszego wychodźstwa w tych zamorskich egzotycznych krajach.

Zachęcony z różnych stron, zdecydowałem się wydać zbiór tych listów, lub raczej artykułów, jako książkę, sądząc sam, iż rzecz ta, jak zainteresowała moich diecezjan, może również zainteresować szersze koła naszego społeczeństwa, tak w kraju, jak i zagranicą, a szczególnie drogich rodaków w Ameryce Południowej, którzy niewątpliwie bardzo radziby się dowiedzieć, jakie wrażenia odniósł Biskup Częstochowski ze swej pielgrzymki poprzez ich osiedla.

Zaznaczam przy tym, że książka ta nie ma charakteru naukowego, ani też literackiego; na to już z braku czasu silić się nie mogłem. Nie mniej sądzę, że materiał w niej zawarty, oraz spostrzeżenia i uwagi tu wypowiedziane, nie są bez wartości dla oświecenia tak ważnej dla Polski sprawy naszego wychodźstwa w Ameryce Południowej, jak i całej w ogóle naszej emigracji na szerokim świecie.

Osiem milionów Polaków, czyli czwarta część narodu rozproszona w mniejszych lub większych skupiskach na obczyźnie — to zagadnienie, które jak najżywiej zainteresować powinno każdego Polaka; to sprawa ogólnopolska, a równocześnie także sprawa katolicka, gdyż w olbrzymiej swej większości nasze wychodźstwo jest katolickie. Wiara Ojców stanowi dla niego obok miłości do „starego Kraju“ największą siłę życiową.

Nie od rzeczy będzie jeszcze zaznaczyć, że wydając tę książkę z góry trzy lata po okresie, w którym pisałem listy czy artykuły, na nią się składające, nie uwzględniłem różnych ważnych zmian i wydarzeń, jakie tymczasem zaszły w niektórych krajach, przez które prowadziła nasza podróż, jak w Brazylii i Hiszpanii.

Autor.

1. *Na falach*

Morza Śródziemnego i Atlantyku

Jutro, dnia 26 września 1934 r., nasz dzielny okręt „Oceania“ zawinie do portu Almeria — ostatniego, na swej drodze z Triestu do Buenos Aires, portu Europy na południowym brzegu Hiszpanii — zanim przez cieśninę Gibraltaru wypłynie na szeroki ocean, dzielący Europę od Ameryki. Jest to ostatnia okazja, by jeszcze z Europy, przesłać Wam, drodzy Diecezjanie, kilka krótkich wiadomości oraz najserdeczniejsze pozdrowienia.

Myśl moja wciąż biegnie ku Wam. Ani wielkie morze, ani góry wysokie, wznoszące się w blasku słońca na dalekich wybrzeżach, ani słoneczne dni czy księżycowe noce, ani wspaniałe miasta i porty, w których się zatrzymujemy, ani międzynarodowe towarzystwo, w jakim się obracam na przepięknym statku — nie mogą oderwać serca mego od drogiej mi diecezji. Wciąż o Was myślę, wciąż troska o Was niepokoi mnie. Pociesza i uspaka mnie poniekąd jedynie myśl, że wyruszając z diecezji w tak daleką i długą podróż, nie czynię tego dla własnej przyjemności, lecz dla wielkiej i świętej sprawy, katolickiej i polskiej.

Wszak jadę na Powszechny Kongres Eucharystyczny. Odbędzie się on w tym roku w dniach od 10 do 14 października w Buenos Aires, stolicy Argentyny, w Południowej Ameryce. Zjadą się tam przedstawiciele wszystkich narodów całego świata, aby oddać królewski hołd Chrystusowi Eucharystycznemu — Królowi świata. Niepodobna, żeby przy tej wszechświatowej manifestacji wiary zabrakło przedstawicieli katolickiego narodu polskiego, żeby na tym zjeździe, na którym zabiorą głos najróżniejsze narody, nie odezwał się także głos Polski. Wielka to i święta misja. To sobie powiedziałem i dlatego zdecydowałem się na tę daleką podróż. Nie jadę zresztą sam, ale jako członek małej grupy polskiej, na której czele stoi Jego Eminencja X. Kardynał Hlond, Prymas Polski. Poza tym należą do naszej grupy księża biskupi: Okoniewski z Pelplina i Radoński z Włocławka, kilku księży, kilku panów i jedna pani, razem 11 przedstawicieli Polski.

Tym chętniej zdecydowałem się na tę podróż na Kongres, że mogłem przy tej okazji spełnić jeszcze inną, niemniej ważną misję. Korzystając bowiem z mego pobytu w Argentynie, mogłem odwiedzić nasze polskie wychodźstwo, które w tym i innych państwach Ameryki Południowej osiedliło się w liczbie około 300.000, aby mu zanieść pozdrowienie ze Starego Kraju, aby w nim odświeżyć wiarę Ojców i miłość do Oj-

czynny, aby je upewnić, że ani morze, ani góry nie mogą nas oddzielić od niego, ale, że stanowimy jedną wielką rodzinę polską, gdziekolwiek się znajdujemy na świecie.

Podobną misję spełniałem już kilkakrotnie, odwiedzając naszych rodaków w Stanach Zjednoczonych w Ameryce Północnej, we Francji, Holandii, Belgii i Danii. Z własnego więc doświadczenia wiedziałem, co takie odwiedzenie przez biskupa ze Starego Kraju znaczy dla naszych braci, rozproszonych na szerokim świecie. Jest to zaprawdę wielka i święta misja. Dlatego też, gdy odpowiednie czynniki zaproponowały mi, abym, korzystając z Powszechnego Kongresu Eucharystycznego w Ameryce Południowej, odwiedził przebywające tam nasze wychodźstwo — nie wahałem się długo nad podjęciem tej misji.

Oto powody, które skłoniły mnie do tej wyprawy przez ocean do nowego świata. Podróż to daleka i długa, bo trwająca około 20 dni samym morzem, ale jak dotąd przynajmniej była ona niezmiernie przyjemną.

Wyjechaliśmy we czwartek, 20 września, z Triestu, przy niepomyślnej pogodzie, padał bowiem gęsty deszcz i niebo było silnie zachmurzone. Nasz okręt „Oceania“ płynął jednak po falach Adriatyku równo i spokojnie. Dopiero gdyśmy się przybliżali do cieśniny między lądem

italskim a między wyspą Sycylią, powstała groźna burza. Zdawało się, że błyskawice rozrywają niebo, że rzucają ogniem na nasz statek. Ale „Oceania“ trzymała się dzielnie, i bezpiecznie przeprowadziła nas przez rozburzone fale tej słynnej cieśniny. Pogoda zmieniła się na szczęście wkrótce i już w sobotę, gdyśmy się zatrzymali w Neapolu, świeciło słońce pełnym blaskiem. Przepędziliśmy w tym wielkim i ciekawym mieście kilka godzin, rozkoszując się precudnymi widokami, jakie się roztaczały przed nami z wyżyny klasztoru św. Marcina i słynnej pustelni na wzgórzu Camaldoli. Wstąpiliśmy również do katedry, gdzie staliśmy się świadkami cudu św. Januarego, cudu powtarzającego się co rok podczas oktawy święta tego wielkiego biskupa — męczennika. Widzieliśmy, jak jego krew, przelana za wiarę setki lat temu, a obecnie przechowywana troskliwie w małej ampułce w stanie zeschnięcia, znowu stała się płynną, żywą i świeżą. W Camaldoli, ku naszej wielkiej radości, spotkaliśmy jednego księdza i trzech braciszków Polaków, którzy stale przebywają w tym może najpiękniej położonym klasztorze na świecie.

Z Neapolu zawiozła nas „Oceania“ do Cannes, na francuskiej Rivierze. Była to niedziela, dzień naprawdę boży, pełen światła i jasności. To też i w duszach naszych panował prawdziwie niedzielny nastrój. Patrząc na te cuda boże, jakimi są góry i morze, słońce i powietrze, wyspy

i lasy, drzewa i kwiaty, wciąż z serca na usta napływały nam słowa psalmisty: „Laudate Dominum omnes gentes“ — „Chwalcie Boga wszystkie narody, morze i góry chwalcie Pana“!

I chwaliliśmy Pana. Na okręcie odprawiona została uroczysta suma, łącząc nas w dziękczynnej i błagalnej modlitwie do Boga z przedstawicielami różnych narodów, jakich spotkaliśmy na statku, podobnie jak my udających się na Kongres do Buenos Aires.

Piękna pogoda trwała nadal, gdy zatrzymaliśmy się na kilka godzin w wielkim porcie hiszpańskim — w Barcelonie. Jest to największe miasto w Hiszpanii, bogate i ruchliwe, ale i niespokojne. Wciąż panują tu strajki, rewolucje, powstania. Widocznie, że i pod pięknym niebem, jakie rozpina się nad tym miastem, człowiek nie znajduje szczęścia i spokoju ale wciąż szuka czegoś lepszego. I szukać tak będzie wszędzie na świecie, aż do śmierci. Taki już jest los człowieka, dopóki żyje na tej ziemi. Bo stworzony — jak mówi wielki filozof i biskup, św. Augustyn — dla Boga, dla nieba i wieczności, żyje i żyć będzie w niepokoju serca, dopóki nie złączy się ono z Bogiem, który jest źródłem wszelkiego szczęścia i spokoju.

Ten niepokój jest i we mnie, choć przeżywam tak wielkie i tak piękne chwile, choć mogę pa-

trzeć na tak wielkie cuda boże, choć w imię boże wyruszyłem w tę wielką podróż. Szczególnie niepokój ten ogarnia mnie wieczorami, kiedy słońce jakby utonęło już w morzu, a ciemność skryła wciąż jednostajnie poruszające się fale morskie. Znikają wtedy z oczu i myśli człowieka wszelkie różnice i granice. Nieskończoność, pełna tajemnic i grozy, wylania się z morza i wnika w duszę. Jakże małym czuje się wówczas człowiek, jak bezsilnym i skazanym we wszystkim na miłosierdzie Tego, który jest Panem ziemi i morza! Nigdy modlitwa nie płynie szczerzej i pokorniej z serca, jak właśnie podczas takich nocy na bezbrzeżnym oceanie.

W Almerii okręt nasz zatrzymał się przeszło 10 godzin, by załadować tysiące skrzyń z winogronami, przeznaczonymi dla Brazylii. Mieliśmy więc dosyć czasu, aby zwiedzić to stare i ciekawe miasto, aby wstąpić do jego wspaniałej katedry i innych kościołów, podziwiać potężne ruiny arabskich zamków, wznoszące się na otaczających miasto nagich czerwonoszarych skałach, przyjrzeć się barwnemu, ruchliwemu i krzykliwemu życiu na ulicach i w porcie. Almeria — to już, zdaje się — nie Europa, ale raczej Afryka.

Wyjechaliśmy z Almerii jeszcze w pełnym słońcu. Wnet jednak nastał zmierzch i ciemność fioletowa okryła morze i wybrzeża. Szkoda, bo wskutek tego przepłynęliśmy słynną cieśninę Gi-

braltar, dzielącą Europę od Afryki, a łączącą morze Śródziemne z Atlantykiem, wśród ciemnej nocy. Zostaliśmy wskutek tego pozbawieni jednego z najciekawszych widoków i jednego z największych wrażeń, jakie człowiek odnieść musi, gdy szczęśliwy los go zaprowadzi na ten może najważniejszy punkt na kuli ziemskiej.

Gdy obudziłem się następnego dnia rano, statek nasz znajdował się już na pełnym oceanie; daleko za nami już pozostała Europa, a jeszcze dalej przed nami leżał ten nowy świat, do którego nasz statek miał nas zawieść.

Płyniemy przez Atlantyk już dziewięć dni bez przerwy, bez przystanku; każdego dnia nasza dzielna „Oceania“ robi mniej więcej 850 kilometrów, a dopiero jutro rano — 5 października — przybije znowu do lądu, już na ziemi Południowej Ameryki, w wielkim brazylijskim mieście portowym Rio de Janeiro

Dziwne to uczucie, jakie wywołuje w człowieku tak długa podróż przez wielki ocean. Zdawałoby się, że powinien się nudzić. Wszak przez cały ten czas, nie widzi nic przed sobą, jak daleko oko sięga, tylko morze i nad nim wznoszące się, jakby olbrzymia kopuła, niebo. Rzadko mija nas jakiś okręt. Wyspy Kanaryjskie i wyspy przy Kap Verde, które leżą na naszej drodze, to tylko jakby krótki odpoczynek dla oka, to tylko jakby w skałę przemienione, „nieruchomione fale na bezbrzeżnym, wciąż ru-

chomym morzu. Od czasu do czasu, szczególnie w rannych godzinach, już blisko równika, widać latające ryby. Wznoszą się one ze wzburzonych około okrętu fal i fruują kilka metrów nad wodą, podobne do jaskółek. Poza tym zdaje się nie jednostajności morza nie przerywa. A jednak ta jednostajność nie nudzi, przeciwnie wciąż podnieca i niepokoi człowieka, wciąż wywołuje w nim nowe wrażenia, wciąż narzuca mu nowe myśli. Bo w samej rzeczy ta jednostajność morza jest tylko pozorną. Nie ma żywiołu zmienniejszego niż morze. Inaczej wygląda przy jaskrawym świetle słońca, inaczej przy łagodnym blasku księżyca, inaczej, gdy niebo jest jasne i czyste, inaczej gdy zachmurzone. Wciąż zmieniają się jego kolory, wciąż inaczej kształtują się jego fale.

Są pory dnia, w których jest gładkie, spokojne jak staw, z lekkimi tylko zmarszczkami na swym pogodnym obliczu. Ale są znów pory, w których szaleje, miota się, tworzy płynne góry i przepaści, grozi pochłonięciem wszystkiego w swym niezgłębnym, wzburzonym łonie. Wiecznie to samo, a przecież wciąż inne; stąd też nigdy nie nudzi. Można mu się przyglądać godzinami, dniami, tygodniami, zawsze jest interesujące, wciąż nowe odsłania człowiekowi tajemnice, wciąż nowe zadaje mu zagadki i nowe wytwarza w nim nastroje. Nigdzie człowiek nie czuje się bliżej Boga, nigdzie nie odczuwa głębiej Jego wszechmocy, Jego wielkości i nieograniczoności, Jego

dobroci, ale też i Jego majestatu. Nigdzie zapewne te przymioty Boga nie odzwierciedlają się wierniej, jak właśnie w obliczu morza, tego wspa-
niałego dzieła twórczej Jego mocy. Zdaje się, że i ono jest wieczne i nieograniczone, niezależne od czasów i granic, niezależne od człowieka i jego namiętności. Jest w nim majestat boży, Jego siła i potęga. Jest w nim dobroć Jego i miłosierdzie. Bo dobre jest morze. Nie dzieli ono ludzi, ale łączy ich, niosąc ich cierpliwie na swoich potężnych barkach od kontynentu do kontynentu, aby się lepiej poznali, bardziej pokochali i więcej ze sobą współpracowali na chwałę bożą, którą morze bezustannie głosi.

Dlatego też nasz Boski Zbawiciel tak kochał morze, dlatego z uczniami swoimi tak chętnie przebywał nad morzem Galilejskim. Tam, w obliczu jego, rad głosił im wieczne prawdy, gdyż wiedział, że tam lepiej niż gdzie indziej mogą je zrozumieć. Tam też wyrosła w ich duszach wiara w Jego boskie siły. Wszak tam mogli na własne oczy stwierdzić, że nawet morze Mu służy, słucha Go i poddaje się Jemu jako swemu Panu. A któż może być panem morza, jeżeli nie Bóg?... W ten sposób morze Galilejskie stało się dla apostołów szkołą wiary.

Taką szkołą morze zawsze było, jest i będzie dla każdego, kto ma oczy i uszy, serce i mózg otwarte, kto w tej szkole bożej chce się uczyć.

Podobnie i my wciąż się w tej szkole uczymy. I z nami też jest nasz Boski Mistrz. Ukryty w Przenajśw. Sakramencie w miłej, małej kapliczce, znajdującej się na statku, płynie On z nami przez ocean, jak niegdyś płynął ze swoimi apostołami przez morze Galilejskie. I dobrze nam jest przy Nim. Widocznie czuwa On nad nami i naszym statkiem. Dotąd jeszcze nie mieliśmy na Atlantyku żadnej groźniejszej burzy. Morze jest przeważnie spokojne, niebo jasne, powietrze ciepłe, pełne słońca. Statek nasz płynie równo. Niepotrzebnie obawialiśmy się nieznośnych upałów w strefie pod równikiem. Widocznie mieliśmy szczęście, bo wcale nam nie dokuczały. Było zaledwie trochę cieplej, niż u nas w pełni lata. Czas przechodzi nam szybko, choć pozornie dzień staje się coraz dłuższy. Już w Hiszpanii musieliśmy nasze zegarki cofnąć wstecz o jedną godzinę a odtąd cofamy je każdego dnia o 20 minut. W ten sposób dziś, gdy te słowa piszę, w dniu 4 października, zyskaliśmy już przeszło 4 godziny. Gdy tu mniej więcej o 7 godzinie słońce zachodzi, to tam w Polsce już zbliża się północ. Niestety w powrotnej drodze do Europy ten uzyskany czas będzie trzeba znowu utracić, wtedy dzień stanie się dla nas krótszym, czas szybciej popłynie.

Płynąc po tej niezmiernej pustyni morskiej, nie jesteśmy, jakby się zdawało, całkiem odłączeni od ludzkiego świata. Łączy nas z nim ra-

dio. Za pomocą tego przedziwnego wynalazku codziennie dowiadujemy się, co się dzieje na świecie i możemy się porozumieć ze wszystkimi krajami i ludźmi. Przez radio nasza polska grupa z Kardynałem Prymasem na czele złożyła hołd Jego Eminencji Kardynałowi Pacelli'emu, który jako legat papieski kilkaset mil za nami na innym statku również płynął na Kongres do Buenos Aires. Przez radio dowiedzieliśmy się o wielkiej katastrofie kolejowej, która wydarzyła się pod Krakowem. Przez radio witali nas na pełnym morzu przedstawiciele naszego państwa w Buenos Aires, w Argentynie, i w Rio de Janeiro, w Brazylii. Radio też umożliwiło wydawanie codziennej drukowanej gazety na okręcie z najświeższymi wiadomościami.

Życie na okręcie jest bardzo urozmaicone. Na nudy nie ma czasu. W porannych godzinach odprawiamy Mszę świętą, a wieczorem zbieramy się na nabożeństwo różańcowe, w niedzielę zaś na uroczystą sumę z kazaniem. Głęboko wzruszające było nabożeństwo żałobne, które zostało odprawione na pokładzie w obliczu oceanu za tych, którzy zginęli na morzu i w jego głębiach znaleźli samotny grób. Po żałobnej Mszy św. zaśpiewaliśmy smętne, ale pełne wiary w zmartwychwstanie „Libera me“, biskup celebrujący pokropił morze i rzucił w jego fale wieniec. Prawie co dzień odbywają się konferencje religijne w celu przygotowania nas na Kongres Eucharystyczny.

styczny. Przy nadarzającej się okazji urządza się uroczyste obchody.

Tak obchodziliśmy urodziny córki następcy króla włoskiego, o czym doniosło nam radio. Statek nasz należy do włoskiego towarzystwa i ma przeważnie włoskich pasażerów. Dlatego też urządzono tę uroczystość z wielką okazałością. Odbyła się uroczysta Msza św., odprawiona przez włoskiego arcybiskupa, było kazanie, były przemówienia, a przy obiedzie galowym podano nam włoskie wino szampańskie. Inny charakter miała uroczystość, którą urządzono przy przepłynięciu przez równik, który, jak wiadomo, oddziela północną półkulę ziemi od południowej. Według starego marynarskiego zwyczaju odbył się wtedy „chrzest“ tych, którzy po raz pierwszy przepływali tę linię. Było przy tym dużo krzyku i hałasu, wesołości i radości. Po obiedzie i po kolacji odbywają się co dzień koncerty z wyborową muzyką. Dwa wielkie baseny, znajdujące się na statku, umożliwiają tym, którzy to lubią, kąpiel morską, a sala gimnastyczna ćwiczenia sportowe. Jest też na statku kino, które dwa razy dziennie urządza przedstawienia.

Przeważnie jednak wszyscy całymi godzinami wylegają się na wygodnych leżakach, poddając się błogiemu działaniu słońca i wiatru morskiego.

Najpiękniejsze godziny dla mnie to godziny wieczorne, gdy słońce już zaszło, a na niebie ukazy-

wać się poczynają gwiazdy, inne niż u nas. Wtedy z gwaru hotelowego, jaki panuje w salonach okrętu, uciekam na najwyższy pokład statku, gdzie nikogo już nie ma o tej porze. Tam przepędzam całe godziny, wsłuchując się w szum fal, wpatrując się w przedziwne konstelacje gwiazd, rozważając głębokie tajemnice tropikalnej nocy na wielkim oceanie.

2. *Z Rio de Janeiro do Buenos Aires*

Po prawie 10-dniowej nieprzerwanej podróży na falach oceanu, stęsknione już za zmianą oczy nasze nareszcie znów ujrzały ląd stały. Wczesnym rankiem, w dniu 5 października, okręt nasz zawinął do portu Rio de Janeiro, stolicy Brazylii, na kontynencie Ameryki Południowej. Nowy, nieznany świat otworzył się przed nami.

A otworzył się odrazu w całym przepychu swej egzotycznej piękności. Rio de Janeiro uchodzi za najpiękniejsze miasto na całym świecie. Tak jest rzeczywiście. Mogę to dziś potwierdzić z własnego doświadczenia. Widziałem już wszystkie prawie wielkie miasta, które słyną z piękności. Widziałem Neapol pod cudnym włoskim niebem z dymiącym nad nim i nad jego zatoką groźnym Wezuwiuszem. Widziałem Konstantynopol z jego strzelistymi minaretami, odbijającymi się w falach Złotego Rogu. Widziałem Budapeszt z jego pałacami, kościołami i innymi wspaniałymi gmachami, ciągnącymi się barwnym pasmem po obu stronach szerokiego Dunaju. Widziałem Salzburg z jego starym zamkiem na wysokiej skale i czarujące góry, szero-



Powitanie pielgrzymki polskiej w porcie Rio de Janeiro.



Wśród Polaków w Posadas

kim półkołem otaczające ten prastary gród. Widziałem Paryż i stolice innych państw, które nie tyle przyrodzie, jak te wspomniane miejscowości, ile raczej geniuszowi ludzkiemu i twórczej ludzkiej pracy zawdzięczają swój urok. Ale Rio de Janeiro pięknnością swą przewyższa wszystko to, co dotąd widziałem. Zdaje się, jakoby owe różne czynniki, które stanowią specjalny urok tych miast, tu, w Rio de Janeiro, złączyły się, aby, uzupełniając się nawzajem, stworzyły wspólnym wysiłkiem to najpiękniejsze miasto na świecie: morze i góry, niebo i ziemia, słońce i powietrze, przyroda i cywilizacja.

Nie dziw, że aż oniemieliśmy z zachwyty, gdy po wjeździe z pełnego morza przez wąską cieśninę o górzystych brzegach w szeroką zatokę, podobną do ujścia wielkiej rzeki, roztoczył się przed naszymi oczami widok na ten istny raj ziemski. W promieniach wschodzącego właśnie słońca zatoka mieniła się wszystkimi kolorami tęczy. Z poruszających się z lekka fal wynurzały się liczne wyspy i wysepki, niektóre z nich gęsto zabudowane, a przy tym tonące w egzotycznej zieleni, inne znów skaliste, nagie, bezludne. Ostrożnie lawirując między nimi, oraz licznymi statkami, dążącymi w najrozmaitszych kierunkach, nasza „Oceania“ powoli przybliżała się do wybrzeża.

Tworzy ono ogromny łuk, którego końce wiąże ze sobą szerokie pasmo poszarpanych, bujnymi lasami pokrytych gór, zamykając równocześ-

nie widnokrąg. Na przestrzeni między tym pasmem a łukiem wybrzeża rozłożyło się miasto na terenie o wprost fantastycznej strukturze, pełnym głębokich wąwozów, kotlin i dolin, nad którymi sterczą bez związku ze sobą skały i wzgórza o najdziwniejszych kształtach, bądź to wystrzelające wprost z morza, bądź też w dalszym lub bliższym oddaleniu od niego. Wskutek tej fantastycznej nierówności terenu olbrzymie miasto — liczy ono przeszło półtora miliona mieszkańców i zajmuje 1100 klm kw. przestrzeni — rozbudowało się w również fantastyczny sposób. Nie tworzy ono zwartej całości o mniej więcej jednolitym charakterze, ale rozbija się jakby na cały szereg mniejszych miast, z których każde ma swą odrębną strukturę. Tu rozłożyło się na długiej linii wybrzeża, tam wije się w dolinach i wąwozach, tu znów wspina się po wzgórzach, kąpie się w promieniach podzwrotnikowego słońca, lub ukrywa się w cieniu pierwotnych lasów, czy znów zapuszcza się już w sam step. Szczególnie silny akcent nadają owemu bajecznemu krajobrazowi dwie góry: nagi, skalisty P a o d' A s s u c a r o kształcie ogromnej głowy cukru, skąd też bierze swą nazwę, wynurzający się wprost z morza, i wyższy od niego C o r c o v a d o, wznoszący się na szerokiej podstawie w samym centrum miasta, pokryty bujnym, jeszcze dziewiczym lasem, aż pod nagi, skalisty szczyt. Szczyt ten, podobny do długiej żyłastej szyi, ukoronowali mieszkańcy Rio de

Janeiro gigantyczną statua Chrystusa. Posąg ten, widzialny ze wszystkich stron, panuje nad całym miastem i zatoką, stanowiąc jakby klucz do tego zaczarowanego świata, który ściele się u jego stóp, świata pełnego kontrastów, którego wszystkie linie jakby się tu — w pomniku Chrystusa — zbiegły i znalazły w nim swoje uzasadnienie, jakby on dopiero wniósł w ten fantastyczny świat pełną rzeczywistość i pełną harmonię.

W Rio de Janeiro okręt nasz zatrzymał się przeszło 12 godzin. Było więc dosyć czasu, by nie tylko z wysokiego pokładu statku objąć całość kształt tego czarującego miasta, ale zapoznać się także, choć pobieżnie, z jego najciekawszymi osobliwościami i przyjrzeć się jego życiu. Tym łatwiej nam się to udało, że rezydujące tu nasze poselstwo z p. ministrem dr. Grabowskim na czele, bardzo umiejętnie ułożyło i przeprowadziło program naszego krótkiego tu pobytu.

Miasto jest nowoczesne, widocznie niezmiernie bogate. Świadczą o tym wspaniałe aleje, szczególnie nad samą zatoką, ciągnące się całymi milami wzdłuż wybrzeża, pięknie urządzone wielkie place i parki, okazałe pałace, luksusowe wille, wielkie składy i magazyny, wprost olbrzymi ruch samochodowy. Pod względem nowoczesności urządzeń i ruchu Rio de Janeiro wcale nie ustępuje wielkim metropoliom handlowym Stanów Zjednoczonych, jak New York lub Chicago, ma

jednak całkowicie inny charakter. A nadaje mu go, poza cudownym położeniem, szczególnie ludność, która tu żyje i pracuje. Nie jest to, jak w Ameryce Północnej rasa anglo-saska, zimna, trzeźwa, spokojna, która decyduje o rytmie życia miasta, ale rasa łacińska, żywa, ruchliwa, krzykliwa, o gorącym temperamencie, z bardzo znaczną domieszką rasy indyjskiej i murzyńskiej. Nigdzie jeszcze nie spotkałem tyle ludności kolorowej jak tu, nie tylko wśród niższych klas, ale także w sferach wyższych, zamożniejszych. Kolorowy człowiek nie uchodzi tu, jak w Stanach Zjednoczonych, za istotę mniejszej wartości, od której biały człowiek się odgranicza, ale cieszy się nie tylko wobec prawa, lecz w całym w ogóle życiu, także i towarzyskim, pełnym uprawnieniem. Walka ras nie istnieje tu, albo przynajmniej prowadzi się ją z przyznaniem wszystkim równych szans.

Poza tym życie tu jest łatwiejsze niż w Stanach Zjednoczonych. Prawie nigdy nie ma tu zimy, zawsze jest ciepło. Przy tym kraj jest niesłychanie bogaty, dóbr, potrzebnych do życia, jest tu więcej niż pod dostatkiem. Bezrobocie kraj prawie nie zna. A jeżeli kto chwilowo nie ma pracy, łatwo mu wytrzymać wobec małych potrzeb, jakie odczuwa w tutejszych warunkach życia i wobec wielkiej ofiarności społeczeństwa brazylijskiego na rzecz ubogich. Nikt tu przed biednym nie zamyka drzwi, wszędzie liczyć on może na pomoc, bez obawy poniżania się lub upo-

karzania. Brazylijczyk umie uszanować godność każdego człowieka, jest usługny, miły i grzeczny dla każdego. Ma się wrażenie, jakoby piękność kraju udzieliła się również duszy ludzi, którzy w nim mieszkają. Widocznie nie na darmo Chrystus - Zbawiciel ze szczytu Corcovado z miłosierdzie wyciągniętymi ramionami króluje nad stolicą tego kraju.

Nie przyjechaliśmy oficjalnie do Rio de Janeiro, zwiedziliśmy miasto li tylko z tego powodu, że w drodze do Buenos Aires zatrzymał się tu nasz statek. Mimo to przyjęto nas tu niezwykle uroczyście. Widocznie stolica Brazylii chciała skorzystać z tej okazji, by wyrazić swoje głębokie i serdeczne sympatie dla Polski i dla Kościoła, tak godnie reprezentowanych przez Kardynała Hlonda, Prymasa Polski, prowadzącego naszą małą polską grupę na Kongres Eucharystyczny do Argentyny. Witali nas przedstawiciele władz świeckich i duchownych, witał nas poseł nasz minister dr Grabowski w otoczeniu polskiej, nie licznej tu kolonii, witało nas społeczeństwo brazylijskie, reprezentowane przez towarzystwo Polsko - Brazylijskie, które tu już przed kilku laty zawiązało się i pracuje nad zacieśnieniem przede wszystkim kulturalnych stosunków między Brazylią i Polską. Że nie pracuje daremnie świadczy o tym choćby przemówienie, ogłoszone do nas przy tej okazji przez sekretarza tegoż towarzystwa, Conde Mendez de Almeida, prawnika

o międzynarodowej sławie, profesora na uniwersytecie w Rio de Janeiro. Słowa, które ten wielki uczony powiedział, nie były grzecznościowe tylko, ale zawierały głębokie myśli, oparte na wielkiej znajomości dziejów naszej Ojczyzny, a wypływające widocznie ze szczerej dla naszego narodu sympatii i uznania dla naszego państwa.

Z tą samą sympatią i tym samym uznaniem spotykaliśmy się wszędzie. Można śmiało powiedzieć że krótki nasz pobyt w stolicy Brazylii stał się okazją do wielkiej manifestacji dla Polski i przyczynił się w wysokiej mierze do wzmocnienia jej prestiżu w tym kraju. Polska w tym dniu była na wszystkich ustach, a Kardynał Hlond, Prymas Polski, najważniejszą osobistością w Rio de Janeiro.

Doceniając należycie te serdeczne objawy przyjaźni dla naszej Ojczyzny, złożyliśmy wizyty prezydentowi państwa, ministrowi spraw zagranicznych, nuncjuszowi apostolskiemu, byliśmy u ambasadora francuskiego i argentyńskiego. Kardynał Leme, arcybiskup Rio de Janeiro i Prymas Brazylii, wyjechał już, niestety, na Kongres Eucharystyczny do Buenos Aires.

W skromnej, ale miłej rezydencji naszego polskiego posła, ministra dra Grabowskiego, spotkaliśmy się przy obiedzie z wielkim międzynarodowym światem dyplomatycznym, a w czasie rautu z najwybitniejszymi przedstawicielami kolonii polskiej. Było między nimi kilku starych wete-

ranów, którzy już dziesiątki lat przebywają w Brazylii i, choć nie władają już swobodnie językiem polskim, zachowali jednak gorące polskie serca. Spotkaliśmy również rodaków w klasztorach Ojców Benedyktynów, Franciszkanów i Salezjanów, któreśmy odwiedzili. Wszędzie przyjmowano nas serdecznie, a już szczególnie w Zakładzie Księży Salezjanów; wszak Kardynał Hlond należy do nich, jest chlubą ich zgromadzenia, dziś rozpowszechnionego w całym świecie.

Zbyt szybko minęło te 12 godzin, które dane nam było przeżyć w tym istnym rajku na ziemi. Tak trudno było nam oderwać się od niego, że wróciliśmy na statek dopiero w ostatniej chwili, kiedy już począł odbijać od brzegu. Nadszedł tymczasem już wieczór, który szybko przemienił się w noc. Słońce znikło za górami i ciemność ogarnęła świat, lecz nie zdołała w swych cieniach pochłonąć miasta. Bo oto w chwili, gdy chciała to uczynić, zdawało się, jakoby jakaś niewidzialna, potężna siła rozrzuciła w kamiennym morzu domów miasta — olbrzymią złotą sieć, składającą się z milionów świateł elektrycznych, rozwiesiła po jego alejach i ulicach jak gdyby jakieś gwiaździste girlandy, ciągnące się fantastycznymi liniami wzdłuż i wszerz, w górę i dół, aż hen, daleko, do krańców nieboskłonu; skierowała z ukrytych źródeł jakby strumienie silnego światła na biały posąg Chrystusa — Zbawiciela na Corcovado. Rio de Janeiro przemieniło się w przecudne „ville de

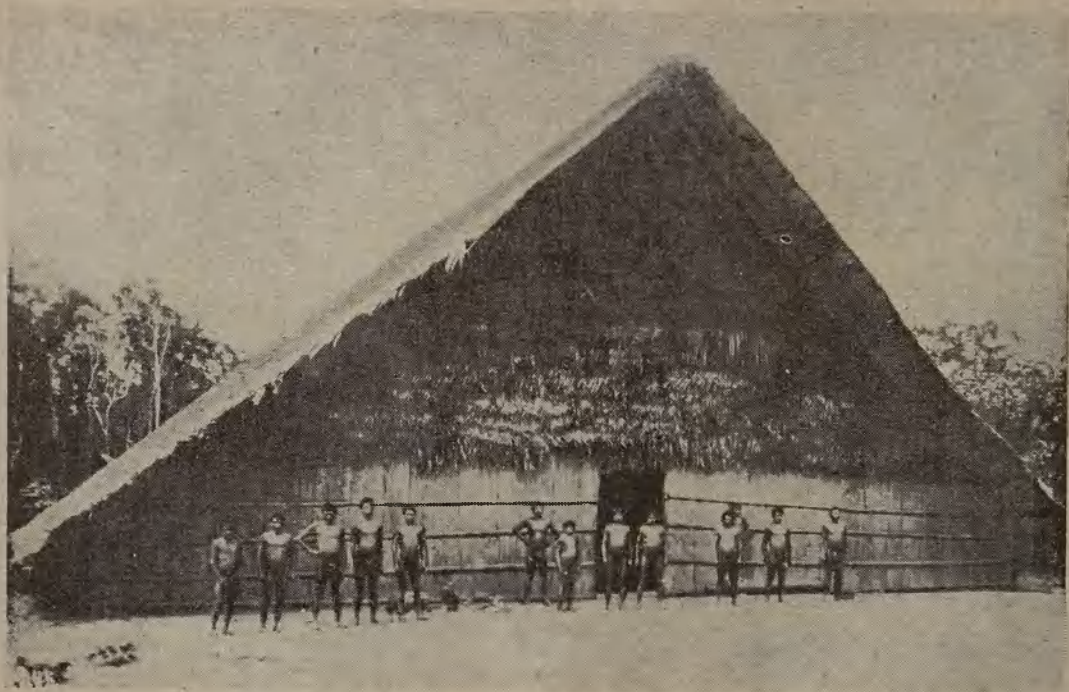
lumière“ — miasto światła, stokroć piękniejsze niż Paryż, który się chlubi tą nazwą.

Długo staliśmy na wysokim pokładzie naszego statku, nie mogąc nasycić oczu tym czarującym obrazem. Nareszcie zasłonił nam go gigantyczny szczyt Pao d'Assucar przy ujściu zatoki do oceanu. Ogarnęła nas znów wielka pustynia morska trzymając nas w swym objęciu przez całe trzy dni.

Dopiero 8-go października rano, okręt nasz z oceanu wpłynął w szerokie ujście wielkiej argentyńskiej rzeki La Plata, na której brzegu, o kilkaset kilometrów od morza, leży Buenos Aires, cel naszej podróży. Znajdując się jeszcze na morzu, daleko od Buenos Aires, już wciągnięci zostaliśmy w wielki ruch, jaki zbliżający się Kongres Eucharystyczny wywołał w stolicy Argentyny. Przez radio bowiem okręt nasz otrzymał rozkaz, by zatrzymał się na rzece, gdyż wskutek przepełnienia portu statkami, które ze wszystkich części świata przywiozły uczestników na Kongres, na razie nie może wpłynąć do niego. Z tego powodu nasz okręt, tak jak wiele innych, przez kilka godzin musiał stać na falach szerokiej rzeki. Dobrze, że się tak stało. Bo wskutek tego pierwsze powitanie X. Kardynała Prymasa odbyło się na samej rzece. Witwały go statki wojenne, witwały go aeroplany, krążące nieustannie nad naszym statkiem. Że to powitanie z powietrza do niego się odnosiło, zdradzały na-



Bom Dia! Senhor Bispo! Dzień dobry, Księżu Biskupie!



Indianie brazylijscy.

pisy na skrzydłach aeroplanów: „Bienvenuto il Cardinale Hlond“ — Witamy X. Kardynała Hlonda — taki napis widzieliśmy na jednym aeroplanie, a na drugim: „Vive Don Bosco“ — „Niech żyje Don Bosco“.— Kard. Hlond bowiem, jak wiadomo, należy do zgromadzenia Księży Salezjanów, którego założycielem był św. Jan Bosko. Duma napęłniła serca nasze. Bo hołd dla naszego Kardynała, to hołd także dla nas, to hołd dla Polski. Z polskim Kardynałem Prymasem przede wszystkim Polska przyjechała do Argentyny i Polska została w jego osobie powitana. Ten hołd, oddany już na falach rzeki Kardynałowi i Polsce, przemienił się w potężną entuzjastyczną manifestację, gdyśmy wreszcie około 1-ej godz. po południu doszli do portu. Tysiączne rzesze, zgromadzone przy porcie, witały nas wołając z istic południowym zapalem: „Niech żyje Polska, niech żyje Kardynał Hlond“. A te manifestacje powtarzały się wciąż, gdyśmy z portu przez szerokie aleje olbrzymiego miasta jechali samochodami do kościoła Matki Boskiej de Guadalupe, gdzie odbyło się uroczyste, powitalne nabożeństwo przy udziale przedstawicieli rządu argentyńskiego, naszego poselstwa rezydującego w Buenos Aires i licznie zebranej kolonii polskiej, oraz argentyńskiego społeczeństwa.

Polska dotąd nie była dobrze znana w Argentynie, a co gorsze, Polacy nie cieszyli się tu szczególną opinią. Otwarcie trzeba powiedzieć, że za-

wdzięczamy to różnym żydowskim żywiołom — szczególnie handlarzom żywym towarem — z Polski pochodzącym, którzy tu się osiedlili. Argentyńczycy mniemali dotąd, że Polska to kraj żydowski, że Polacy to sami Żydzi. Tym większe było ich zdziwienie, że z Polski przyjechał Kardynał i aż trzech biskupów, aby brać udział w tym wielkim święcie eucharystycznym, aby zaznaczyć, że Polska jest krajem katolickim i łączy się z katolikami całego świata w jednej wielkiej rodzinie katolickiej około Chrystusa Króla. A ten Polski Kardynał zdobył sobie od razu serca Argentyńczyków swoją postawą szlachetną, swoją grzecznością, uprzejmością i serdecznością. Gdziekolwiek się pokazał, gdziekolwiek przemawiał, stawał się przedmiotem gorących owacji. Udział jego i towarzyszących mu biskupów polskich, oraz małej wprowadzie, ale dzielnej polskiej grupy w Kongresie był wielkim triumfem także dla naszego narodu, dla Polski. Odtąd z większym niż dotychczas poważaniem Argentyna będzie odnosiła się do Polski i polskiego narodu, a to niewątpliwie wyjdzie na korzyść naszym rodakom, którzy tu przebywają.

3. *Powszechny Kongres Eucharystyczny w Buenos Aires*

Z lękiem zabieram się do pisania tego listu, w którym chciałbym Wam, drodzy czytelnicy, opisać swoje wrażenia z Powszechnego Kongresu Eucharystycznego w Buenos Aires. Wrażenia te są bowiem potężne, tak głębokie, że obawiam się, iż zabraknie mi słów, by je w odpowiedni sposób wypowiedzieć.

Byłem już w roku 1926 na Powszechnym Kongresie Eucharystycznym w Chicago, w Stanach Zjednoczonych. Był to, jak się wyraziłem w liście pasterskim, który wówczas po powrocie z Ameryki do Was napisałem, wprost cud wiary, który tam widziałem. I mniemałem, że podobny triumf Chrystusa Eucharystycznego, podobna manifestacja wiary już się powtórzyć nie może. A jednak Powszechny Kongres Eucharystyczny w Buenos Aires przewyższył ją pod każdym względem.

Wszyscy odczuwaliśmy, że tu, w Buenos Aires, działały nie tylko dobrze zorganizowane siły ludzkie, ale przede wszystkim siły boskie, aby ten Kongres uczynić największym triumfem, jaki dotąd w dziejach Kościoła odniósł Chrystus Eucha-

rystyczny. A był to triumf nie tylko zewnętrzny, objawiający się w potężnych manifestacjach rozentuzjasmowanych milionowych mas, ale przede wszystkim triumf wewnętrzny, bo sięgający w swych skutkach głęboko w dusze, przenikając je zwycięską siłą wiary, budząc w nich nową energię religijną, która niewątpliwie zaznaczy się nie tylko w życiu narodu argentyńskiego, ale rozplynie się po całym świecie. Były chwile na Kongresie, w których zdawało nam się, że nie znajdujemy się na ziemi, ale bierzemy udział w godach Oblubieńca Boskiego w niebie, albo że przeżywamy ową precudną wizję, jaką przeżył niegdyś i opisał w Piśmie św. ukochany uczeń Chrystusa, mówiąc natchnionymi słowami: „Widziałem święte miasto Jeruzalem nowe, zstępujące z nieba, od Boga zgotowane, jako oblubienicę ubraną mężowi swemu. I słyszałem głos wielki ze stolicy mówiący: Oto przybytek boży z ludźmi, i będzie mieszkał z nimi. A oni będą ludem jego, a sam Bóg będzie Bogiem ich“. (Apoc. 21, 23).

Naprawdę Buenos Aires stało się podczas Kongresu jakby nowym miastem, świętym miastem, w którym Bóg skupił około siebie wszystkie narody świata, aby napełnić je nowymi siłami, by mogły na ziemi tworzyć nowy świat. I niewątpliwie Kongres w Buenos Aires będzie punktem zwrotnym w dziejach Kościoła i ludzkości, szczególnie w Ameryce Południowej.

Jakże więc próbować opisywać słabymi, ludzkimi słowami to, co jest raczej dziełem Bożym, nie zaś ludzkim. Wobec tego ograniczam się do skreślenia kilku krótkich tylko uwag, do przedstawienia niektórych tylko szczególnie podniosłych momentów tej jedynej w historii świata manifestacji religijnej, zastrzegając się z góry, że słowa moje ani w przybliżeniu nie mogą dać dokładnego obrazu tego, cośmy widzieli i przeżyli w tych wzniosłych dniach.

Przepiękne były przede wszystkim ramy tego królewskiego święta Chrystusowego. Uroczystości kongresowe koncentrowały się w wielkim parku, pod gołym niebem, przy cudownej słonecznej pogodzie. Panowała tu bowiem na południowej półkuli, właśnie o tej porze roku, wiosna pełna nowego życia, wiosna podzwrotnikowa, egzotyczna.

W środku wspaniałego parku, gdzie zbiegały się szerokie aleje, przecinające go w różnych kierunkach, wzniesiono na wysokiej podstawie olbrzymi, ze wszystkich stron widoczny krzyż, u stóp którego ustawiono cztery ołtarze, zwrócone ku czterem stronom świata. Tuż obok wybudowano wysoki szklany pawilon, również z ołtarzem oraz z tronami dla Kardynała-Legata i dla prezydenta państwa.

Około tego krzyża dzień w dzień gromadziły się setki tysięcy, a na niektórych nabożeństwach miliony wiernych ze wszystkich ras. Przeważała — rozumie się — rasa łacińska, która tu w Po-

ludniowej Ameryce, jest dominująca. Spis samych biskupów, obecnych na Kongresie — a było ich około 300 — wykazał 34 różne narody przez nich reprezentowane. Ludność, choć żywego, gorącego, południowego temperamentu, zachowywała się wzorowo. Zawsze i wszędzie panował porządek i ład oraz głęboki nastrój religijny. Było widocznym, że te rzesze nie tylko zewnętrznie, ale i wewnętrznie brały udział w tej religijnej manifestacji. Nie przeszkadzało im to jednak objawiać swych wewnętrznych uczuć i przeżyć w sposób entuzjastyczny, do jakiego zdolni są tylko ludzie o gorącej krwi południowej.

Organizacja Kongresu była świetna i funkcjonowała doskonale. Nie spodziewaliśmy się tego, jak zresztą na ogół wszyscy Europejczycy, uprzedzeni do rasy łacińskiej, szczególnie do tej odmiany jej, która zamieszkuje Amerykę Południową, mniemając, że brak jej twórczej inicjatywy, ducha karności i wytrwania, że jest już poniekąd zdegenerowana. Kongres w Buenos Aires zmienił stanowczo to nasze zapatrywanie. Wykazał bowiem, że rasa łacińska, przynajmniej tu w Argentynie pełna jest żywotności, energii i siły twórczej, że mimo umiłowania wolności, mimo swego gorącego temperamentu, potrafi być karną, że ma wielkie zdolności organizacyjne.

Iluminacja parku i w ogóle całego miasta była cudowna. Miasto podczas nocy tonęło wprost w morzu światła. Wspaniałą była również dekora-

cja placów, ulic i domów. Wielką rolę podczas Kongresu odgrywało radio i megafony. Dzięki tym, umiejętnie zastosowanym nowoczesnym wynalazkom, areną Kongresu stało się właściwie całe olbrzymie miasto, stała się cała Ameryka Południowa.

Niewątpliwie koszta, jakich wymagało stworzenie tak olbrzymich, przy tym tak pięknych ram Kongresu, musiały być olbrzymie. Ale stolica argentyńska i kraj są tak bogate, że mogły sobie na to pozwolić. Poza tym ludność uważała to za nakaz swej ambicji narodowej i katolickiej, by wszechświatowy ten Kongres, odbywający się w jej kraju, uczynić naprawdę najwspanialszym triumfem Chrystusa Eucharystycznego.

Jedną z najcharakterystyczniejszych cech Kongresu był wprost manifestacyjny w nim udział państwa Argentyńskiego. Rząd podczas Kongresu zawiesił swe czynności, nie tylko by dać wszystkim czynnikom rządowym sposobność uczestniczenia w nim, ale by zaznaczyć, że w tych dniach nie on, ale Chrystus-Król rządzi krajem. Herb Kongresu w tych dniach stał się herbem państwa. Cały aparat rządowy został oddany do dyspozycji Kierownictwa Kongresu. Sam prezydent państwa, generał Justo, brał udział we wszystkich manifestacjach Kongresu, tak samo członkowie rządu i generalicja. A brali w nich oni udział nie tylko oficjalnie, jako przedstawiciele państwa, ale równocześnie jako wierzący i praktykujący

katolicy. Prawie wszyscy, z prezydentem na czele, przystąpili publicznie do Komunii świętej. Dowódca armii wygłosił jedną z najgłębszych mów religijnych na Kongresie, rozpoczynając ją pokornie słowami setnika, wypowiedzianymi do Chrystusa-Pana: „Panie, nie jestem godzien“! A nareszcie w kulminacyjnej chwili Kongresu, po zakończeniu triumfalnej procesji Eucharystycznej prezydent państwa, wobec przynajmniej dwóch milionów wiernych, w przepięknej modlitwie o głębokiej treści i wytwornej formie, wygłoszonej przed Przenajśw. Sakramentem, a transmitowanej przez radio na cały świat — poświęcił naród swój i kraj Chrystusowi Eucharystycznemu. Był to jeden z najwznioślejszych momentów Kongresu, który wywołał wprost szal radości w rozentuzjasmowanych masach, tym więcej, że podobnego aktu najwyższego dostojnika państwa nikt się nie spodziewał. Oficjalny program Kongresu nie przewidywał go. A był to akt śmiały, odważny. Gdy księża Kardynałowie złożyli mu podziękowanie za jego piękne wystąpienie, odpowiedział im: „Wiem, że w parlamencie spotkają mnie za to obelgi ze strony bezbożnych posłów, ale musiałem powiedzieć, co czuję i co uważałem za swój obowiązek“.

Wielkie wrażenie zrobiło także uroczyste nabożeństwo dla wojska, podczas którego na wielkim placu kongresowym przeszło 7000 żołnierzy ze swoimi oficerami przystąpiło do Komunii św. Nie-

którzy żołnierze dopiero w ostatniej chwili, widocznie pod działaniem jakiegoś wewnętrznego nakazu, który odezwał się w ich duszach, zdecydowali się na ten wzniosły akt wiary. By godnie go spełnić, wołali o kapłanów, którzy by wysłuchali ich spowiedzi. I spowiadali się, klęcząc na ziemi, przed pochylonymi nad nimi kapłanami, biegającymi w tym celu od szeregu do szeregu.

Podobne sceny można było zauważyć przy nabożeństwie i Komunii św. dla mężczyzn. Nabożeństwo to odbyło się o północy na głównym placu miasta przed katedrą i pałacem rządu. W olbrzymim pochodzie niezliczone szeregi mężczyzn — liczono ich na setki tysięcy — przybyły w karnym porządku na wielki, wspaniale oświetlony plac i wypełniły go szczelnie jak również i wszystkie ulice do niego prowadzące. Przeszło 50.000 mężczyzn — między nimi ministrowie i profesorem uniwersytetu — przyjęli, klęcząc na ulicach, w największym skupieniu z rąk kardynałów, biskupów i księży Chleb żywota wiecznego. Była to naprawdę Królewska noc Chrystusowa, noc łaski bożej.

Nie mniej wzniosłe było nabożeństwo dla młodzieży szkolnej w parku Palermo przed Krzyżem Kongresowym. Podczas tego nabożeństwa 107.000 dzieci przystąpiło do Komunii św. Odkąd świat istnieje, nie widział równie pięknego widowiska. A wszystko to odbyło się we wzorowym porządku, nie było żadnego przykrego zajścia, żadnego

nieszczęśliwego wypadku, jak w ogóle nie było go podczas całego Kongresu. Widocznie sam Ojciec niebieski czuwał w tym, by Kongres stał się pełnym triumfem dla ukochanego Syna swego Jednorodzonego i źródłem niebiańskiej radości i pociechy dla oddanego Mu ludu.

Koroną i najwznioślejszym zakończeniem Kongresu była uroczysta procesja eucharystyczna w niedzielę 14 października. Liczba jej uczestników przekroczyła 2 miliony. Organizacja była sprężysta, postawa ludności wspaniała, pogoda cudowna. Entuzjazm niebywały. Cały rząd z prezydentem państwa brał w niej udział. Wojsko tworzyło szpalery. Aeroplany krążyły nad tym królewskim pochodem. Pieśń i gorąca modlitwa wznosiły się z potęgą pod niebiosa. „*Christus vincit, Christus regnat — Christus zwycięża, Chrystus króluje*“ — te słowa triumfu wciąż wrywały się z piersi wszystkich. Kilka godzin trwał ten królewski pochód przez najpiękniejsze aleje miasta, nim doszedł na plac kongresowy pod *Krzyż w parku Palermo*. Tu, jak już wspomnieliśmy, prezydent państwa, w natchnionej modlitwie, odmówionej z siłą i potęgą, złożył w imieniu całego narodu publiczny hołd Chrystusowi-Królowi, oddając Mu siebie, swój rząd i swój naród. Kto tę scenę widział, nigdy jej nie zapomni.

Nie zapomni też nigdy owej chwili, kiedy z dalekiego Rzymu za pomocą radia odezwał się do

Kongresu głos samego Ojca świętego. Było to w tę samą niedzielę rano przy pontyfikalnej Mszy św., odprawionej przez Legata papieskiego, sekretarza stanu Stolicy Apostolskiej X. Kardynała Pacelli'ego. Już się kończyło uroczyste nabożeństwo; Kardynał Pacelli zaśpiewał: *Ite missa est* — wtem przez megafony dano rozkaz: *Silencio* — Prosimy uciszyć się — bo Ojciec św. będzie przemawiał. I nastąpiła cisza wspaniała, święta, wśród tej milionowej rzeszy — ludzie zdaje się nawet oddech powstrzymywali. I w tej cudownej ciszy odzywa się głos pełen siły, pełen słodczy. Jest to głos Ojca świętego. Idzie on z Rzymu na falach radiowych przez wielkie morze i przynosi pozdrowienie i błogosławieństwo Namiestnika Chrystusa. Każde słowo można było zrozumieć i z każdego słowa dawało się wyczuć wzruszenie Ojca świętego, jego miłość do owieczek, powierzonych mu przez Boskiego Zbawiciela. Któż potrafi opisać radość, jaka wszystkich nas ogarnęła w tej chwili. Skoro tylko przebrzmiały ostatnie słowa Papieża, cisza, która dotąd panowała, zamieniła się w potężną burzę okrzyków na cześć Ojca św. i jego Legata, Kardynała Pacelli'ego, na cześć biskupów, prezydenta państwa, Argentyny i Kościoła katolickiego, na cześć Chrystusa-Króla.

Oto kilka fragmentów — niedoskonale przeze mnie ujętych — z tego najpiękniejszego, najwznioślejszego ze wszystkich Powszechnych Kongresów

Eucharystycznych, jakie się dotąd odbyły. Brak mi czasu, bo muszę już wyjechać na odwiedzanie naszych polskich kolonii w Argentynie — by opisać inne, liczne i wspaniałe uroczystości, konferencje, nabożeństwa, przyjęcia, przedstawienia w teatrach i w operze, które wchodziły w program Kongresu. Brak mi czasu, by choć krótko wspomnieć o owacjach, jakie wciąż urządzała ludność tak Kardynałowi-Legatowi, jak innym Kardynałom, a szczególnie naszemu Kardynałowi-Prymasowi, który odrazu zdobył sobie serca Argentyńczyków; by mówić o gościnności, jakiej doznaliśmy w Buenos Aires, o gorącym patriotyzmie Argentyńczyków, objawiającym się wciąż podczas Kongresu.

Brak mi dziś nawet czasu, by opowiedzieć o naszym własnym udziale w Kongresie, o naszych polskich nabożeństwach i zebraniach podczas Kongresu. Mogę — w tym liście — tylko krótko stwierdzić, że zaznaczyliśmy się silnie jako polski, katolicki naród na tym naprawdę międzynarodowym, naprawdę powszechnym, wszechświatowym zjeździe. Mogę dziś tylko zapewnić, że nasz udział w nim był nie tylko pożądanym, ale potrzebny i że będzie mieć niewątpliwie błogie skutki.

4. *Nasz udział w Kongresie Eucharystycznym*

W ostatnim swoim liście zaznaczyłem, że udział nasz w Powszechnym Kongresie Eucharystycznym w Buenos Aires, był nie tylko pożądany, ale wprost potrzebny. Wspomniałem już także, że Polska i Polacy nie cieszyli się dotąd zbyt dobrą opinią w Buenos Aires i w Argentynie. Wymieniłem też główną przyczynę, dla której wytworzył się w tym kraju tak niepomysłny dla nas stan rzeczy. Niepomysłny, bo bardzo nam powinno zależeć na tym, by właśnie w tym kraju publiczna opinia o Polsce i Polakach była najlepsza. Wszak żyje tu już przeszło 60.000 Polaków-Katolików, a istnieją możliwości osiedlenia ich tu w jeszcze większej liczbie. Argentyna to kraj wielki, jeden z największych na świecie, prawie tak obszerny, jak cała Europa bez Rosji. A przy tym jest to kraj dotąd bardzo słabo zaludniony, liczy bowiem zaledwie 12 milionów mieszkańców, z których blisko 3 miliony skupia się w samej stolicy państwa, w Buenos Aires. Poza tym jest to kraj o olbrzymich naturalnych, jeszcze niewyczerpanych bogactwach. Liczne więc miliony ludzi mogą tu znaleźć miejsce, pracę i chleb, tym

więcej, że większa część kraju ma klimat umiarkowany, zdrowy. Nasze wychodztwo pod względem fizycznym czuje się tu naogół dobrze. Nie jest mu trudno zaaklimatyzować się. Natomiast położenie jego gospodarcze i społeczne jest jeszcze bardzo ciężkie, szczególnie w miastach. Żeby stworzyło sobie lepsze warunki bytu i zdobyło większe znaczenie społeczne, a równocześnie by mogło się zasilać stałym i to większym, niż dotąd przyływem ze Starego Kraju, jest nieodzowne, aby Polska i Polacy posiadali w tutejszym społeczeństwie dobrą opinię.

Jest to potrzebne nie tylko w interesie naszego wychodztwa, ale także w interesie samej Polski. Nie jestem jeszcze długo w Argentynie, stąd powinienem wystrzegać się wypowiedzania lekko-myślnego sądu o tym kraju. Ale z tego, co już zaobserwowałem, i co od innych, znających ten kraj, usłyszałem, zdaje mi się, to wolno mi wnioskować, że Argentyna jest krajem o wielkiej przyszłości gospodarczej i politycznej. Powinno nam więc na tym zależeć, by nasze stosunki z tym krajem ułożyły się jak najpomyślniej, by Polska tu była znana i poważana, jako kraj o wielkiej żywotności i wielkiej kulturze, i to kulturze chrześcijańskiej, katolickiej. Bo jak to wykazał w tak dobitny sposób Kongres Eucharystyczny, Argentyna jest krajem na wskroś katolickim. Dotąd Argentyńczycy na ogół mieli niewłaściwe i to ujemne pojęcie o Polsce i polskim narodzie. Uważali nas,

jak już wspomniałem, za naród przeważnie niekatolicki, a przy tym w wysokim stopniu zarażony komunizmem. Opinia ta wytworzyła się już stąd, że Polska graniczy z komunistycznym państwem bolszewików, a po wtóre stąd także, że z Polski do Argentyny przybyło i tu się osiedliło więcej może Ukraińców i Żydów, niż Polaków - katolików.

Nasz udział w Powszechnym Kongresie Eucharystycznym w Buenos Aires, na którym — można powiedzieć — była cała Argentyna, gruntownie zmienił tę ujemną dla nas opinię. Przez naszą obecność i przez działalność naszą na Kongresie wykazaliśmy wybitnie, że jesteśmy narodem nie tylko o wielkiej tradycji, ale także o wielkiej żywotności i aktywności katolickiej. Było nas wprawdzie mało, którzyśmy przyjechali z Polski, ale w nielicznej tej grupie naszej było aż czterech biskupów, a między nimi jeden z najwyższych dostojników Kościoła, X. Kardynał Hlond, Prymas Polski. To nadało grupie naszej szczególne znaczenie, zwróciło na nią powszechną uwagę. Po Kardynale Pacellim, legacie papieskim, Prymas Polski, Kardynał Hlond, stał się najważniejszą i najpopularniejszą osobistością Kongresu. Wszędzie, gdzie się pokazał polski Kardynał, jak go krótko nazywano, był przedmiotem gorących owacyj. A pokazywał się wszędzie i wszędzie przez swoją uprzejmość, serdeczność, wysoką kulturę i inteligencję zdobył sobie serca. Do tej popularności, przyczyniła się w wielkiej

mierze także i ta okoliczność, że należy on do Zgromadzenia Księży Salezjanów. Salezjanie zaś cieszą się w Buenos Aires wielkim uznaniem dla swej owocnej pracy nad młodzieżą. Oni też „swe-go“ Kardynała wszędzie jak najuroczyściej witali, a z nimi witała go prowadzona przez nich młodzież, występująca masowo w ładnych mundurkach, w karnych szeregach, z muzyką. Witwały go również bardzo liczne zastępy przyjaciół i współpracowników salezjańskich ze wszystkich klas społeczeństwa, szczególnie z inteligencji i arystokracji. Nie dziw, iż nazwisko polskiego Kardynała było na wszystkich ustach, że wszędzie chciano go widzieć, że wszędzie wznoszono okrzyki na jego cześć i na cześć Polski, z której przybył, a z którą wiązano jego osobę. Kilkakrotnie też przemawiał, głęboko, treściwie, w wytwornej formie, i to w języku hiszpańskim, co nowy budziło podziw i uznanie dla jego osoby. Wszędzie też mocno podkreślał żywotność i katolickość naszego narodu, naszą wolę do najściślejszej współpracy ze wszystkimi katolickimi narodami nad odnowieniem świata, nad rozszerzeniem Królestwa Chrystusowego i pokoju Chrystusowego na ziemi. W podobny sposób, choć, rozumie się, nie w takiej mierze, działaliśmy wszyscy w naszej grupie polskiej, biskupi, kapłani i świeccy katolicy, starając się usilnie, aby jak najgodniej reprezentować Polskę i Kościół katolicki w Polsce. I działaliśmy z wielkim powodzeniem, jak nas zapewniali przed-

stawiciele tutejszej Polonii i jak to zresztą sami mogliśmy stwierdzić. Zrobiliśmy wprost przełom w opinii o Polsce i Polakach, nie tylko wśród argentyńskiego, ale w ogóle całego społeczeństwa południowo - amerykańskiego. Polska i Polacy odtąd na tym kontynencie nie tylko będą lepiej znani, ale i więcej niż dotąd poważani.

Jak inne narodowości, mieliśmy na Kongresie także swoją własną polską sekcję, dobrze zorganizowaną przez miejscową kolonię polską, przy wybitnym udziale tutejszego polskiego poselstwa z ministrem Mazurkiewiczem na czele. Podczas dni kongresowych odbyły się w wielkim przepięknym kościele, należącym do Zgromadzenia Słowa Bożego, cztery uroczyste polskie nabożeństwa, odprawione przez J. Em. X. Kardynała Hlonda i nas biskupów, podczas których wygłosiliśmy kazania w polskim języku. Kościół zawsze był przepełniony, bo w nabożeństwach tych brała udział nie tylko nasza polska kolonia, ale także liczne rzesze obcych, które z dużym zaciekawieniem przysłuchiwały się polskiej pieśni kościelnej i polskiemu słowu na ambonie. Poza tym nasza sekcja urządziła jedno zebranie na sali, na którym X. redaktor Cieszyński wygłosił referat na temat: „Eucharystia św. w życiu narodów, a szczególnie w życiu narodu polskiego“. Drugi referat sam wygłosiłem na temat: „Eucharystia święta — źródłem sił dla odnowienia świata“. Niestety udział miejscowego naszego wy-

chodztwa w tym zebraniu był dość słaby, prawdopodobnie z tego powodu, że odbyło się w dzień powszedni, w nieodpowiedniej godzinie, kiedy nasi rodacy, rozproszeni po olbrzymim mieście, zajęci byli pracą w fabrykach, z której niestety zwolnić się nie mogli.

Bardzo dobrze natomiast udały się zebrania o charakterze raczej narodowym w godzinach wieczornych w trzech Domach Polskich, jakie tu nasi rodacy posiadają: w „Domu Polskim“ w centrum miasta, w „Ognisku“ na jego peryferiach i w „Domu Polskim“ na przedmieściu Dock Sud. Wszędzie sale były przepełnione, wszędzie panował nastrój miły, serdeczny. Witwały nas dzieci polskie kwiatami i wierszami, witali nas dzielni prezesi towarzystw krótkimi, treściwymi przemówieniami, zapewniając nas o wierności kolonii dla wiary świętej i dla Ojczyzny; witały nas polskie kobiety z dziećmi na rękach. Rozbrzmiała wszędzie nasza rzewna, polska pieśń katolicka, owa nieśmiertelna pieśń wychodźców - tułaczów: „Serdeczna Matko, opiekunko ludzi“, która w tak prostych, a przy tym tak głębokich słowach wyraża całą niedolę wychodztwa, ale też i jego nadzieję i wiarę. Dziś nasi drodzy bracia nie odczuwali tak boleśnie, jak zazwyczaj, tej swojej niedoli, że żyjąc na obczyźnie zdala od rodzinnego kraju, właściwie są sierotami, wygnańcami, tułaczami, bo dziś przybyła do nich Polska, przybył Prymas Polski z biskupami, był między nimi poseł polski,

przedstawiciel własnego państwa, była także grupa rodaków z ukochanej ojczyzny. To też radość ich była nieopisana, łzy płynęły im z oczu, gdyśmy złączeni wspólną miłością ojczyzny, zaśpiewali: „Boże, coś Polskę“. Ze wszystkich przemówień, które zostały wygłoszone przy tej wzniosłej okazji, mocno przebiła żywa wiara naszych wychodźców i stanowcza ich wola wytrwania w niej. Jasno bowiem zdają sobie oni sprawę z tego, że tylko wiara św. dostarczyć im może sił potrzebnych, by nie zginęli tu w morzu obcych, ale przeciwnie, by na tej ziemi, gdzie obok panującej rasy hiszpańskiej żyje tyle innych narodowości, stworzyli nową Polonię, przez wszystkich poważaną. W tej świadomości wzmocnił ich wspaniały Kongres Eucharystyczny, który nie tylko utwierdził ich w wierze świętej, objawiając im w tak cudowny sposób jej żywotne siły, ale, dzięki naszemu w nim udziałowi, więcej niż dotąd przekonał ich, że im głębiej Polska będzie katolicką, tym więcej znajdzie uznania i poważania między narodami. Dlatego też gorąco dziękowali nam nie tylko za to, żeśmy przyjechali z Polski, aby ich odwiedzić i pocieszyć, ale przede wszystkim za to, żeśmy przez nasz udział w Kongresie Eucharystycznym tak silnie zaznaczyli, że Polska jest katolicką. Odtąd, jest to ich mocne przekonanie, — społeczeństwo argentyńskie nie będzie Polaków jak dotychczas, identyfikowało z żydami i komunistami, ale będzie ich poważało jako

członków narodu o wybitnej kulturze chrześcijańskiej, o głębokiej wierze katolickiej, co niewątpliwie wpłynąć musi na poprawę ich sytuacji społecznej w Ameryce Południowej.

Że ta argumentacja wychodztwa naszego jest słuszną o tym mogłem się tymczasem już osobiście przekonać, stykając się z najróżniejszymi przedstawicielami argentyńskiego społeczeństwa podczas mojej apostołskiej podróży, prowadzącej mnie w różne części tego wielkiego kraju. Prawie wszędzie musiałem stwierdzić, że Polaków dotąd prawie wyłącznie uważano albo za żydów, albo za komunistów i że wskutek tego odnoszono się do nich z pewną podejrzliwością, ale też wszędzie — ku mej radości usłyszałem po Kongresie, że dzięki naszemu udziałowi w nim, ta opinia gruntownie się zmieniła. Przez nasz udział w Kongresie, złożyliśmy więc nie tylko hołd Chrystusowi-Królowi w Przenajśw. Sakramencie, zaznaczyliśmy nie tylko przynależność naszego narodu do wielkiej, wszechświatowej rodziny katolickiej, ale przyczyniliśmy się także w wielkiej mierze do podniesienia imienia polskiego, do powiększenia poważania dla narodu polskiego w Południowej Ameryce.

5. *Wśród naszego wychodźstwa w miastach Urugwaju i Argentyny*

(Montevideo, Buenos Aires, Cordoba, Rosario i Santa Fé).

Owacyjnie żegnany przez władze kościelne i państwowe, a przede wszystkim, przez naszą polską kolonię, X. Kardynał — Prymas Hlond, na czele naszej polskiej grupy wieczorem, dnia 17-go października, opuścił na okręcie „Oceania“ Buenos Aires, gdzie przeżyliśmy tak wielkie chwile. Towarzyszyłem mu w powrotnej do ojczyzny drodze jeszcze aż do Montevideo, stolicy Urugwaju, dokąd przybyliśmy w rannych godzinach następnego dnia. Tu, w Montevideo, nadeszła dla mnie chwila rozstania się z miłymi towarzyszami podróży. Oni z Montevideo już bezpośrednio wracali do Europy, mnie zaś wypadło pozostać jeszcze kilka miesięcy na kontynencie Ameryki Południowej, aby podróżując wciąż od kraju do kraju, poprzez ludne miasta i bezludne puszcze, poprzez góry i rzeki, stepy i lasy nieść pozdrowienie z Ojczyzny tym setkom tysięcy naszych drogich braci, którzy, rozproszeni w mniejszych lub większych grupach po olbrzymich przestrzeniach Urugwaju, Argentyny i Brazylii, szukają tu pracy i chleba. Nie

przypuszczałem, że tę chwilę rozstania się z nimi będę tak boleśnie odczuwał, że napełni mnie ona takim niepokojem i taką trwogą. Niepokoiła mnie przede wszystkim myśl, która w chwili, gdy pozostałem sam, z szczególną siłą mi się narzucała, czy będę wstanie spełnić to wielkie posłannictwo, którego się podjąłem, czy starczy mi tych sił fizycznych i duchowych, których ta misja niewątpliwie będzie ode mnie wymagała. A może więcej jeszcze niepokoiła mnie myśl, czy dobrze uczynię, pozostając tak długi czas poza swoją diecezją, pozostawiając ją bez pasterza. Ale przypomniały mi się słowa naszego Boskiego Zbawiciela o dobrym pasterzu, który opuścił 99 owieczek, dobrze strzeżonych, aby pójść za tą jedną owieczką, która się zagubiła. Wy, najmilsii, żyjąc w cieniach Jasnej Góry, na polskiej, katolickiej ziemi, w parafiach dobrze zorganizowanych, pod opieką gorliwych kapłanów, możecie się na kilka miesięcy obejść bez waszego arcypasterza. Inaczej oni. Żyją tu na obcej ziemi, wśród morza obcych ludzi, przeważnie bez własnych kościołów. Są wprawdzie i tu polscy kapłani, dzielni, gorliwi, prawdziwi misjonarze, jednak liczba ich jest mała, a trudności, które muszą pokonać, są tak wielkie, że nie do wszystkich powierzonych sobie owieczek mogą dotrzeć, albo przynajmniej nie tak często odwiedzić ich jakby tego wymagały religijne ich potrzeby. Nigdy zaś dotąd do tutejszego naszego wychodźstwa nie zawitał polski biskup, polski ar-

cypasterz, przedstawiciel Kościoła katolickiego w Polsce, który by z mocy swego arcybiskupskiego urzędu pocieszył ich, wzmocnił we wierze, udzielił im swego błogosławieństwa i wskazał im drogi, którymi powinni kroczyć, aby pozostali w duchowej łączności z katolicką Polską i z wielkim ruchem katolickim, jaki dziś ogarnął nasze społeczeństwo w Ojczyźnie. Nie dziw, że już sama zapowiedź, iż odwiedzi ich polski biskup i to biskup z Częstochowy, z tego religijnego serca Polski, wywołała wśród nich nieopisaną wprost radość.

Dziś, kiedy ten list do Was piszę, odbywam już prawie od trzech tygodni swoją apostołską wśród nich podróż. Odwiedziłem już liczne kolonie naszego wychodźstwa, w wielkich i małych miastach, w górach i lasach. Miałem więc już dość sposobności, by móc stwierdzić, czy podróż moja była potrzebna, czy warto było dla niej poświęcić tyle czasu, trudów i kosztów. I mogę ku mej wielkiej radości powiedzieć, że nie żałuję tych wielkich ofiar i mogę Was zapewnić, że biskup wasz nie marnuje swego czasu, do którego Wy przede wszystkim macie prawo. Bo poświęcając ten kosztowny czas i te naprawdę wielkie wysiłki tutajszemu wychodźstwu naszemu, biskup wasz spełnia naprawdę opatrnościową misję — tak dla naszego świętego Kościoła, jako też dla naszej ukochanej Ojczyzny, a przede wszystkim dla samego wychodźstwa tu przebywającego. Wdzięczność

wychodźców, że Polska posłała do nich biskupa, jest nieograniczona; uważają to za największą łaskę, jaką ich dotąd spotkała w ich tułaczym życiu, i zapewniają mnie, że odtąd z jeszcze większą wiernością, gorliwością i radością będą służyli Kościołowi świętemu i drogiej Ojczyźnie. Ponadto, jak mi wciąż oświadczają i jak sam mogłem to stwierdzić, są przekonani, że jak przyjazd i wystąpienie X. Kardynała - Prymasa na Powszechnym Kongresie Eucharystycznym w Buenos Aires, tak też i moja apostolska podróż wśród nich w wielkiej mierze przyczyni się do podniesienia i wzmocnienia ich społecznej sytuacji w tych krajach, w których dotąd, jak już pisałem, Polska i Polacy nie cieszyli się zbyt dobrą opinią.

Chciałbym w swoich listach jak najwierniej opisać Wam wszystkie swoje przeżycia, wrażenia i spotrzeżenia, ale są one tak wielkie, tak głębokie, tak bogate, że nie można ich ująć w słabe, niedoskonałe słowa. Poza tym, jestem tak zajęty i — szczerze muszę to wyznać — zazwyczaj tak wyczerpany pracą, jaką mi narzuca moja misja, że rzadkie tylko mam do dyspozycji chwile, w których mogę się zabrać do pisania. Wobec tego muszę się ograniczyć do skreślenia w mych listach do Was krótkich tylko, luźnych uwag, jakie mi się narzucają przy pisaniu, nie wysilając się na ujęcie ich w barwny obraz, który by mógł, choć w przybliżeniu, oddać samą tak bogatą rzeczywistość.

1. **Montevideo**. Stąd, jak już zaznaczyłem, rozpocząłem swoją wielką apostołską podróż wśród naszego wychodźstwa w Południowej Ameryce. Montevideo, to stolica Urugwaju, wielkie portowe miasto, położone przy samym ujściu do oceanu szerokiej, jak morze, rzeki La Plata. Żyje tu kilka tysięcy naszych rodaków, rozproszonych po całym mieście, przeważnie na jego peryferiach. Trudno stwierdzić dokładną ich liczbę. Istnieją tu trzy towarzystwa polskie, które, niestety, toczą namiętną walkę między sobą. Wskutek tego kolonia jest rozbita. Opieką duszpasterską nad nimi zajmują się dwaj księża z Kongregacji Księży Pallotyńów, którzy tu, w samym centrum stolicy, posiadają duży kościół i klasztor. W tym też kościele zebrałem rodaków na wieczorne nabożeństwo, a po nabożeństwie w przyległej do kościoła sali na pogadankę. Wskutek gwałtownej burzy, która właśnie o tej porze dnia rozszalała się, a może także wskutek rozbicia kolonii, zebrała się ich mała tylko liczba. Tym niemniej wspólne wspomnienie o dalekiej Ojczyźnie wytworzyło między nami serdeczny nastrój. Daremne jednak okazały się moje wysiłki, mające na celu skłonienie ich do zgody i jedności. Wobec tego urządziłem z każdym towarzystwem jeszcze osobną konferencję, aby wysłuchać ich wzajemnych żalów i przekonać ich o konieczności solidarnego działania, więcej niż gdzie indziej pożądanego na trudnym terenie stolicy Urugwaju.

W przeciwieństwie bowiem do innych krajów Ameryki Południowej w Urugwaju panuje wciąż niepokój; strajki i rewolucje są na porządku dziennym, masoneria odgrywa tu dużą rolę. Jak się zdaje, zagnieździł się tu także komunizm. Rząd odnosi się do Kościoła katolickiego i do katolików nieprzychylnie. Te stosunki z natury rzeczy odbijają się także na naszych wychodźcach, należących przeważnie do klasy robotniczej. Tym więcej potrzebna byłaby między nimi jedność i zgoda. Daj Boże, aby moje wysiłki w tym kierunku odniosły pożądany skutek.

W towarzystwie polskiego duszpasterza X. Chudzińskiego odwiedziłem kilku rodaków w ich mieszkaniach. W jednym z typowych parterowych domów, z jakich składa się w wielkiej części miasto, znalazłem aż pięć polskich rodzin. W środku tego domu znajduje się t. zw. patio, to jest mały dziedziniec, pokryty szklanym dachem; z tego wspólnego dla wszystkich dziedzińca — niby wspólnego salonu — wychodzi się bezpośrednio w jedno lub dwupokojowe mieszkania, przeznaczone dla pojedynczych rodzin. Rodacy, zajmujący ten dom i prowadzący w nim poniekąd wspólne życie, już się dorobili i są ze swego losu zadowoleni. W skromnej, ale bardzo miłej, willi na samym wybrzeżu morza spotkaliśmy najstarszego z tutejszych rodaków, p. Szwedowskiego, który jako technik już zdobył sobie mocną pozycję na tutejszym terenie. Tak on, jak

cała jego rodzina, choć ją dopiero tu założył, mówi po polsku, odznacza się głęboką wiarą i również głębokim polskim patriotyzmem. Także i innym rodakom powodzi się nieźle. Ogół jednak musi ciężko walczyć, by się utrzymać. Dużo między nimi jest bezrobotnych. Przeciętny zarobek robotnika jest niski. Wobec taniości artykułów żywnościowych może wystarczy on dla utrzymania pojedynczego człowieka, nie wystarczy atoli dla utrzymania rodziny, nie mówiąc już o możliwości oszczędzania. Wskutek tego także i żony robotników muszą szukać zajęcia. Samotny robotnik, bądź nie żonaty, bądź też taki, który zostawił żonę w kraju, łatwo tu ginie. Wychodztwo tylko wtedy może się tu zakorzenić i wytworzyć sobie pomyślne warunki bytu, jeżeli oprze się na rodzinach. Niestety, dużo jest takich wychodźców, którzy żonę i dzieci pozostawili w kraju, a dla braku środków nie mogą ich sprowadzić do siebie. Należałoby im to ułatwić. Byłoby to jednym z najpotrzebniejszych dzieł, jakie moglibyśmy stworzyć dla nich w kraju.

Na peryferiach miasta, w bardzo pięknej dzielnicy, ale zbyt daleko od jego centrum, jedno z towarzystw rozpoczęło budowę Domu Polskiego, który mu poświęciłem. Niestety, wskutek rozbicia kolonii, budowa nie postępuje naprzód; gdyż inne towarzystwa tej inicjatywy nie popierają.

Złożyłem także wizytę miejscowemu arcybiskupowi, polecając mu gorąco nasze wychodztwo.

Odwzajemniając się, przybył arcybiskup na raut, urządzony przez polskiego Konsula honorowego w jego mieszkaniu. Niestety, i na ten raut, urządzony przez przedstawiciela państwa polskiego dla uczczenia polskiego biskupa i polskiego ministra — gdyż ze mną był także obecny poseł Mazurkiewicz z Buenos Aires, reprezentujący Polskę również w Urugwaju — a więc przy okazji, przy której należało zapomnieć o wszelkich kłótniach, nie stawili się przedstawiciele wszystkich towarzystw polskich, działających w Montevideo. Stało się to wskutek nietaktu ze strony konsula, który czując się osobiście urażony przez jedno z towarzystw, pominął zarząd jego przy zaproszeniu. Z tego samego powodu konsul nie chciał nawet zaprosić polskiego duszpasterza; uczynił to dopiero na zwróconą mu uwagę, że będąc gościem Księży Pallotynów, do Zgromadzenia których ów duszpasterz należy, sam nie mógłbym brać udziału w raucie, jeżeli on tego nie uczyni.

Poza owym przykrym incydentem, który wywołał nowe żale w części kolonii polskiej, nastrój na raucie był bardzo miły. X. Arcybiskup gorąco przemawiał, wyrażając z iście południowym temperamentem swoje uznanie dla głębokiej wiary naszego wychodźstwa. Ważność czynnika religijnego w ich życiu na obczyźnie podkreślił w swym przemówieniu także sam konsul. Szkoda tylko, że różne polskie osobistości, mniej lub wię-

cej oficjalne, w praktyce tak mało na ogół liczą się z tym niewątpliwie najważniejszym czynnikiem dla utrzymania jedności i polskości wśród naszego wychodźstwa, okazując swoje sympatie i udzielając swego poparcia — często zbyt otwarcie i jednostronnie — raczej kierunkom i osobistościom o nastawieniu obojętnym lub nawet wrogim dla Kościoła. Jest to jedna z głównych przeszkód na drodze do tak bardzo pożądanej konsolidacji wychodźstwa w poszczególnych krajach i na całym świecie. W rzeczy samej wychodźstwo nasze szczerze dąży do konsolidacji. Ale broni się przed tym, by nie dokonała się ona — jak się to gdzieś próbuje — kosztem jego najżywoźniejszej siły, za którą słusznie uważa swoją wiarę świętą. Broni się także przed narzucaniem mu niepożądanych, a przy tym często nieodpowiednich przewodników, lub też delegatów na Zjazdy Konsolidacyjne, jak się to stało — o ile jestem dobrze poinformowany, w każdym razie takie zalecenia często w Ameryce Południowej odbijały się o moje uszy — z okazji ostatniego Zjazdu Polonii Zagranicznej w Warszawie. Nasze wychodźstwo, szczególnie w demokratycznych państwach Ameryki Południowej, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, przyzwyczaiło się do wielkiej swobody działania. Dzięki długim i ciężkim doświadczeniom wyrobiło w sobie wysoką świadomość swych sił, jest ambitne i słusznie dumne z wielkich dzieł, jakie stworzyło; wskutek

tego zazdrośnie czuwa nad tym, by nie kierowano nim wbrew jego woli i zgody, wbrew jego intencjom i interesom przynajmniej tym, które uważa dla siebie za żywotne, by nie osłabiano lub rozbijano pod pozorem konsolidacji jego organizacji, jakie z takim nakładem sił i ofiar stworzyło, by nie wnoszono w jego szeregi sporów, które niepokoją Stary Kraj. Dodać należy, że większość naszego wychodztwa posiada już prawo obywatelstwa w tych krajach, w których żyje; czuje się więc z nimi związana i przynajmniej formalnie niezależna od polskich urzędników lub mniej albo więcej oficjalnych innych wysłanników naszego kraju. Razi więc wychodźców — sędzę słusznie — postawa niektórych z nich, traktujących ich jako poddanych, którymi można i należy rządzić rozkazami i rozporządzeniami. O tych nastrojach powinni pamiętać i z nimi się liczyć wszyscy ci, którzy dążą do konsolidacji wychodztwa w poszczególnych krajach i na całym świecie. Program konsolidacji powinien objąć tylko te sprawy, które dla wszystkich Polaków są rzeczywiście istotne i święte, forma zaś tej konsolidacji powinna być elastyczna, możliwie luźna, w każdym razie bardzo demokratyczna, a metoda działania roztropna i taktowna. Postulaty te najlepiej określa krótkie, ale przemądre słowo św. Augustyna: „In necesariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus verocaritas“. Tylko pod tym hasłem tak bardzo pożądana konso-

lidacja naszego wychodźstwa i jego współpraca z Ojczyzną może stać się piękną i trwałą rzeczywistością.

2. Buenos Aires. Wróciłem do tej wielkiej trzechmilionowej metropolii Ameryki Południowej dn. 20-go października. Wprawdzie razem z X. Kardynałem-Prymasem już podczas Kongresu zetknęliśmy się z tutejszą kolonią polską i odwiedziliśmy kilka ognisk, które sobie stworzyła dla pielęgnowania życia narodowego. Byliśmy w bardzo pięknym „Domu Polskim“ w centrum miasta, gdzie znajduje się siedziba kilku towarzystw oraz redakcja i drukarnia tygodnika „Głos Polski“; byliśmy w „Ognisku“ na peryferiach w siedzibie innego towarzystwa polskiego. Godziny któreśmy tam w gronie licznie zebranych rodaków przepełnili, były wzniosłe i serdeczne; z braku jednak czasu były to godziny zbyt krótkie. Dlatego wróciłem ponownie do Buenos Aires, by te wrażenia pogłębić i odwiedzić możliwie wszystkie znajdujące się tam i w okolicy nasze placówki. Wszędzie w tej wizytacji towarzyszyli mi nasz polski poseł, min. dr Mazurkiewicz, oraz miejscowy długoletni duszpasterz — już 34 lata tu pracuje jako prawdziwy ojciec Polaków — zacny X. Zakrzewski z Kongregacji Słowa Bożego. W dniu 20 października pod wieczór wyjechaliśmy koleją do miasta La Plata, a potem samochodem do pobliskiego miasteczka Berisso. Są tu wielkie rzeźalnie — frigorifico — zatrudniające ogromną

liczbę robotników, między nimi bardzo dużo Polaków. Wstąpiłem wprzód do kościoła, aby ochrzcić kilkoro dzieci polskich, z których jedno liczyło już 5 lat. Potem udaliśmy się do Domu Polskiego. Przedstawia się on okazale z wielką salą, gustownie urządzoną, dużą sceną i bufetem. Sala była przepelniona. Witano mnie owacyjnie: dzieci wierszami i kwiatami, prezes towarzystwa gorącym przemówieniem, na które odpowiedziałem z głębokim wzruszeniem. Były pięknie wykonane śpiewy chóru, przedstawienie teatralne dzieci, które przeważnie już tu się urodziły i wskutek tego mówią już obcym akcentem, choć gładko i poprawnie. Placówka to bardzo piękna. Życie polskie i katolickie dobrze tu rozwinięte. Ludzie robią bardzo dodatnie wrażenie, są zdrowi, żywi, inteligentni, ruchliwi. Zarobki nie są wysokie, przeciętnie na godzinę $\frac{1}{2}$ pesa — około 70 groszy — ale wobec niskich cen żywności na ogół wystarczające.

Na 2-go października przypadła niedziela. Odprawiłem w Buenos Aires uroczystą Mszę św. w kościele Nostra Sennora di Guadalupe, gdzie zwykle odprawiają się polskie nabożeństwa. Kościół był przepelniony — stawiała się prawie cała kolonia tutejsza z posłem Mazurkiewiczem na czele. Piękny wspólny śpiew. Nastrój wspaniały. Łzy spływały z naszych oczu, gdyśmy śpiewali „Serdeczna Matko“, tę nieśmiertelną pieśń Polaka-tułacza. Po południu odwiedziłem dwie inne ko-

lonie na przedmieściach Buenos Aires, w Llavallol i w Dock Sud. Tu i tam dzielni nasi rodacy stworzyli sobie ogniska życia polskiego, skromniejsze w Llavallol w pięknej okolicy wśród ogrodów, i więcej okazałe z wielką salą w Dock Sud. I tu i tam zebrała się licznie kolonia polska, szczególnie dużo kobiet z dziećmi. Kolonie te składają się przeważnie z robotników, ale między nimi tworzy się już stan średni: kupcy, rzemieślnicy, przedsiębiorcy. Wychodźcy nasi wykazują tu dużo inicjatywy, wobec tego nie wątpię, że się z czasem wybiją i stworzą sobie silne podstawy życia w tym bogatym kraju o wielkiej przyszłości. Jest też tu już kilku Polaków, posiadających wielki majątek i duże wpływy. Dzięki Bogu, nie wstydzą się swego polskiego pochodzenia, ale utrzymują serdeczną łączność z całą kolonią, która w Buenos Aires jest bardzo liczna i ruchliwa. Koniecznie tu potrzeba przynajmniej jednego jeszcze lub dwóch księży polskich. Bo, mimo nadludzkiej gorliwości, przezacny, ogólnie lubiany X. Zakrzewski nie jest w stanie zaspokoić wszystkich potrzeb religijnych tutejszego wychodźstwa tym więcej, że dojeżdżać musi od czasu do czasu jeszcze do daleko od Buenos Aires położonych miejscowości, jak Cordoba, Rosario, Santa Fé, gdzie istnieją dość liczne kolonie polskie, pozbawione duszpasterza. Koniecznie potrzebna jest także solidarność wychodźstwa na tym terenie. Wszelkie spory mogą

tylko powstrzymać zapowiadający się pomyślny rozwój kolonii, a nawet zniweczyć jej dotychczasowy piękny dorobek.

Niestety, nie brak tu czynników niezgody, które chciałyby wychodztwo skierować na drogi, obce jego duchowi, głęboko religijnemu i narodowemu. Szczególnie niebezpieczną jest objawiająca się tu w pewnym kole tendencja — pono nawet poparta przez oficjalne polskie czynniki — przyłączania Żydów i Ukraińców do polskich związków, a przez to samo do Światowego Związku Polaków Zagranicą. Próba przeprowadzenia tego zamiaru może doprowadzić do kompletnego rozbicia kolonii, a poza tym może jeszcze więcej niż dotąd obniżyć w społeczeństwie argentyńskim opinię o Polakach.

Ogół tutejszego wychodztwa opiera się stanowczo tym niefortunnym zamiarom. Niestety, te jednostki, które w tym zgubnym kierunku działają, cieszą się, tak przynajmniej sami twierdzą, dużymi wpływami w Warszawie. Należą oni do radykalnego towarzystwa „Wolna Polska“, które pod pozorem przeprowadzenia konsolidacji wychodztwa, chciałoby opanować całą Polonię w Argentynie i narzucić jej swoje radykalne poglądy. Podczas Kongresu niektórzy z członków tego towarzystwa, jak mi opowiadano, zachowali się wprost skandalicznie. Podobno nawet zerwali z „Domu Polskiego“ herb Kongresu, choć herb

ten, jak wspomnieliśmy, uznany był na czas Kongresu jako państwowy. Wobec takich nastrojów w tym niezliczonym zresztą, ale za to wpływowym i agresywnym kole, trudno o konsolidację wychodztwa w Buenos Aires, trudno o jedność i zgodę między nimi. Odpowiednie czynniki, którym zależy na konsolidacji wychodztwa, powinny stanowczo być ostrożniejsze przy polecaniu, popieraniu i wyróżnianiu ludzi, którzy w ruchu organizacyjnym wychodztwa mają, albo raczej sami pragną, odgrywać wpływową rolę. Inaczej tak w Buenos Aires jak i gdzie indziej może się stać, że będzie się polecać i odznaczać ku zdziwieniu i oburzeniu wychodztwa jednostki znienawidzone, niepoważne, które zamiast jednoczyć, rozbijają wychodztwo. A ponieważ takie jednostki lubią się często powoływać na swoje stosunki w Warszawie, na wskazówki i polecenia, jakie rzekomo otrzymały od decydujących czynników, podkopują także zaufanie wychodztwa polskiego do polskiej polityki emigracyjnej, a szczególnie do sprawy konsolidacji wychodztwa, tak bardzo ważnej nie tylko dla niego samego, ale również dla państwa polskiego.

Dla dobra sprawy trzeba koniecznie unikać wrażenia, jakie na różnych odcinkach Polonii Zagranicznej wywołały wystąpienia niektórych osobistości oficjalnych i nieoficjalnych, lecz wpływowych, jakoby konsolidacja polegała na tym, by poddać wychodztwo władzy pewnych organizacji,

zazwyczaj o radykalnym nastawieniu, lub też pod komendę pewnych ambitnych jednostek.

3. **Cordoba.** Poważne i jak na Nowy Świat stare to miasto leży o kilkaset kilometrów w kierunku północno-zachodnim od Buenos Aires, już blisko gór. W ciekawej swej strukturze jest ono całkiem odmienne od stolicy Argentyny, jak również od miast europejskich. Przypomina raczej miasta orientalne, jakie poznałem przy okazji mej podróży do Egiptu i do Ziemi świętej. Na peryferiach widać wyłącznie niskie parterowe domki, przytulone do nagiej, czerwono-brunatnej ziemi, jakby przeoranej głębokimi bruzdami, tylko w samym jego centrum, w stosunku do przedmieść niżej położonym, jakby na dnie ogromnego talerza, wznoszą się wspaniałe duże gmachy, liczne stare kościoły, klasztory i pałace. Leżąc u podnóża gór, Cordoba ma klimat zdrowy, łagodny. Jeszcze łagodniejszy jest klimat w samych górach, niezbyt tu jeszcze wysokich. W ostatnich czasach powstały tu przepiękne miejscowości o charakterze willowym, z dużą frekwencją letników z Buenos Aires i innych miast, szukających tu w świeżym i suchym powietrzu górskim ratunku od wilgotnych upałów w nizinach.

Pogoń za pracą i chlebem sprowadziła do tego miasta, leżącego w głębi — jak tu powiadają w „interiorze“, kontynentu Ameryki Południowej, także sporo naszych rodaków. Pracują przeważnie w okolicy miasta w kamieniołomach i cemen-

towniach, inni znaleźli zatrudnienie w samym mieście. Kolonia jest dość poważna. Niestety, niema tu ani polskiego duszpasterza, ani polskiego nauczyciela. Nie ma też wśród nich żadnego inteligenta lub człowieka zamożniejszego, wpływowego, który by mógł się zaznaczyć w tutejszym życiu gospodarczym i społecznym. Wszyscy bez wyjątku należą do klasy robotniczej. Mimo to kolonia wykazuje dużą żywotność. Założyli w samym mieście bardzo ruchliwe towarzystwo polskie, które w stosunkowo krótkim czasie zdołało sobie stworzyć własne ognisko. Próby założenia takich towarzystw także w okolicy, gdzie przy fabrykach osiedlili się Polacy w większych grupach niestety nie udały się. Nie dopuścili do tego pracodawcy, wywierając odpowiedni wpływ na władze. Wskutek bowiem złej opinii, jaką różne mniejszościowe czynniki, pochodzące z Polski, wyrobiły Polsce i Polakom, pracodawcy obawiają się, by te stowarzyszenia polskie nie stały się rozsądnikami komunizmu. To też robotnicy - rodacy ogromnie się ucieszyli z mego przyjazdu, gdyż spodziewają się po nim zmiany tej tak szkodliwej dla nich opinii w społeczeństwie argentyńskim.

Z tego też powodu witali mnie nader serdecznie, tak przed kościołem Ojców Jezuitów, gdzie odprawiłem dla nich nabożeństwo, jak na sali swego ogniska. Słuchałem ich spowiedzi, udzieliłem im św. Sakramentu Bierzmowania, kilka razy wygłosiłem im nauki w kościele i przema-

wiałem na sali, poświęciłem im także piękny sztandar towarzystwa.

Poza miastem odwiedziłem dwie kolonie przy kamieniołomach i cementowniach w przepięknej górskiej okolicy: w Dumesnil i w Cante-res el Sauce. Warunki pracy są tu ciężkie. Dzienny zarobek wynosi zaledwie 3—4 pezów (4—5 złotych). Trudne są także warunki mieszkaniowe. Jediną pociechę stanowi bardzo zdrowy klimat. Nie duża liczba rodaków osiedliła się tu z rodzinami, większość z nich stanowią ludzie nieżonaci albo tacy, którzy pozostawili żonę i dzieci w kraju, i obecnie nie mogą sprowadzić ich do siebie z braku środków.

Wizytą moją zainteresowało się całe miasto. Tutejszy dziennik katolicki obszernie referował o uroczystościach, jakie kolonia urządziła z tej okazji. Właściciele jednego z przedsiębiorstw prosili mnie sami o odwiedzenie polskich robotników, zatrudnionych przez nich w okolicy, dostarczając w tym celu auto do mej dyspozycji. Miejskowy arcybiskup również przyjął mnie bardzo serdecznie, wyrażając przy tej sposobności swoje życzenie, by powstała tu stała polska placówka duszpasterska, gdyż przyjazd X. Zakrzewskiego z Buenos Aires dwa lub trzy razy do roku nie wystarczy dla zaspokojenia duchownych potrzeb kolonii. Witła mnie także tutejsza kolonia czeska. Ojcowie Jezuici, w którym przepięknym zakładzie znalazłem nader gościnne przyjęcie, gorliwie po-

magali mi w spełnianiu mej misji. Czcigodny ich Rektor, O. Doglia, wszędzie mi towarzyszył i tak był wzruszony zachowaniem się naszych rodaków, zarówno w kościele, jak i na sali, że postanowił nauczyć się języka polskiego, aby sam mógł im służyć pomocą duszpasterską. Ta pomoc jednak, choć bardzo pożądana, jeszcze nie wystarczy. Stanowczo powinna tu być stworzona stała polska placówka duszpasterska. Nie mniej potrzebny tu jest polski nauczyciel. O ile te dwie placówki powstaną, nie mam obawy o dalszy pomyslny rozwój tej poważnej kolonii, bo duch w niej jest mocny; spory i kłótnie wśród niej, jak niestety gdzie indziej nie istnieją. Przeżyte acz krótkie dni wśród dzielnych rodaków w tym pięknym mieście i uroczej jego górskiej okolicy, należą do najmiłszych mych wspomnień z Argentyny.

4. Rosario. Jest to po Buenos Aires największe miasto Argentyny, liczące przeszło pół miliona mieszkańców. Szeroka rzeka Parana, na której brzegu rozbudowało się Rosario, łączy je z Buenos Aires i z oceanem, jest przy tym tak głęboka, że nawet statki transoceaniczne, przynajmniej mniejsze, mogą dotrzeć do portu tej wielkiej metropolii handlowej, mimo kilkuset kilometrów odległości jej od morza.

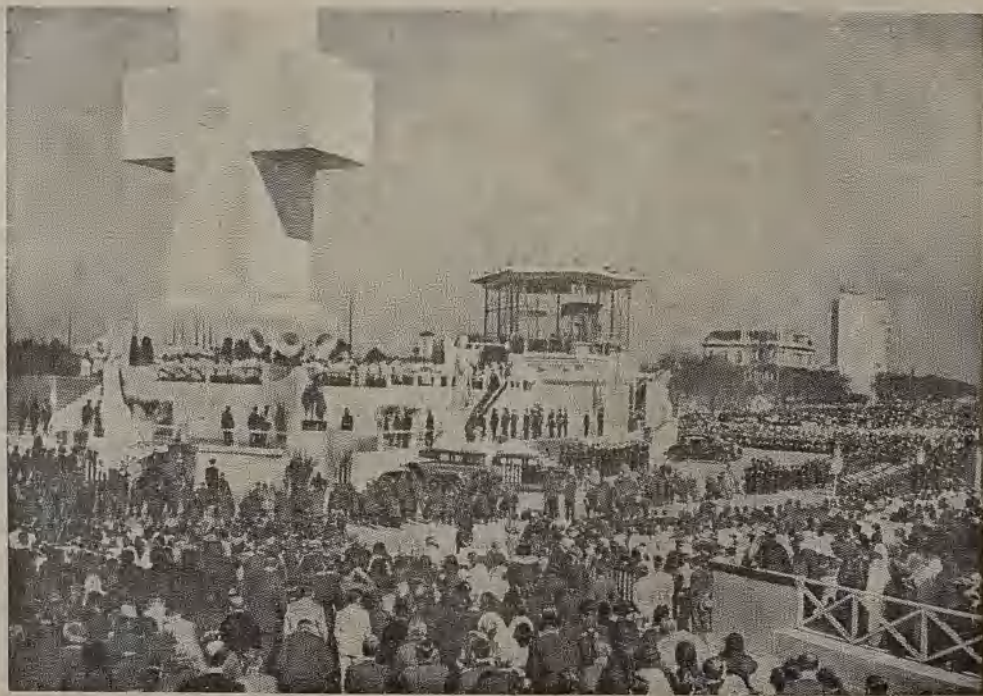
Nie spodziewałem się, że w tym mieście, tak ruchliwym, wizyta moja zainteresuje szersze ko-

ła społeczeństwa; tymczasem odniosłem tu dla sprawy polskiej istne triumfy. Zawdzięczam to przede wszystkim czcigodnym księżom Salezjanom, którzy nie tylko jak najgościnniej przyjęli mnie w swym wzorowym zakładzie, lecz dzięki swym wpływom i wielkiemu uznaniu, jakim się tu cieszą, poruszyli dla mej misji prawie całe miasto.

Dzięki ich zabiegom witali mnie na dworcu, dokąd przyjechałem z Cordoby wczesnym rankiem dnia 26 października, nie tylko nasi rodacy, lecz także liczni przedstawiciele społeczeństwa argentyńskiego; miałem też sposobność przemówić po polsku i po włosku przez radio; poza tym największy dziennik miasta — „Capital“ urządził dla mnie bardzo uroczyste przyjęcie w salonach wspańskiego gmachu redakcyjnego, a cała prasa miejscowa rozpisywała się obszernie i w bardzo przychylny sposób o moich odwiedzinach i w ogóle o życiu tutejszej naszej kolonii. Władze portowe oddały do mej dyspozycji dużą łódź motorową, na której mogłem przejechać się po szerokiej rzece i podziwiać na jednym jej brzegu ciągnące się wzdłuż niego na przestrzeni wielu kilometrów kolosalne magazyny, hale i fabryki, a po drugiej bezludny, dziki step. Przyjaciele zaś księży Salezjanów zawieźli mnie samochodem do historycznego, o kilka mil od Rosario odległego, klasztoru Sao Lorenzo, gdzie pod dowództwem generała Martin rozpoczęła się walka o wyzwolenie



Piechota argentyńska defiluje.



Główny ołtarz w czasie Kongresu Eucharystycznego w Buenos Aires.

Argentyny spod panowania hiszpańskiego. Spotkaliśmy tu braciszka Franciszkanina, pochodzącego z Polski. Salezianie dali mi także sposobność zetknięcia się z tutejszymi działaczami Akcji Katolickiej, w jej centrali, mieszczącej się we wspólnym gmachu Katolickiego Stowarzyszenia Robotników — „Circulo de obreros de Rosario“. Towarzystwo to liczy w samym mieście 8000 członków i rozwija ruchliwą działalność na polu społecznym i oświatowym. W dniu święta Chrystusa Króla, które wypadło w czasie mego pobytu w Rosario, mogłem odprawić w kościele salezjańskim uroczystą sumę pontyfikalną, a na wielkiej sali wobec tysięcy uczestników wygłosić przemówienie w języku włoskim. Jednym słowem zacni Księża Salezianie uczynili wszystko, aby sprawa wychodźstwa polskiego i w ogóle sprawa polska stała się w tych dniach w Rosario sprawą publiczną, aby Ojczyzna nasza i polski biskup stali się przedmiotem gorących ewangelij w tej wielkiej argentyńskiej metropolii.

W kościele też Księża Salezjanów zebrałem rodaków, by wygłosić do nich kilka nauk religijnych, wysłuchać spowiedzi św., udzielić im Chleba Żywota w Komunii św., odprawić dla nich Mszę św. i śpiewać z nimi nasze stare kościelne pieśni. Były to dla nich chwile wzniosłe, jak i dla mnie samego. Rzadko bowiem zdarza się w Rosario sposobność do polskich nabożeństw i do słuchania słowa Bożego w polskim języku, gdyż tyl-

ko od czasu do czasu przyjeżdża tu, podobnie jak do Cordoby, X. Zakrzewski, polski duszpasterz z Buenos Aires. I tu nie ma stałej polskiej placówki duszpasterskiej, a byłaby bardzo potrzebna, gdyż liczba polskich kolonistów tu i w okolicy jest bardzo poważna, sięga bowiem podobno do 5000. Mimo rozproszenia w wielkim mieście zdołali się oni jednak zorganizować, założyli dwa bardzo ruchliwe polskie towarzystwa, jedno w samym mieście, a drugie na przedmieściu Pueblo Nuevo. Oba towarzystwa posiadają własne ogniska. Tam też urządziły one dla mnie w przepelnionych salach bardzo serdeczne przyjęcie. Na jedno z nich przybył także ksiądz litewski, który zajmuje się tu opieką duszpasterską nad swoimi rodakami. W przemówieniu swym mocno podkreślił, że wspólna nam wiara św. jest tą jedyną siłą, która może i powinna doprowadzić do lepszych stosunków między Polską i Litwą.

Olbrzymia większość kolonii polskiej w Rosario należy do klasy robotniczej. Jest tu atoli także kilku rodaków z inteligencji, którzy dzięki swej twórczej działalności wyrobili sobie poważne stanowiska. Z radością stwierdzić należy, że łączą się oni z ogółem kolonii i współpracują z nią bardzo gorliwie. Wyróżnia się wśród nich inżynier Roman Białecki, prezes jednego z towarzystw. Jako dyrektor fabryki dykt i wybitny fachowiec w tej dziedzinie przemysłu, cieszy się on w Rosario dużym uznaniem. W pięk-

nym swoim mieszkaniu pokazał nam cudowne intarsje o wysokiej artystycznej wartości, jakie dzięki jego inicjatywie fabryka, na czele której stoi, poczyną wyrabiać. Jest to człowiek jeszcze młody, spokojny, zrównoważony, przy tym głęboko wierzący i o solidnym patriotyzmie. Przy okazji mego przemówienia przez radio do argentyńskiej publiczności, usilnie mnie prosił, abym mocno podkreślił, że Polacy są katolikami, bo takie podkreślenie jest potrzebne wobec złej opinii jaką Żydzi wyrobili tu Polsce. Prosił mnie również gorąco w swym przemówieniu powitalnym na sali Towarzystwa o poczynienie odpowiednich kroków, by w Rosario została stworzona polska placówka duszpasterska stała, jaką tu już posiadają Litwini i Węgrzy. Nie mniej gorliwie, jak p. inżynier Białecki, udziela się polskiej kolonii p. Prokopowicz, starszy, poważny przemysłowiec, mieszkający w okolicy Rosario.

W bardzo licznej kolonii w P u e b l o N u e v o, gdzie znajduje się wielka rzeźnia, albo raczej fabryki wyrobów mięsnych — „frigorifico“ — otwarta została niedawno, przy pięknym „Domu Polskim“, polska szkoła z polskim nauczycielem. Dzieci tu jest dużo, bo większa część osiadłych tu rodaków zdołała sprowadzić z kraju swoje rodziny. Zarobki na ogół są zadawalniające, przeciętna płaca dzienna wynosi 4½ pesa. Liczni rodacy zdołali już wybudować sobie własne domki. Między nimi jest jednak sporo bezrobotnych, choć

tylko na okres przejściowy, ponieważ na ogół kryzys gospodarczy w Argentynie ma przebieg łagodny, choć i tu zaznacza się, jak dziś, niestety, na całym świecie.

5. **Santa Fé.** W pięknym tym mieście, leżącym na północ od Rosario, tak samo wzdłuż brzegu rzeki Parana, mogłem zatrzymać się tylko przez jeden dzień. Ten krótki czas wystarczył jednak, aby odprawić nabożeństwo dla tutejszej kolonii polskiej i przepędzić kilka godzin w jej Ognisku, odwiedzić kilku rodaków w ich domach, złożyć wizytę miejscowemu biskupowi i zapoznać się choć pobieżnie z warunkami pracy i życia naszych rodaków. I tu również nie ma stałej polskiej placówki duszpasterskiej, ani też polskiej szkoły. Trudno mi powiedzieć, czy jedna i druga mogłyby tu się utrzymać, gdyż nie udało mi się stwierdzić, ile właściwie dusz liczy kolonia. Na zebraniu w Ognisku było około 100 rodaków. W każdym razie już to samo stanowiłoby dla kolonii w Santa Fé wielką pomoc, przynajmniej pod względem opieki duchowej, gdyby stała polska placówka duszpasterska została utworzona w Rosario, gdzie jest koniecznie potrzebna. Bo z Rosario, odległego od Santa Fé zaledwie o cztery godziny drogi koleją, mógłby ksiądz polski częściej dojeżdżać niż z Buenos Aires, jak się to dzieje dotąd. Polskie Towarzystwo, jakie się tu znajduje, wykazuje dużo żywotności pod kierownictwem dzielnego młodego prezesa.

Kilku rodaków zdobyło już sobie tutaj poważne stanowisko społeczne, inni zarabiają dobrze; i tu jednak jest sporo bezrobotnych. W wielkim kolegium Ojców Jezuitów, gdzie zostałem bardzo serdecznie przyjęty, służba — młodzi chłopcy — jest przeważnie polska. Polaka służącego ma również biskup. Kolonia przedstawia się bardzo dobrze, jest w niej zgoda, żywa wiara, gorąca miłość do Ojczyzny. Warunki zdrowotne są zadowalające. Ludzie dobrze wyglądają; mimo tęsknoty za Ojczyzną nie widać u nich żadnego przygnębienia, przeciwnie, pełni są życia, przedsiębiorczości i inicjatywy. Można więc być spokojnym o los tej kolonii, zwłaszcza gdy będzie miała lepszą opiekę duszpasterską i własną choćby najskromniejszą szkołę polską.

Opuściłem Santa Fé 30 października, żegnany gorąco przez drogich rodaków. Czekala mnie stąd długa, bo przeszło 1000 kilometrowa podróż do innego, zupełnie odmiennego odcinka naszego wychodźstwa, do Misjones, gdzie w przeciwieństwie do odwiedzonych dotychczas placówek robotniczych w wielkich miastach, nasi wychodźcy żyją rozproszeni na wielkich obszarach leśnych i górzystych, zajmując się pracą na roli na własnych wzorowych gospodarstwach. Stanowią oni osobny typ naszego wychodźstwa, nader ciekawy. O nich, o ile mi czas pozwoli, napiszę obszerniej w następnym liście.

Wyznaję szczerze, że misja moja wymaga ode

mnie dużego wysiłku. Wciąż znajduję się albo w drodze, bądź na kolei, bądź w samochodzie, albo w kościołach, albo też w salach, urządzając nabożeństwa lub pogadanki z naszymi rodakami. Odległości między poszczególnymi placówkami są olbrzymie. Od Montevideo do Posadas, skąd ten list wysyłam, mam już za sobą kilka tysięcy kilometrów. Koleje są bardzo wygodne, męczą jednak, jeżeli w nich trzeba przesiadywać całymi dniami i nocami, często przy nieznośnych upałach. Nierzadko temperatura dochodzi tu do 40 stopni. A jest to dopiero pora wiosenna. Podczas takich też upałów trzeba odprawiać nabożeństwa, wygłaszać kazania, przemawiać na salach. Mimo to, przynajmniej dotąd, nie odczuwam przemęczenia i znużenia. Żyję bowiem w nieustannym napięciu, przeżywam wciąż nowe, potężne wrażenia. Radość i wdzięczność wychodźców wciąż mnie podnosi, każąc mi zapominać o wszelkich trudach. Dobrze mi jest wśród nich. Niekiedy zdaje mi się, że nie ja im przynoszę nowe duchowe siły z ojczyzny, ale że raczej oni wzmacniają mnie w wierze i miłości ku niej. Tak żywa jest ich wiara, tak gorąca ich miłość do kraju ojczystego, iż stąd duma moja, że jestem Polakiem, wzmagą się. Wszak widzę w nich wszędzie nie-spożytą twórczą siłę polską, która nawet w najtrudniejszych warunkach nie załamuje się, ale wszędzie z wytrwałością potrafi pokonywać wszelkie przeszkody, stwarzając tu nową, piękną, du-

chową Polonię. Poza tym wszędzie znajduję jak najdalej idącą pomoc w spełnieniu swej misji; pomagają mi nasze placówki dyplomatyczne, pomagają nasi polscy duszpasterze, pomaga mi samo wychodztwo; pomagają tutejsze władze kościelne i zgromadzenia zakonne, szczególnie Ojców Jezuitów, Księży Salezjanów i księży ze Zgromadzenia Słowa Bożego. Samo społeczeństwo argentyńskie odnosi się do mnie i do mej misji z coraz większą sympatią.

Kraj jest nader ciekawy. Dużo czytałem o nim dawniej, miałem więc już pewne wytworzone pojęcia, z którymi do niego przyjechałem. Teraz widzę, że pojęcia te po większej części, trzeba zmienić. Rzeczywistość bowiem przedstawia inny obraz, na ogół dodatniejszy. Trudno mi wobec braku czasu i ogromnego bogactwa świeżych wrażeń, jakie mi wciąż się narzucają, skreślić ten obraz rzeczywistości choćby w krótkich rysach; mogę tylko zaznaczyć, że Argentyna jest krajem o wielkiej przyszłości. Wobec tego jest rzeczą wielce pożądaną, aby nasze tutejsze wychodztwo jak najmocniej w nim się zakorzeniło i wyrobiło sobie jak najwyższe poważanie i uznanie w tutejszym społeczeństwie. Mam też wrażenie, że dzielni rodacy nasi znajdują się na tej drodze.

6. Nowe życie polskie na ruinach starej kultury jezuickiej w Misjonas

Między górnym brzegiem rzeki Parany na zachód, a górnym brzegiem rzeki Urugwaju na wschód, między państwem Paragwaju z jednej strony a Brazylią z drugiej, leży najbardziej na północ wysunięta część wielkiego państwa Argentyny, terytorium Misjonas. Jest to kraj niezwykle interesujący. W 17-wieku, w porozumieniu z królem hiszpańskim, pod berłem którego była wówczas ta ziemia, i w zależności od niego, stworzyli tu Ojcowie Jezuici wielkie państwo o ciekawej strukturze społecznej i niemniej ciekawym ustroju gospodarczym. Przejęci gorącą miłością do każdej, choćby najbiedniejszej duszy, a widząc z bólem serca, jak biali zdobywcy Południowej Ameryki wyzyskali w brutalny sposób pierwotnych mieszkańców tego kraju, nieszczęśliwych Indian, jak ich demoralizowali i niszczyli, zamiast podnosić do wyżyn kultury chrześcijańskiej, Ojcowie Jezuici przyszli do przekonania, że można tę ludność uratować i zdobyć dla Chrystusa oraz kultury chrześcijańskiej tylko wtedy, gdy się ją wyrwie spod władzy, otoczenia i wpływów białych i stworzy dla niej osobne osiedla,



Typowy dworzec brazylijski.



Prymitywny wóz w głębi dżungli.

nieprzystępne dla Hiszpanów. Myśl ta znalazła zrozumienie u króla; to też za jego zgodą i zezwoleniem Ojcowie Jezuici z niebywałą energią zabrali się do jej zrealizowania. I zrealizowali ją znakomicie. Powstały liczne, dobrze zorganizowane osiedla indyjskie, w których dziesiątki tysięcy Indian znalazło nie tylko schronienie, chleb i pracę, ale także możność wysokiego rozwoju kulturalnego. Pod mądrym kierownictwem czcigodnych ojców, owi dzicy przemienili się w stosunkowo krótkim czasie na ludzi o wysokiej kulturze chrześcijańskiej i na dzielnych członków społeczeństwa. Przyzwyczajali się do systematycznej pracy, nauczyli się rolnictwa i rzemiosła, czytać i pisać, a nawet drukować książki. Rozwinęły się u nich także różnego rodzaju sztuki piękne, szczególnie muzyka i rzeźbiarstwo; powstało regularne karne wojsko, które zwycięsko odpierać potrafiło ataki wrogów.

Dzieła, które tu stworzyli Ojcowie Jezuici są tak potężne i tak piękne, że pozostałe po nich ruiny jeszcze po dziś dzień budzą podziw; porządek zaś społeczny i gospodarczy, który regulował życie i pracę w tym państwie, był tak oryginalny, że zwłaszcza w obecnych czasach poszukiwania nowego porządku społecznego i gospodarczego, — stał się przedmiotem badań największych uczonych socjologów. Była to społeczność, w której w przedziwny sposób została urzeczywistniona najwznioślejsza chrześcijańska myśl społeczna.

Niestety, pycha i zarozumiałość białych zdobywców hiszpańskich nie mogła znieść tej społeczności, niezależnej od nich, lecz kierowanej bezinteresownie przez zakonników, przy pewnym samorządzie Indian. Chciwość ich nie mogła pogodzić się z tym, że nie można było wyzyskiwać nadal biednej ludności, która w „r e d u k c j a c h” — tak bowiem nazywano te osiedla — znalazła bezpieczne schronienie. Poza tym kusily ich wieści o ogromnych bogactwach, które tu rzekomo Jezuici nagromadzili. Z braku miejsca trudno opisać walki, które wskutek tej pychy i chciwości białych toczyły się w tym kraju. Można tylko ze smutkiem stwierdzić, że ostatecznie Ojcowie Jezuici musieli ustąpić, że wielkie ich dzieło dostało się w inne ręce i upadło. Indianie zostali wytępieni, lub wypędzeni w lasy, albo też stali się niewolnikami białych. Kraj zamienił się na nowo w dziką puszcę. Pozostały tylko potężne ruiny, zarosnięte bujną roślinnością, które świadczą o tym, że niegdyś istniała tu wielka chrześcijańska kultura. Pozostały tylko nazwy, które wskazują, gdzie niegdyś znajdowały się poszczególne osiedla tego jedyne go w swym rodzaju państwa jezuickiego. Już sama nazwa kraju: Misjones — Misje — przypomina do dziś dnia jak wiele apostołskiej pracy włożyli Ojcowie Jezuici w tę ziemię, a inne nazwy, którymi oznaczali poszczególne osiedla, jak Apostoles (Apostoły), San Ignacio (św. Ignacy), Concepcion (Poczęcie Najśw. Maryi Pan-

ny), Corpus Christi (Ciało Pańskie), Candelaria (Matka Boska Gromniczna), Nuestra Sennora de Loreto (Matka Boska Loretańska), San Xavier (św. Ksawery), San Jose (św. Józef), Santa Anna (św. Anna), Martires (Męczennicy) i t. d. do dziś dnia głoszą, jak piękne tu niegdyś panowało życie religijne. Zdawało się, jakoby ten kraj już nigdy nie miał odżyć nowym życiem, jakoby Bóg rzucił nań klątwę za popełnione na nim zbrodnie, za przelaną na nim krew.

Dobry Bóg jednak nie przestał kochać tej ziemi, na której niegdyś tyle świątyń i tyle serc głosiło Jego święte Imię. I otóż w dzisiejszych czasach powołał do tego kraju synów narodu apostołskiego, zawsze wiernego Synowi Jego Chrystusowi i Jego Kościołowi św., powołał na tę ziemię daleko z za oceanu naszego polskiego chłopca, by ją znowu uświęcić, by na niej stworzyć nowe Królestwo Chrystusowe. I przybyli tu nasi chłopcy, mniej więcej 30 lat temu, i głęboko się zakorzenili w tej ziemi czerwonej, bo jest czerwona, jak krew; przybyli przeważnie z Małopolski: Polacy i Rusini. Dziś liczba ich, po tylu latach, znacznie się powiększyła jako, że mają liczne rodziny, i wynosi około 22.000, na ogólną ludność kraju, wynoszącą 120.000 dusz. Prawie wszyscy są gorliwymi katolikami, z przewagą jednak unitów-rusinów, należących, jak wiadomo, mimo innego obżądku, tak samo jak Polacy do Kościoła katolickiego. A z katolickim naszym ludem przybył

tu nasz katolicki ksiądz. Jest ich tu wprawdzie mało, bo tylko trzech księży polskich, a jeden ksiądz rusiński, ale pracują nader gorliwie w najtrudniejszych warunkach, jako prawdziwi misjonarze-apostołowie. Tym sposobem kraj „Misjonnes“ stał się znowu krajem misyjnym, gdzie polski ksiądz i polski lud katolicki rozszerzają wiarę świętą. Wśród ruin jezuickich świątyń wznoszą się na nowo kościoły katolickie i znów się rozwija bogate życie religijne. Tworzy się Królestwo Chrystusowe i szerzy się chrześcijańska kultura i cywilizacja. Do starych świętych nazw redukcji jezuickich, o których wspomnieliśmy, przybyły nowe, tak samo święte nazwy osiedli polskich. Mamy tu „Wojciechowo“, „Magdalenowo“, „Stanisławowo“, „Wincentowo“, „Jackowo“, „Marianowo“ i inne. Wprawdzie kościoły, od których osiedla naszego wychodztwa mają te nazwy, nie są tak wspaniałe, jak niegdyś były kościoły jezuickie, są to bowiem raczej skromne, drewniane kapliczki w miłym stylu polskim, ale życie religijne, promieniujące z nich na cały kraj, jest nie mniej bogate, jak było ongiś za czasów jezuickich. Mogłem to sam stwierdzić, odwiedzając przez 12 dni, od 3—15 listopada, poszczególne osiedla w Misjonnes. Wszędzie byłem głęboko wzruszony przepięknymi objawami żywej, czynnej i gorącej wiary, jaką wykazuje tu nasze wychodztwo. Wszędzie zachowali nasze stare, katolickie zwyczaje i obyczaje, śpiewają nasze piękne religijne pieśni,

dbają o religijne wychowanie swych dzieci, łączą się w bractwach religijnych i katolickich organizacjach. Pilnie stoją na straży, by nie wdarło się w ich szeregi sekciarstwo, by nie osłabł lub nie upadł między nimi duch religijny.

A trzeba stwierdzić, że utrzymanie życia kościelnego, religijnego nie jest dla rodaków naszych w tym kraju wcale tak łatwym zadaniem. Wszak nigdzie, może tylko z jednym wyjątkiem, jakim jest parafia Apostoles, nie tworzą oni zwartych skupisk: wsi i miasteczek, ale mieszkają daleko jeden od drugiego na swych gospodarstwach, rozproszonych na olbrzymich obszarach. Drogi są tu złe, w czasach deszczowych prawie nie do przebycia. W szkołach argentyńskich, do których uczęszczają ich dzieci, nie istnieje obowiązkowa nauka religii. A polskich księży, którzy by im mogli udzielać tej nauki, jest, jak już wspomnieliśmy, na całym olbrzymim terytorium Misjones tylko trzech, polskich zaś nauczycieli nie wielu więcej. Wskutek tego nauka religii, podobnie jak nauka języka polskiego, może się odbywać tylko dorywczo, przygodnie.

Są osiedla do których ksiądz i nauczyciel nigdy, albo zaledwie raz lub dwa razy do roku może dojechać. Mimo to nasi dzielni wychodźcy czynią wszystko, by pozostać dobrymi katolikami i dobrymi Polakami.

Jak trudna jest tu komunikacja niech świadczy fakt, że w ciągu 12 dni mego pobytu w Misjones

musiałem przebyć samochodem około 1500 kilometrów drogi, by objechać choćby tylko najważniejsze osiedla. A często wskutek złego stanu dróg po deszczach musieliśmy wracać, nie mogąc dotrzeć do wyznaczonego celu naszej drogi, ku wielkiemu naszemu żalowi i bolesnemu rozczarowaniu rodaków, oczekujących nas z tęsknotą przy swoich kościółkach, ukrytych w gęstych, pierwotnych lasach podzwrotnikowych.

Łatwo sobie przedstawić, jak trudna jest w tych warunkach praca księdza, a także nauczyciela polskiego. Przytoczę jeden tylko przykład. Okręg duszpasterski, powierzony X. Tomali ze Zgromadzenia Słowa Bożego, ciągnie się wzdłuż i wszerz około 100 kilometrów wśród gór i lasów. Na tym terytorium znajduje się 10 kaplic, z tych 6 polskich. Do każdej od czasu do czasu ksiądz musi dojeżdżać, a oprócz tego musi odprawiać nabożeństwa w kilku innych jeszcze miejscach, zazwyczaj w chatach kolonistów, bo niektóre osiedla jeszcze nie zdobyły się na własną kaplicę, a do istniejących już droga jest zbyt daleka i trudna. Żeby w takich warunkach spełnić swoje obowiązki kapłańskie — a X. Tomala spełnia je z podziwu godną gorliwością — trzeba prawie wciąż siedzieć na koniu. Bo to jest jedyny tu dla niego możliwy i dosyć pewny środek lokomocji. Będąc prawie wciąż w drodze, X. Tomala właściwie nie posiada stałego mieszkania, ale zatrzymuje się raz tu, raz tam, jak tego okoliczności wymagają.

w skromnych przybudówkach przy kościółkach, gdzie prócz łóżka, stołu i krzesła nie ma żadnych innych mebli. Jego okręg duszpasterski liczy około 4000 dusz, w tym około 1000 Polaków, większość więc należy do innych narodowości, włoskiej, niemieckiej i argentyńskiej. Jest on zatem duszpasterzem nie tylko Polaków, ale i innych narodowości, musi głosić nauki w różnych językach, zadawałniać zarówno wszystkich parafian i równą wszystkich otaczać opieką duszpasterską. Stąd powstają różne trudności, bo i tu na terenie kolonizacyjnym istnieją namiętności i zazdrości narodowe, które często w bolesny sposób odbijają się właśnie na księdzu duszpasterzu, pragnącemu jak św. Paweł apostoł, być „wszystkim dla wszystkich“. Trzeba mieć nie tylko żelazne zdrowie, ale przede wszystkim posiadać ducha najwyższego samozaparcia, ofiarności i gorliwości apostołskiej, żeby w takich warunkach wytrwać na posterunku i wiernie spełniać swe obowiązki, nie zrażając się żadnymi trudnościami i przeszkodami zewnętrznymi ani wewnętrznymi.

Stanowczo jednak liczba księży w Misjones powinna być powiększona. Inaczej ci, co tu z takim poświęceniem pracują, prędzej czy później załamają się, nie mogąc przy tym, pomimo naprawdę bohaterskich wysiłków, sprostać wszystkim zadaniom, jakich wymaga od nich urząd kapłański i wielkie potrzeby duchowe naszego wychodźstwa. To samo można mniej więcej

powiedzieć o nauczycielach polskich, którzy tu są zatrudnieni. I oni pracują w nader trudnych warunkach i ich liczba jest za mała. Należy koniecznie znaleźć sposoby i środki, by stworzyć w Misjones odpowiednią ilość placówek duszpasterskich i nauczycielskich.

Wychodztwo nasze gorąco tego się domaga i na to też zasługuje. Samo z własnych sił, przynajmniej dziś jeszcze, tych placówek stworzyć nie może, nie tyle z braku środków materialnych, na to by jeszcze starczyło, ile raczej z braku odpowiednich ludzi. Kapłanów i nauczycieli powinna im dostarczać Ojczyzna i to kapłanów i nauczycieli pierwszorzędnych, gorliwych, umiejących się wżyć w specjalną umysłowość wychodztwa i dostosować się do warunków życia w tym kraju i do jego potrzeb.

Stanowczo więcej, niż dotąd powinniśmy się w kraju interesować naszym wychodźstwem w Misjones. Już w innym liście zaznaczyłem, że warunki materialne dla polskiej emigracji w Argentynie są dobre, a w przyszłości mogą być jeszcze lepsze. Szczególnie odnosi się to do Misjones. Nasze wychodztwo nadzwyczaj dobrze się tu zaaklimatyzowało i zagospodarowało. Wielka jego część dorobiła się już wcale poważnego majątku, a inni znajdują się na drodze do tego. Jest to kraj piękny, bogaty, żyzny. Na 29674 km kw. przestrzeni liczy on odopiero około 120,000 mieszkańców, a więc mniej więcej czterech na 1 km kw.

Jest tu więc jeszcze bardzo dużo miejsca dla kolonistów. Tylko południowa część kraju jest więcej ucywilizowana i zaludniona. Tu też leży stolica kraju, Posadas, na brzegu wielkiej rzeki Parany. W Posadas też kończy się kolej, łącząca Misiones ze stolicą Argentyny, Buenos Aires. Odległość między jedną a drugą miejscowością wynosi nie mniej jak 1200 kilometrów. Reszta kraju to jeszcze pierwotna puszcza, górzysta, pokryta lasami; częściowo tylko ma charakter stepu. Roślinność jest nader bujna, tropikalna. Nigdzie nie jest zbyt daleko do wielkich rzek Parany i Urugwaju, które już dziś stanowią znakomite drogi wodne, łączące ten kraj, leżący w głębi kontynentu, z morzem i światem. Płynąc przez setki kilometrów prawie równolegle do siebie w kierunku południowym, dwie te wspaniałe rzeki niezbyt daleko od Buenos Aires łączą się, tworząc szeroką rzekę La Plata, która ma swoje ujście do Atlantyku przy Montevideo, stolicy Urugwaju. W miesiącach letnich — od listopada do marca — jest tu bardzo gorąco. Podczas mego pobytu były dni, w których termometr wykazywał aż do 40 stopni w cieniu, a była tu wtedy dopiero wiosna. Na ogół jednak klimat jest znośny. Nasz lud czuje się tu pod względem zdrowotnym bardzo dobrze. Polak stanowi tu wspaniały typ pioniera, pełen siły, energii, żywotności, godności i ambicji. Mimo ciężkich przeżyć, które mieli niewątpliwie w samych początkach, nie wykazują

wychodźcy nasi żadnego znużenia, czy to fizycznego czy duchowego. Przeciwnie, wszędzie wi-
dać przedsiębiorczość, inicjatywę, ruchliwość. Nie
są to już chłopci niezaradni, ale raczej ziemianie,
plantatorzy, przedsiębiorcy i kupcy.

Gospodarstwa ich, jak na naszą miarę, są duże.
Przeciętnie zajmują 25 ha czyli 100 morgów pru-
skich. Ale jest wielu takich, którzy posiadają 50,
75 i 100 hektarów i więcej. Są oni panami na swo-
jej ziemi i za takich też się uważają ze słuszną
dumą. Bo wszystko, co posiadają, zdobyli własn-
ą, ciężką, wytrwałą pracą i przemyślnością, prze-
mieniając dziką puszcę w urodzajną glebę. Główną
podstawą ich gospodarstwa jest w starszych ko-
loniach yerba, w młodszych tytoń. Yerba to drze-
wo albo raczej krzak, osiągający wysokość kilku
metrów, z którego liści wyrabia się rodzaj herba-
ty, konsumowanej tu w Ameryce Południowej w
niewiarogodnych wprost ilościach, w osobnych na
to przeznaczonych naczyniach, nazywających się
„mate“. Yerba potrzebuje kilka lat, by wyrósć
i przynieść zysk; dlatego w młodych koloniach,
gdzie dopiero wykarczowano las, uprawiają prze-
de wszystkim tytoń i kukurydzę, które już w pier-
wszym roku dają zbiory. Zboże na czerwonej
ziemi Misjones nie opłaca się, dlatego rzadko się
je uprawia, chyba dla własnego użytku.

Z podziwu godną umiejętnością wychodźcy na-
si przystosowali się do tych całkiem innych niż
w starym kraju warunków pracy na roli i stwo-

rzyli gospodarstwa o wysokiej kulturze i dużej rentowności. Przytaczam kilka przykładów. Kolonista Łukowski posiada 75 ha ziemi; 25 ha zajmuje plantacja yerby — 25000 drzewek, które — jak mi z dumą opowiadał — sam ze swoją rodziną zasadził. Drzewka te dają corocznie mniej więcej 50000 kg yerby. Dochód z nich wynosi około 10000 pesów, czyli przeszło 13000 złotych. W czasie żniwa — od maja do grudnia — zatrudnia Łukowski 50 do 60 robotników, przeważnie Paragwajczyków. Posiada samochód ciężarowy i samochód osobowy. Dom, jaki sobie wybudował na swojej ziemi, jest murowany, obszerny, wygodny. Jest to raczej piękny dwór, niż chata chłopska, ma nawet własne elektryczne światło. Z siedmiu synów Łukowskiego trzech ma już własne gospodarstwo, jeden o obszarze 55 ha, a dwaj inni po 37½ ha. Majątek jednego z jego zięciów ma dziś wartość około 300000 pesów, czyli przeszło 400000 złotych. Zięć ten produkuje corocznie około 100000 kg yerby, co przynosi mu dochodu około 20000 pesów. A zdarzają się polskie gospodarstwa jeszcze większe i bardziej uprzemysłowione z tartakami, łuskarniami ryżu — bo i ryż z powodzeniem tu się uprawia, ze składami towarów i t. d. Gdy Łukowski przybył do Ameryki był biednym chłopakiem, nie umiejącym czytać ani pisać. Nauczył się tej sztuki dopiero od swoich dzieci, kiedy poczęły uczęszczać do szkoły. A dziś jest, jak na nasze stosunki, bogatym panem,

głową wielkiej rodziny, bo choć liczy dopiero 56 lat ma już nie tylko licznych wnuków, ale doczeka się w krótkim czasie nawet prawnuków, bo już jedna z jego wnuczek wyszła za mąż.

Nie mniejsze powodzenie mieli dwaj inni rodacy, Michał Zubrzycki i Jan Szychowski w Apostoles. Jeden i drugi to self — made — many na wielką skalę, przy tym są to ludzie o dużej kulturze, bo pracując nad dorobieniem się wielkiego majątku, nie zaniedbali pracy nad sobą. Rozpoczęli swoją karierę jako synowie ubogich kolonistów. Dziś są nie tylko plantatorami na wielkich obszarach ziemi, ale równocześnie poważnymi przemysłowcami i kupcami o śmiałej inicjatywie, obracającymi dużymi kapitałami. Wartość ich majątku obliczają na setki tysięcy pesów. A zdobyli ten majątek w stosunkowo krótkim czasie, gdyż obaj liczą dopiero około 50 lat. Gospodarcza i społeczna pozycja i wpływy, szczególnie p. Żubrzyckiego, są tak silne w Misjones, że może pozwolić sobie — jeżeli to uważa za pożądane — nawet na walkę z samym gubernatorem.

Podobnych przykładów żywotności i energii, przedsiębiorczości i wytrwałości naszych wychodźców mógłbym więcej wyliczyć.

Zanim jednak nasi rodacy doszli do tej siły gospodarczej i społecznej, jaką dziś posiadają w starszych, dziś dobrze już zagospodarowanych koloniach, jak Apostoles, Azara i Corpus, musieli przejść nader ciężkie doświadczenia. Mogłem so-

bie wyrobić o tym dość konkretne pojęcie nie tylko z ich opowiadań, ale także z własnej obserwacji, odwiedzając najmłodszą kolonię polską, która się tu dopiero tworzy. Kolonia ta, nosząca nazwę „Polana“, powstała z inicjatywy starszych kolonistów, którzy w tym celu założyli spółkę „Vistula“. Kolonia obejmuje 1500 hektarów i podzielona jest na 75 parceli po 20 ha. Stosownie do wartości ziemi koloniści płacą za 1 hektar od 65 do 110 pesów (peso argentyński ma wartość mniej więcej złotych 1.30). Warunki spłaty są dość dogodne. Przy nabyciu parceli należy uiścić pewien zadek, resztę zaś spłacić ratami w przeciągu dziesięciu lat, z tym, że pierwsze dwa lata, które koloniście nie przynoszą jeszcze żadnego zysku, wolne są od wszelkiej spłaty. Większa część parceli dziś już jest zajęta.

Nie było wcale tak łatwo dostać się do tej kolonii, ponieważ leży ona już poza krańcem cywilizacji, w dziewiczych lasach nad brzegiem rzeki Parany, która tworzy tu granicę między Argentyną i Paragwajem.

Kosztowało to nas od Posadas przeszło 100 km ciężkiej drogi samochodem przez stepy i lasy, a łodzią motorową na rzece jeszcze około 35 km, zanim dotarliśmy do tego, tak dla nas ciekawego punktu w głębi kontynentu Ameryki Południowej.

Podróż była nadzwyczaj romantyczna, zwłaszcza łodzią motorową po szerokiej rzece, obra-

mowanej bujnym tropikalnym lasem. Gdzieniegdzie tylko, prawie wyłącznie po stronie argentyńskiej, a raz zaledwie po stronie paragwajskiej, zauważyliśmy wśród zieleni dachy skromnych domów nowych kolonii, które się tu tworzą.

Wreszcie po długich godzinach dotarliśmy do „Polany“. Na wysokim skalistym brzegu rzeki zrobiony już został szeroki wyłom w wysokiej ścianie lasu. Tu postawiono dwie niskie, skromne chaty. W jednej mieści się „gospoda“, w drugiej mieszka i rządzi młody, dzielny administrator kolonii, inż. B z o w s k i, piękny typ prawdziwego pioniera.

W gospodzie znaleźliśmy liczną rodzinę kolonisty, który przybył tu dopiero przed kilku tygodniami z województwa poznańskiego, a jeszcze nie zdołał wybudować sobie własnej chaty. Inni już postawili sobie skromne drewniane domki, albo raczej szałas, wykarczowali około nich część lasu i zabrali się do uprawy oczyszczonej z chwastów ziemi. Sadzą na niej przede wszystkim tytoń, bo ten odrazu przynosi zysk, poza tym kukurydzę, z której mąki wypiekać mogą dla siebie chleb. Bydła tu na razie chować nie można, gdyż w nieprzebytych lasach brak jest pastwisk. Gleba nie nadaje się także pod uprawę pszenicy i innych zbóż, bardzo natomiast odpowiednia jest pod uprawę yerby, głównego produktu ziemi misjeńskiej. By jednak yerba przyniosła odpowiedni zysk, trzeba wykarczować duże obszary lasu

i czekać kilka lat, zanim wyrośnie. Karczowanie lasu jest pracą nader ciężką, gdyż las tutejszy gęsto podszyty różnego rodzaju krzewami i krzakami, nad którymi wznoszą się grube, wysokie drzewa, to jakby ogromna, zielona, żywa góra bez najmniejszych szczelin, przez które mógłby przejść człowiek. Drogi, nawet ścieżki, w tej górze trzeba dopiero wprost wyrębać. Są też one raczej podobne do tuneli niż do otwartych dróg. A i nad wykarczowaną już ziemią trzeba wciąż czuwać i pracować, by znów nie pokryła się chwastem i inną niepotrzebną roślinnością, niszczącą przy tym zasiewy. Ciężkie więc jest naprawdę życie kolonisty na „Polanie“, ale za to ma on przed sobą przyszłość, gdyż wie, że jeżeli tylko wytrwa, stworzy tu sobie wielki i piękny warsztat pracy, jaki posiadają już w starych koloniach rodacy, którzy w takich samych warunkach rozpoczęli pracę. Dlatego też nowi przybysze, pełni nadziei, zabrali się do kolonizacji tego pięknego kawałka dziewiczej ziemi. Szkoda tylko, że jest on tak mały, gdyż obejmuje, jak powiedziałem, zaledwie obszar 1500 hektarów.

Spędziłem na „Polanie“ kilka precudnych godzin. Przybycie moje w towarzystwie konsulów polskich z Buenos Aires i z Posadas stanowiło dla kolonistów wielkie święto. Gościli nas jak mogli. Na wieczną zaś pamiątkę tego dla nich tak wielkiego dnia wzniesli na najwyższym punkcie twerzącej się kolonii olbrzymi krzyż. Była to

niezmiernie wzruszająca chwila, kiedy go poświęciłem, kiedyśmy u stóp jego wszyscy uklękli, aby w gorącej modlitwie polecić nową polską placówkę na ziemi argentyńskiej Chrystusowi Królowi i kiedyśmy zaśpiewali: „Boże, coś Polskę“. Daj Boże, żeby ten krzyż, wzniesiony z taką wiarą, stał się naprawdę znakiem zwycięstwa dla dzielnych naszych kolonistów, żeby w jego cieniu stworzyli tu nową piękną Polskę i znaleźli to szczęście, którego z taką tęsknotą szukają na obcej ziemi, w dziewiczych lasach.

Niestety, nie wszyscy wychodźcy znajdują tu upragnione szczęście. Dużo, zbyt dużo z nich załamuje się fizycznie lub moralnie. Na zaproszenie argentyńskiego sędziego w Posadas, odprawiłem Mszę świętą w tamtejszym więzieniu, które zresztą przedstawia się bardzo przyzwoicie. W nabożeństwie brali udział wszyscy więźniowie, w liczbie około 150; dzięki Bogu znalazłem między nimi tylko dwóch Polaków, ale jeden z nich był zabójcą. Rozmawiałem z nim. Był to człowiek starszy, poważny, ojciec licznej rodziny, właściciel dużego gospodarstwa. Miał sprawę z argentyńskim komisarzem, jak powiadają, człowiekiem złym. I otóż w porywie nieopanowanego gniewu, rzucił się na niego i zabił go. Innego dnia znowu odwiedziłem w towarzystwie naszego Konsula w Posadas rodaka, który załamał się fizycznie. W lichej chatce siedział na łóżku człowiek, podobny już do kościotrupa, a był to niegdyś zamożny ko-

lonista. Nieroztropnie sprzedał ciężką pracą zdobytą ziemię, by w mieście szukać większego szczęścia. Oszukali go, żona ze zgryzoty mu zmarła. On sam z przepracowania nabawił się zapalenia płuc. Dziś już ruszyć się nie może, skazany na powolną śmierć w najskrajniejszej biedzie. Chętnie by umarł, gdyby miał tylko nadzieję, że pięcioro jego dzieci, jeszcze niedorosłych, znajdzie odpowiednią opiekę po jego śmierci. Ale tej nadziei, niestety, nie ma. Bo krewni, którzy by mogli zająć się nimi, mieszkają daleko za oceanem, pod Krakowem, a Polonia w Misjones, jak w ogóle w Argentynie, jeszcze nie zdobyła się na własny polski, katolicki sierociniec. Podobnych tragedii dużo się tu trafia. Naogół przetrwają tu, na wychodźstwie, tylko jednostki najzdrowsze i najdzielniejsze, ludzie silnej woli i głębokiej wiary. Inni łatwo giną.

Szczególnie łatwo giną tu, jak zresztą już wspomnieliśmy, mężczyźni, nie mający oparcia o rodzinę, bądź też ci, co nie sprowadzili jeszcze żony i dzieci z kraju. Jeżeli gdziekolwiek, to tu na wychodźstwie, szczególnie na roli, rodzina jest źródłem siły, zdrowia i szczęścia. Im większa tu jest rodzina, tym większy naogół też dobrobyt, tym pewniejsza przyszłość. Dlatego też rodziny naszych wychodźców w Misjones są bardzo liczne, a duch rodzinny głęboko zakorzeniony. Dziesięcioro i więcej dzieci w jednej rodzinie stanowi tu nie wyjątek, ale przeciętną normę. Ojciec, głowa ro-

dziny, cieszy się nadzwyczajną powagą nawet u synów i córek, posiadających już własne rodziny. Tworzą się tu wielkie familie, wielkie rody, rodzaj klanów, jak na początku cywilizacji w Europie, których członkowie utrzymują między sobą jak najściślejszą solidarność i przez to samo, jako zwarte grupy, stanowią wielką siłę gospodarczą i społeczną. Gdy wobec jednego z wodzów takiej wielkiej rodziny wyraziłem swój niepokój z powodu szerzenia się wśród wychodźstwa na tym odcinku pewnych niebezpiecznych kierunków, propagowanych przez niektóre agresywne, a przy tym dość wpływowe czynniki, odpowiedział mi spokojnie, ale z dumą: „Niech X. Biskup się nie obawia, moja rodzina wystarczy, żeby ich zmiażdżyć“. Gospodarstwa swego, dopóki żyją, nie dzielą koloniści między dzieci, ale starają się po ich dorostnięciu i wstąpieniu w związki małżeńskie zdobyć dla każdego z nich nowe gospodarstwo, przynajmniej 25 ha. Spotkać się tu można z „patriarchami“, których rodziny liczą już 70 do 100 członków. Takim patriarchą jest np. kolonista Gacała na „Wojciechowie“, 70-letni starzec, pełen jeszcze siły i żywotności. Z dumą opowiadał mi, że ma już 52 wnuków i wnuczek oraz jedną prawnuczkę. Wobec takiej siły żywotnej naszego wychodźstwa nie potrzebujemy się obawiać o jego przyszłość w tym kraju. Nawet gdyby został zamknięty dopływ nowych sił z Ojczyzny, wychodźstwo nasze rozrośnie się tu własną

siłą i zapuści coraz szerzej i głębiej korzenie na tej obcej ziemi, która niewątpliwie ma wielką przyszłość przed sobą.

Nie trzeba się też obawiać, by utraciło swoją polskość i wiarę ojców. Jak już bowiem stwierdziłem, w Misjones trwa wśród wychodźców polskich głęboka wiara i nie mniej głęboki patriotyzm. Żyje w nich także świadomość, że tu, na ziemi argentyńskiej, mają do spełnienia wielką misję dziejową dla Polski i dla Kościoła św. W tej też świadomości stworzyli oni sobie organizacje, by wspólnymi siłami skuteczniej misję tę spełnić.

Wprawdzie i w Misjones, podobnie jak w Montevideo i w Buenos Aires, i mniej więcej na tym samym tle i z tych samych powodów, jak tam, powstały w szeregach wychodźstwa spory i toczą się walki, lecz nie dotyczą one właściwie spraw zasadniczych. Zostały one wniesione w wychodźstwo raczej z zewnątrz przez czynniki, nie znające jego nastawienia duchowego, nie są zaś objawem osłabienia jego ducha katolickiego i polskiego. Wszyscy wychodźcy, prawie bez wyjątku, pozostać chcą zarówno dobrymi Polakami jak katolikami. Sekciarstwo nie zakorzeniło się wśród nich, choć czyniło próby w tym kierunku. Są atoli pewne koła, które by chciały osłabić wśród wychodźców autorytet duchowieństwa i działalność wyrażnie katolickich organizacji, zarzucając im, że są za mało patriotyczne, że nieprzychyl-

nie się odnoszą do polskich czynników rządowych, że ich posądzają o tendencje masońskie, o lekceważenie katolickich tradycji narodowych, o traktowanie katolików jako Polaków drugiej klasy.

Niestety nie mogłem pozbyć się wrażenia, jako by ten ostatni zarzut nie był niesłuszny, w każdym razie organizacje, pisma i działacze o kierunku obojętnym albo wrogim dla Kościoła cieszą się na ogół większą sympatią i większym poparciem ze strony czynników mniej lub więcej oficjalnych niż organizacje, pisma i działacze o wyraźnym nastawieniu katolickim.

Mam nadzieję, że mój pobyt w Misjones przyczynił się do zlikwidowania, przynajmniej złagodzenia tych sporów. Dobre chęci w tym kierunku istnieją po obu stronach. Mogłem się o tym przekonać w różnych rozmowach i na konferencjach, które przeprowadziłem z głównymi przedstawicielami dwóch tutejszych centralnych, dotąd nawzajem się zwalczających organizacyj polskich, oraz z redaktorami dwóch polskich pisemek, jakie tu wychodzą.

Pisemka te są słabe, biedne, robią sobie niepotrzebnie konkurencję. Wobec bardzo ograniczonej liczby prenumeratorów, na jakich polska gazeta w Misjones może liczyć, wystarczyłoby całkowicie jedno pismo. To też sytuacja, szczególnie redaktora katolickiego „Orędownika“, p. Czajkowskiego, nie cieszącego się jak jego konkurent

żadnymi subwencjami, jest pożałowania godną. Pan Czajkowski jest w jednej osobie wydawcą, redaktorem, zecerem i ekspedientem swego pi-semka. Redakcja, drukarnia i ekspedycja mieści się razem z jego liczną rodziną — żoną i 12 dzieci — w lichej chacie. Trzeba doprawdy być idealistą, by wytrwać na takiej placówce. Ale p. Czajkowski jest niewątpliwie idealistą, zapalony dla sprawy katolickiej i polskiej, którą energicznie, niekiedy w zbyt bojowy sposób, broni. Głównym działaczem katolickim obok niego jest p. Idzi, prezes „Unii“, związku katolickich stowarzyszeń polskich w Misjones. Jest to człowiek poważny, głęboko religijny. Z zawodu jest budowniczym. O tym, że powodzi mu się dobrze, świadczy piękna willa, jaką wybudował sobie w Posadas, stolicy Misjones.

Zamiłowani w pracy na roli, rodacy nasi naogół unikają miast. Stąd też kolonia polska w Posadas jest bardzo nieliczna. Nie ma też tu ani polskiego duszpasterza, ani polskiego nauczyciela. Jest tu natomiast od niedawna polska agencja konsularna. Młody, ruchliwy konsul, B o g d a n S z m e j k o, któremu ważna ta placówka została powierzona, mimo krótkiego urzędowania zasłużył sobie, o ile mogłem zauważyć, na zaufanie ogółu wychodźstwa, dzięki swej gorliwości i taktownemu postępowaniu. I — co niemniej ważne dla naszego wychodźstwa w Misjones, — zdobył sobie wielkie poważanie i wyrobił znakomite stosunki

w tutejszym argentyńskim społeczeństwie, — szczególnie u rządcy tego kraju, gubernatora dr Karola Acuna. Wysoki ten dostojnik argentyński, to osobistość o dużej kulturze, wielkiej inteligencji, silnej woli, a przy tym to człowiek bardzo uprzejmy i miły. Pod mocną jego ręką Misjones niewątpliwie w krótkim czasie zrobi znaczne postępy na drodze dalszej cywilizacji i rozwoju gospodarczego. Dobrze jest cieszyć się przyjaźnią tego wybitnego i wpływowego dostojnika, a cieszy się nią właśnie konsul Szmejko. Dzięki temu i ja również znalazłem najserdeczniejsze przyjęcie w pięknej rezydencji gubernatorskiej, a misja moja w Misjones najżyczliwsze poparcie.

Ale już największe usługi oddał mi sam konsul. Przez 12 dni mego pobytu w Misjones byłem gościem w jego naprawdę gościnnym domu w Posadas. Na pewno nie byłbym zniósł tak łatwo nadzwyczajnych trudów mego objazdu po rozproszonych na obszernym terenie koloniach naszego wychodźstwa w Misjones, gdybym nie był znalazł chwil wytchnienia i możliwości nabrania nowych sił w zdrowej, czysto polskiej atmosferze, jaka w tym domu panuje.

Tam też miałem sposobność zetknięcia się z gubernatorem i z innymi czołowymi przedstawicielami społeczeństwa misjońskiego. Tam również odbyłem ważne rozmowy i konferencje z naszymi polskimi duszpasterzami i ze świeckimi działaczami.

Poza tym konsul Szmejko nie tylko ułożył umiejętnie program mego objazdu, ale starał się także o to, bym go mógł jak najlepiej wykonać. Ponieważ kolej kończy się w Posadas, objazd musiał się odbyć za pomocą samochodu. Pan konsul nie tylko oddał mi do dyspozycji swój samochód, ale sam go prowadził. A nie było to łatwym zadaniem, gdyż drogi w Misjones są złe, niekiedy wprost karkołomne. Prowadzą przez stepy i dziewicze lasy, przez góry i doliny. Kilka godzin deszczu wystarczy, by zamienić je w głębokie błoto, a wyrwy, przerywające je, w szerokie rzeki. Trzeba być mistrzem w prowadzeniu samochodu, by te trudności pokonać. Często wracaliśmy dopiero około północy do domu, by następnego dnia w czas rano znowu wyjechać. Jak już wspomnieliśmy, w czternastu dniach mego pobytu w Misjones przebyliśmy samochodem nie mniej niż 1500 kilometrów drogi. Lecz ani konsul ani ja nie żalowaliśmy tych trudów. Wynagrodziły nam je sownie szczery entuzjazm i gorąca wdzięczność, z jaką nas wszędzie witali nasi wychodźcy. Przepędziliśmy między nimi najwznioślejsze chwile, tak w kościołach przy nabożeństwach, jak i w szkołach, na salach, a szczególnie w ich chatach przy przemiłych pogadankach. Toteż było mi bardzo ciężko rozstać się z nimi, i z tym ciekawym krajem, w którym na ruinach jezuickich kościołów nasi emigranci budują nowe Królestwo Chrystusowe i nową Polskę.

7. Z Argentyny do Brazylii przez rzekę Urugwaj

Główna część naszego wychodźstwa w Ameryce Południowej, w liczbie około 200.000, znajduje się w Brazylii. Skoro więc już znalazłem się na tym kontynencie i skoro odwiedziłem najważniejsze ośrodki naszego wychodźstwa w Argentynie, trzeba było poświęcić także kilka tygodni tej wielkiej rzeszy naszych rodaków, która się osiedliła w największym państwie Ameryki Południowej, jakim jest Brazylia. Oczekiwali mnie tam z nie-mniejszą tęsknotą niż rodacy w Argentynie.

Z Misjones do Brazylii nie jest właściwie daleko, gdyż to najbardziej na północ wysunięte terytorium Argentyny graniczy bezpośrednio z Brazylią. Nie było jednak tak łatwo przedostać się z jednego kraju do drugiego, bo Misjones — tak samo jak część Brazylii, z którą się styka — leży już na krańcu cywilizacji. Nie ma tu ani kolei, ani solidnych dróg, ani też znaczniejszych osiedli ludzkich. Jest natomiast step, jest dziewiczy las, dużo mniejszych i większych rzek, trudnych do przebycia, jest istne kłębowisko gór i dolin, — jednym słowem jeszcze prawie dzika puszcza z minimalnymi możliwościami komunikacyjnymi.

Wobec tego, rozważając różne możliwości przeprawy z Posadas, stolicy Misjones, do Brazylii, skłanialiśmy się raczej do wyboru drogi wprawdzie najdłuższej, ale za to najpewniejszej; najpewniejszej, gdyż można by ją odbywać koleją i statkiem. Droga ta byłaby naprawdę bardzo długa, bo trzeba by wpierw wrócić koleją do Buenos Aires — odległego od Posadas około 1200 kilometrów — z Buenos Aires kontynuować dalszą podróż statkiem na rzece La Plata do Montevideo, a stamtąd wreszcie przez ocean wzdłuż wybrzeża do portu Rio Grande, należącego już do Brazylii. Taka podróż, aczkolwiek stosunkowo wygodna, pochłonięłaby jednak dużo czasu, poza tym naraziłaby mnie na zbyt duże koszty. Na to sobie pozwolić nie mogłem, trzeba więc było odstąpić od tego zamiaru i zdecydować się na krótszą, choć trudniejszą i bardziej ryzykowną drogę.

Bardzo uśmiechała nam się droga wodna, jaką stanowi szeroka rzeka Parana i jej dopływ Iguassu, którego północny brzeg należy już do Brazylii. Tym więcej kusiła nas ta droga, że na niej moglibyśmy dotrzeć do wspaniałych wodospadów, które rzeka Iguassu tworzy właśnie na samej granicy między Argentyną i Brazylią, pono potężniejszych i piękniejszych niż słynny wodospad Niagara w Ameryce Północnej. Niestety, także i ten plan okazał się niewykonalnym, ponieważ nie znaleźliśmy żadnego statku, który by właśnie o tym

czasie wyruszał w danym kierunku. W górnej bowiem części rzeki Parana na północ od Posadas nie istnieje jeszcze stała komunikacja. Mieliliśmy wprawdzie nadzieję, iż gubernator Misjones, tak bardzo nam przychylny, odda nam do dyspozycji rządową „lanchę“ (łódź motorową), ale i ta nadzieja nas zawiodła.

Musieliśmy wobec tego zdecydować się na ostatnią możliwość, mianowicie zaryzykować podróż samochodami przez stepy i bory do Guaraní, najbliższej kolonii polskiej na ziemi brazylijskiej, odległej od Posadas około 300 kilometrów. Przy tym, co stanowiło szczególne ryzyko, trzeba było przeprawić się przez potężną rzekę Urugwaj, tworzącą na wschodzie Argentyny granicę między tym państwem a Brazylią.

Wyruszyliśmy z Posadas, wczesnym rankiem, dnia 16 listopada. Samochód silny, nowy Ford, prowadził sam konsul Szmejko; oprócz niego i mnie brali w tej wyprawie udział żona jego i matka oraz konsul Kraszkiewicz z Buenos Aires. W Apostoles miał się do nas przyłączyć jeszcze X. Widera, tamtejszy polski duszpasterz, który towarzyszył mi podczas mojej podróży duszpasterskiej wśród rodaków w Misjones. Wyjechał on już o dzień przedtem z Posadas do swej parafii, zabierając nasze walizki.

Było to po deszczu, droga była rozmoknięta, śliska; ponadto gęsta mgła opuściła się na ziemię. Wskutek tego samochód nasz nie mógł rozwinąć

odpowiedniej szybkości, lecz musiał się posuwać powoli i ostrożnie przez falisty step, rozciągający się między Posadas i Apostoles.

Stąd wynikło, że z pewnym opóźnieniem dostaliśmy się do Apostoles. Jest to najstarsza i najpoważniejsza z naszych tutejszych placówek. Miasteczko jest prawie całkiem polskie, podobnie jak szeroka okolica, którą dzielni nasi wychodźcy wytrwałą pionierską pracą przemienili ze stepu na urodzajną glebę. Jest tu murowany, piękny kościół, wygodna plebania, szkoła polska, okazały Dom Polski, sporo polskich kupców i rzemieślników. Nasi rodacy wykazują tu wielką przedsiębiorczość i dorobili się poważnego majątku; zaznaczają się też już wybitnie w życiu społecznym, miasta i okolicy, na pierwszym zaś miejscu p. Michał Zubrzycki, o którym już wspomniałem. Piastuje on też urząd burmistrza tego ważnego ośrodka gospodarczego, leżącego nad wielką linią kolejową, łączącą Misjones z Buenos Aires.

W Apostoles byłem już dwa tygodnie przedtem i przeżyłem tu wśród rodaków naprawdę wzniosłe chwile, stykając się z nimi tak w kościele, jak również na sali oraz w ich domach. Dlatego też tym razem nie zatrzymaliśmy się tu długo, lecz po krótkim odpoczynku na plebanii wyruszyliśmy dwoma samochodami w dalszą drogę.

Byliśmy zaledwie o kilka kilometrów poza miastem, kiedy zdarzył się wypadek, który mógł stać się dla nas wielką katastrofą. Otóż z samochodu,

w którym jechałem razem z X. Widerą, oderwało się nagle koło i w wielkich podskokach pędziło naprzód po stromej, kamienistej drodze. Na szczęście jechaliśmy powoli, inaczej samochód byłby się przewrócił i pogrzebał nas pod sobą, albo wyrzucił na ostre skały. Bóg nas zachował przed tym nieszczęściem i wyszliśmy z tego wypadku cało. Ale samochód już nie mógł dalej ruszyć. Co wobec tego robić? Dzięki Bogu, nie byliśmy jeszcze daleko od Apostoles, a wiedzieliśmy, iż możemy liczyć na pomoc dzielnego p. Żubrzyckiego, który, jak wielu innych tutejszych redaktorów, posiada własny samochód. I nie zawiedliśmy się. Konsul Szmejko swoim samochodem wrócił natychmiast do miasta i w krótkim czasie stanął na miejscu wypadku z drugim samochodem, prowadzonym przez samego p. Żubrzyckiego. Dalejsza podróż aż do rzeki Urugwaju odbyła się już bez wypadku, choć była nader trudna. Droga prowadziła przeważnie przez nierówny step, pokryty gęstymi kępami wysokiej, całkiem już suchej trawy. Dopiero blisko rzeki znowu zanurzyliśmy się w gęste, zielone bory. Wśród borów tych, już nad samym wysokim brzegiem rzeki, leży małe miasteczko San Xavier, na miejscu, gdzie dawniej istniała jedna z owych redukcji o których już mówiłem, stworzonych przez XX. Jezuitów dla obrony Indian.

Tu już wyczekiwał całymi godzinami na nas X. dziekan Wróbel z Guarany, który, z tej najbliż-

szej od granicy kolonii polskiej w Brazylii, w towarzystwie dr Gajdy, naczelnego instruktora oświatowego przy konsulacie polskim w Kurytybie, i kilku swoich parafian, również samochodem wyjechał na nasze spotkanie.

Witaliśmy się serdecznie, wszyscy do głębi duszy przejęci wielkością tej chwili. Bo wielką prawdę była dla nas wszystkich ta chwila, kiedyśmy tu, o tysiące mil od Polski, w głębi kontynentu Ameryki Południowej, na brzegach rzeki Urugwaju, na granicy między Argentyną a Brazylią, wśród dziewiczych borów, — mogli uścisnąć sobie ręce w radosnej świadomości, że chociaż nie znaliśmy się dotąd, jednak jesteśmy sobie bliscy, bośmy synami jednej Matki - Ojczyzny, złączeni wspólną miłością ku niej. Toteż od razu zawiązały się między nami najserdeczniejsze węzły, byliśmy radzi sobie nawzajem, zapomnieliśmy albo uważaliśmy za nic wszystkie trudy podróży, już pokonane, i te, które nas jeszcze czekały. Bo czyż owa chwila, tak wzniosła, nie była warta największych ofiar i wysiłków!

A trudności, które trzeba było pokonać w dalszej podróży do Guarany, były rzeczywiście bardzo wielkie. Trudną była przede wszystkim nasza przeprawa przez szeroki i głęboki Urugwaj, płynący tu wartkim prądem między wysokimi, gęsto zalesionymi brzegami. Wprawdzie my, ludzie, mogliśmy się dość łatwo przeprawić na stro-

nę brazylijską przy pomocy łodzi motorowej, kierowanej umiejętnie przez półdzikiego kabokla, co też szczęśliwie się udało po półgodzinnej zaledwie, nader romantycznej jeździe. Gorzej natomiast przedstawiała się sprawa przewozu jednego z dwóch samochodów, którym przyjechaliśmy do San Xavier gdyż drugi, jako niepotrzebny na tamtym brzegu, gdzie mieliśmy do dyspozycji auto X. dziekana Wróbla, wrócił z p. Zubrzyckim do Apostoles. Przewóz samochodu odbyć się musiał przy pomocy bardzo prymitywne go promu. Niestety, z braku odpowiednich urządzeń tak po jednej jak i po drugiej stronie rzeki, nie można było podsunąć promu pod sam brzeg, dość tu błotnisty. Trzeba dopiero było zbudować z gałęzi drzew odpowiednie pomosty, by móc po nich przeprowadzić samochód z argentyńskiego brzegu na prom, a po uciążliwej przeprawie przez rzekę z promu znów go przeciągnąć na również błotnisty, wysoki brzeg brazylijski. Był to wysiłek nie lada. Chwilami zdawało nam się, że już samochód runie do rzeki lub ugrzęźnie w nadbrzeżnym błocie. Ostatecznie jednak, po długich godzinach rozpaczliwych wysiłków, udało się nam przezwyciężyć wszystkie przeszkody tak, że mogliśmy wyruszyć w dalszą drogę już na brazylijskiej ziemi.

Jeżeli drogi w Misjones były złe, to w tej części Brazylii okazały się jeszcze gorsze. I nie w tym dziwnego; wszak, jak już wspomniałem,

znajdowaliśmy się tu w dzikiej prawie puszczy, do której cywilizacja jeszcze nie dotarła. Osiedla ludzkie są tu rzadkie. Głównym środkiem komunikacji jest tu koń, który z łatwością pokonywa wszystkie trudności terenu. Co innego samochód. A jednak pokonały je dwa nasze Fordy, prowadzone umiejętnie przez wprawnych kierowników. Jeden z nich wprowadzić trzeba było dość często dźwigać, gdyż wskutek swej ciężkiej budowy nie zawsze mógł przebrnąć przez wystające z drogi kamienie. Sytuacja jeszcze się pogorszyła, gdy pod wieczór padać zaczął deszcz, który przemienił drogi na grzaskie błoto. Nieraz położenie nasze było wprost rozpaczliwe; zdawało się, że dalej już posunąć się nie będziemy mogli i że trzeba będzie nocować w puszczy, czekając na lepszą pogodę. Ale zawsze znajdowaliśmy jakieś wyjście z przykrej sytuacji. Nigdy przy tym nie traciliśmy dobrego humoru. Przyczyniał się do tego przede wszystkim zawsze pogodny i zawsze dowcipny X. dziekan Wróbel, a także przepiękny krajobraz, który roztaczał przed nami wciąż nowe widoki i odwracał uwagę naszą od trudności drogi. Cudowne wprost były bory, przez które od rzeki Urugwaju prowadziła nasza droga, cudowny falisty step rozciągający się za nami i znów dalej przechodzący w gęsty las; cudowne było niebo wznoszące się nad borami i stepami; cudowną była ta wielka, podzwrotnikowa puszcza, nawet gdy noc już zapadła, a ta-

jemnicza ciemność ogarnęła ziemię. Zdawało nam się wówczas, jakobyśmy jechali przez jakiś zaczarowany kraj, wśród ciemno-zielonych żywych ścian.

Nagle wśród ciszy nocnej odezwały się gdzieś blisko ostre strzały; równocześnie zabłysły w ciemności nad nami światła jakby gwiazdy; szybko zorientowaliśmy się, że to były rakiety, które widocznie zostały wystrzelone na nasze powitanie. Znaleźliśmy się faktycznie na granicy rozległej parafii polskiej Guarany w kolonii Bom Jardin. Z ciemności wyłoniła się duża grupa ludzi — to rodacy; witają nas serdecznie i wprowadzają w dom, zapraszając na posiłek. Stół suto zastawiony. Trudno się obronić przed tak szczerą gościnnością. I trudno się oderwać od tych ludzi, otaczających nas ciasnym kołem, stawiających nam tysiące pytań i ciekawie nas oglądających. Chcieli by jak najdłużej nami się nacieszyć, jako tymi, którzy przynieśli do ich borów część miłej, ukochanej Ojczyzny. I my ze swej strony cieszyliśmy się nimi, stwierdzając z radością, że są to naprawdę rodacy z krwi i ducha. Trzeba jednak było ruszyć dalej, bo późna już była godzina, a do samego centrum parafii pozostało jeszcze sporo kilometrów, i to złej drogi. Ale już nie odczuwaliśmy zmęczenia; kzepiła nas radosna świadomość, że znajdujemy się między swoimi, w jakiejś nowej cudownej Polsce, chociaż na brazylijskiej ziemi. Nie dziwiliśmy się więc, gdy na

dalszej drodze jeszcze kilkakrotnie zatrzymywano nas i niemniej czule witano.

Nareszcie — już po godzinie 22-ej — dotarliśmy do samego miasteczka Guaraný. Jest to już większy ośrodek cywilizacji. Zaraz to spostrzegamy. Ulice są elektrycznie oświetlone, szerokie. Widać murowane ładne domy ze składami. Wystawiono liczne bramy na nasze powitanie. Na dużym placu przed kościołem wielka rzesza ludzi. Nie była to pora na uroczyste powitalne przyjęcie, tym bardziej, że większa część kolonistów, nie mogąc się doczekać naszego przybycia, już się rozeszła, śpiesząc do swych domostw, rozproszonych po górach i dolinach, w bliższej lub dalszej odległości od miasteczka. Ponadto potrzebowaliśmy odpoczynku. Około 300 kilometrów podróży samochodem w jednym dniu przez bory i stepy, przez góry, doliny i rzeki, przy upałach i deszczu — to był naprawdę wyjątkowy wysiłek. Ale nie żałowaliśmy go, bo choć zmęczeni, uświadomiliśmy sobie, że dzielni nasi wychodźcy godni są takiego i większego jeszcze wysiłku.

8. *Guarany, typowa parafia w interiorze Brazylii*

Guarany, to pierwsza parafia polska, jaką odwiedziłem w Brazylii. Jest ona pod różnymi względami typową placówką polską na tej ziemi. Wszystkie inne, które poznałem później, mają mniej więcej tą samą strukturę i żyją mniej więcej tym samym życiem i w tych samych warunkach, z wyjątkiem oczywiście kolonij w większych miastach, gdzie całkiem inaczej układają się stosunki dla naszych rodaków. By więc w późniejszych listach swoich móc sobie i czytelnikom zaoszczędzić opisywania pewnych stosunków i objawów życia, powtarzających się na każdej tutejszej placówce polskiej, uważam za wskazane podać tu kilka ogólnych o nich uwag.

Koloniści w Brazylii, osiedli na większym, ściśle przez władze określonym terenie, grupują się około pewnego ośrodka, zwanego „sede“, t. j. „siedziba“. Nazywa się tak, bo tu jest siedziba władz tego terenu. Zazwyczaj znajduje się tu także kościół parafialny z siedzibą stałego duszpasterza i szkoła rządowa o wyższym lub niższym poziomie oraz szkoły prywatne. Z natury rzeczy w takim ośrodku osiedlają się kupcy i rzemieśln-

nicy i zależnie od jego znaczenia i wielkości, także lekarz i adwokat.

Z tego centrum osiedla wychodzą tak zwane „linie“. Są to drogi, wyrabane w borach, biegnące zazwyczaj prosto i równolegle do siebie w różnych kierunkach całego, niekiedy bardzo obszernego okręgu kolonizacyjnego. Ziemia między tymi liniami, odległymi od siebie o dwa kilometry, podzielona jest na równe parcele, każda o przestrzeni 25 hektarów czyli 50 morgów polskich. Taka parcela nazywa się „kolonia“ a właściciel, który ją nabył, „kolonistą“. „Kolonia“ więc w tutejszym pojęciu nie oznacza całości osady, ale każde pojedyncze jej gospodarstwo. Wzdłuż „linii“ normalna „kolonia“ zajmuje 250 metrów przestrzeni, a w głąb od niej jeden kilometr. Każda linia ma swoją nazwę, a koloniści, wzdłuż niej po obu stronach osiedli, stanowiący pewną jednostkę społeczną, mają często swoją własną kaplicę i szkołkę. Nierzadko szkoła służy także za kaplicę. Koloniści nie tworzą więc zwartej wsi, lecz mieszkają każdy na swojej kolonii, choć nie- zbytnie daleko od siebie — ponieważ jedną zagrodę od drugiej dzieli najwyżej pół kilometra.

W „sede“ osiedlają się zazwyczaj jednostki inteligentniejsze, więcej przedsiębiorcze, ruchliwsze. Wpływ ich też na życie publiczne jest większy. Wobec tego byłoby bardzo pożądanym, by polscy nasi koloniści, w tych okręgach, gdzie na liniach znajdują się w większej liczbie, opanowali

także „sede“. Nie wszędzie się to udało. Są okręgi z przeważnie polskimi koloniami, gdzie jednak w „sede“ przeważa element niepolSKI. Udało się to natomiast w Guarany. Miasteczko jest prawie całkiem polskie z wyjątkiem samych władz. Są tu poważni kupcy i rzemieślnicy polscy. Powstały tu już dobrze rozwijające się przedsiębiorstwa polskie jak: browar, elektrownia, olejarnia, tartak, młyny, restauracje (wendy) i t. d.

Okręg duszpasterski nie zawsze pokrywa się z okręgiem gospodarczo - społecznym, lecz sięga zazwyczaj dalej, na skutek braku księży. Tak właśnie jest w parafii Guarany. Liczy ona przeszło 12 000 dusz, w tej liczbie 10 000 Polaków. Nabożeństwa dla wiernych tej dużej parafii odprawiają rezydujący tu księża — jest ich trzech — nie tylko w „sede“, gdzie znajduje się główny kościół i plebania, lecz również w ośmiu kaplicach i siedmiu szkołach na „liniach“. Najdalsza z tych kaplic oddalona jest od „sede“ o 33 kilometry. Poza tym jednak muszą wyjeżdżać w celach duszpasterskich do innych osiedli polskich, odległych od Guarany aż do 120 kilometrów. Łatwo sobie przedstawić, jak trudną w takich warunkach jest praca duszpasterska księży. Toteż znajdują się oni prawie wciąż w drodze, używając do swych podróży duszpasterskich starego samochodu Forda, który jedynie nadaje się na tutejsze karkołomne drogi; często jednak trzeba posługiwać się koniem. Wyjeżdżając na „linie“ księża przebywają

tam zazwyczaj po kilka dni, nocując w małych chatkach, przybudowanych do kapliczek. Parafie są terytorialne, to znaczy obejmują pewien okręg terytorialny, nie zaś narodowe. Wobec tego nasi polscy księża muszą otaczać swoją troską duszpasterską nie tylko Polaków, ale wszystkich innych, mieszkających w tym okręgu katolików, należących do różnych narodowości, jak Brazylijczyków, Włochów, Niemców i t. d. Muszą też władać także ich językiem, przynajmniej językiem portugalskim, który jest urzędowym w Brazylii.

Prymus szkolny w Brazylii nie istnieje. Rodzice więc mogą, ale nie muszą, posyłać swe dzieci do szkoły, a mogą je posyłać do szkół rządowych, albo też do prywatnych, utrzymywanych oczywiście przez samych kolonistów. Rząd stanowy niekiedy pomaga im w tym zadaniu, udzielając szkole, o ile jest oczywiście z niej zadowolony, pewnej rocznej mniejszej lub większej subwencji.

Wychodźcy nasi, pomimo, że sami są przeważnie analfabetami, albo może właśnie dlatego, zdają sobie sprawę z ważności szkolnego nauczania, wszędzie przeto, tak w „sede“ jak i na „liniach“, stworzyli i utrzymują własne szkoły. W tym celu w licznych miejscowościach pozakładali specjalne towarzystwa, zajmujące się sprawami szkolnymi. Niestety, poziom szkół, szczególnie na „liniach“, jest niski. Rzadko tylko spotyka się na „liniach“ nauczycieli wykwalifikowanych; prze-

ważnie uczą w tych szkółkach dawniejsi robotnicy, rzemieślnicy lub też inteligentniejsi koloniści, prowadząc je tak, jak mogą i jak umieją. Zresztą nie można się temu dziwić, że nie ma tu lepszych sił nauczycielskich. Wszak wynagrodzenie nauczyciela jest na „liniach“ na ogół marne, a tak samo warunki ich życia. Jeżeli znajdzie się przypadkiem gdzieś jakaś lepsza siła nauczycielska to nie wytrwa długo na stanowisku, bo przy danej okazji przejdzie do innego, bardziej dochodowego zajęcia. Na wyższym poziomie stoją na ogół szkoły w samym „sede“, gdzie uczą przeważnie polskie zakonnice, mające odpowiednie kwalifikacje. Postawienie na wyższym poziomie szkolnictwa wśród naszego wychodźstwa w Brazylii jest niewątpliwie najważniejszą i najbardziej piękną sprawą, z jaką się tu spotkałem.

Położenie gospodarcze naszych kolonistów nie jest złe. Wprawdzie i w Brazylii zaznacza się powszechny kryzys gospodarczy, lecz bez porównania mniej dotkliwie niż w Europie. Nikomu nie brak tu ziemi i mieszkania, pracy i chleba, choć może nie rozporządza dużą gotówką. Klimat jest zdrowy, kraj piękny, swoboda duża. Kolonista żyje na swojej kolonii jak prawdziwy pan. Dużo z nich posiada nie tylko jedną, ale więcej kolonii. Spotkałem takiego kolonistę, a był nim prosty chłop, który posiada aż 42 kolonie, czyli 1050 hektarów, t. j. 2100 morgów polskich. Podobnie jak w Misjones prawie każdy kolonista

stara się, by dla dorosłych synów nabyć nowe kolonie, na których mogliby się osiedlić, skoro się ożenią. Ziemi tu jest dosyć. Ogół kolonistów zgola nie myśli oddać synowi gospodarstwa, a samemu iść na „wycug“, gdy się postarzeje, — jak to się dzieje u nas. Wskutek tego w niektórych osadach pozostali tylko starzy koloniści, bo młodsze pokolenie wyruszyło dalej w bory, by tworzyć nowe placówki.

Głównymi produktami kolonistów w Guarany są kukurydza, ryż, trzcina cukrowa i fasola. Dobrze opłaca się także hodowla świń. Poza tym uprawiają pszenicę i owies, ale raczej dla utrzymania tradycji, przejętej ze starego kraju, niż w celach dochodowych, gdyż na uprawy zboża nie ma tu odpowiednich warunków. Niektórzy koloniści plantują także tytoń. Praca na roli jest ciężka, bo to kraj górzysty. Ziemia jest bardzo urodzajna, daje corocznie podwójne żniwa, a przy tym nawozu nie potrzebuje. Plaga szarańczy nie jest tu tak groźna jak w Argentynie, gdzie te owady, przylatując nagle w milionowych masach, zaciemniających jak czarne chmury niebo, często w kilku godzinach niszczą na dalekim obszarze ziemi wszystko, co tam rośnie. Dużo szkody natomiast wyrządzają kolonistom w Brazylii mrówki. Muszą oni z nimi prowadzić nieustanną walkę, aby nie zjadły zasiewów. Między polami wszędzie jeszcze pozostały resztki dziewiczych borów; w ogrodach, otaczających zazwyczaj chaty

naszych kolonistów, wszędzie widać palmy, banany i inne egzotyczne drzewa, oraz kwiaty o precudnych barwach i kształtach.

Przeżyłem kilka niezapomnianych dni, pełnych najmielszych wrażeń, w tej pięknej polskiej parafii w głębi Brazylii. Przyczyniła się do tego wymarzona wprost pogoda, jaka panowała tu podczas mego pobytu. Było wprawdzie gorąco, wszak tu w Brazylii w listopadzie jest już początek lata, ale nie było jeszcze takich upałów, jakie mi dokuczyły w Misjones. Przede wszystkim jednak przyczynił się do uprzyjemnienia mi pobytu mój miły gospodarz, Czcigodny X. dziekan Wróbel ze Zgromadzenia Księży Misjonarzy, pochodzący, jak ja sam, ze Śląska. Piękna to postać kapłana-misjonarza o ostrych, ascetycznych rysach twarzy, przy tym jednak zawsze pogodny, uśmiechnięty, wesoly. Już przeszło 27 lat pracuje on wśród naszych rodaków w Brazylii, a w samym Guarany — lat 13. Pomimo ciężkiej pracy i trudnych warunków jest wprost zakochany w swojej parafii, uważając tę placówkę polską za najlepszą i najpiękniejszą ze wszystkich. Rzeczywiście ma być z czego dumny. Bo i kraj jest uroczy i lud nasz, który się tu osiedlił, dobry. Piękne jest miasteczko, położone na niskich, malowniczych pagórkach wśród nieco wyższych wzgórz, pokrytych bujną zielenią. Charakter jego jest jeszcze całkiem kolonialny. Wyższa cywilizacja jeszcze tu nie dotarła. Do najbliższej stacji kolejowej mają



X. Biskup odpoczywa w cieniu niesamowitej skały zwanej „żabą”.



X. Biskup i p. min. R. P. Grabowski w otoczeniu Polaków.

przeszło 40 kilometrów, a trudno do niej się dostać, ponieważ drogi, szczególnie w porze deszczowej są złe. Domy niskie, parterowe, budowane są przeważnie z drzewa. Drewniany jest także kościół, na zewnątrz prosty i skromny, wewnątrz bardzo miły, barwny, jak nasze kościółki po wsiach. Obok niego wznoszą się już mury nowego kościoła, obszerniejszego, piękniejszego z zewnątrz, ale budowa posuwa się naprzód bardzo powoli, gdyż i tu zaznacza się kryzys i spowodowany przezeń brak gotówki. Z tego też powodu polskie Siostry ze Zgromadzenia Rodziny Maryi, pracujące tu od kilka lat, nie mogą wykończyć dużego murowanego zakładu, w którym ma być umieszczona szkoła i internat dla dziewcząt i młodzieży. Na razie uczą i mieszczą w ciasnych, niewygodnych chatkach. Miasteczko liczy około 800 mieszkańców, w znacznej większości pochodzenia polskiego. Trudnią się oni jak już powiedziałem, przeważnie handlem i przemysłem, zaopatrując kolonistów na liniach w potrzebny towar i skupując od nich produkty rolne. Spotkałem między nimi ludzi o dużej inicjatywie i przedsiębiorczości, jak np. trzech braci Hamerskich, którzy nad brzegiem rzeki Comandahy, płynącej wartkim prądem tuż przy miasteczku, wspólnymi siłami stworzyli i prowadzą elektrownię, tartak, młyn i stolarnię, zajmując się przy tym jeszcze rolnictwem na obszarze 150 hektarów ziemi.

Z szerokimi masami kolonistów spotkałem się w niedzielę 18-go listopada. Przybyli oni tysiącami z dalekiej okolicy, na koniach i na wozach. Całe miasto przemieniło się jakby w jeden wielki malowniczy obóz. Lud dostojny, zdrowy, widać także zamożny. Dziś w parafii wielka uroczystość, nie tylko dlatego, że do niej przybył biskup z Częstochowy, ale również z tego powodu, że ma się odbyć pierwsza Komunia dzieci. Jest ich około 150: chłopaków i dziewcząt. Wprowadzam ich do kościoła, który wnet się przepełnia. Nastrój podczas uroczystej Mszy św., którą odprawiam, jest ten sam, co u nas w kościołach wiejskich, lud w skupieniu słucha słowa Bożego, modli się gorąco, z przejęciem śpiewa piękne polskie pieśni religijne. We wzorowym porządku dzieci przystępują do Stołu Pańskiego. Wzniosłe nabożeństwo kończy się odśpiewaniem z mocą i wiarą rzewnej naszej modlitwy „Boże coś Polskę“.

Do głębi duszy wzruszeni opuszczamy kościół, by udać się do pobliskiej sali szkolnej. Sala ta, choć dość duża, może pomieścić tylko małą część zebranej ludności, ale przez otwarte okna i drzwi wszyscy mogą brać udział w uroczystym powitaniu, jakie mi tu urządzają, i wszyscy mogą słyszeć słowa, które do nich wypowiadam. Witają mnie kwiatami, przemówieniami i wierszami, wygłoszonymi przez dzieci pięknym językiem polskim, prawie bez obcego akcentu. W chórze dzieci szkolnych, bierze również udział brazylijska,

kolorowa dziewczynka, śpiewając z niemniejszym, niż one zapaleń nasze polskie pieśni narodowe. Nie mogę oprzeć się głębokiemu wzruszeniu, kiedy słyszę, że dzieci te, tak poprawnie mówiące po polsku, i z takim zachwytem śpiewające polskie pieśni, już należą do trzeciego, a nawet czwartego pokolenia, pochodzącego od pierwszych pionierów, którzy jeszcze Polskę widzieli. Jak wielka, jak głęboka musi być miłość do Ojczyzny w duszach naszych wychodźców, kiedy z taką troską dbają o zachowanie ojczyźnego języka w swoich rodzinach i szkołach, które właśnie w tym celu stworzyli i utrzymują! A przy tym dzieci ich mówią również poprawnie i gładko językiem portugalskim, który jak wspomnieliśmy już, jest językiem urzędowym Brazylii. Mogłem się o tym przekonać, kiedy na zakończenie wzniesłej uroczystości dzieci zaśpiewały nie tylko polski, ale także brazylijski hymn narodowy.

Niemniej piękne chwile, jak w ową niedzielę w „sede“, przeżyłem na „liniach“, z których kilka odwiedziłem w następne dni. Byłem na liniach: Silva Jardim, Bom Jardim, Harmonia, Campo Novo, Timbo i do Mel. Na pierwszych dwóch z wymienionych linii znajdują się, oprócz szkoły, także kaplice drewniane w pięknym polskim stylu; na innych tylko szkoły polskie. Wszędzie zebrały się większe lub mniejsze rzesze naszego ludu, witając mnie serdecznie, często ze łzami w oczach. Po nabożeństwie lub

zebraniu w szkole wszędzie urządziłem z nimi pogadanki, opowiadając o Polsce, o Częstochowie, i zachęcając ich do zachowania naszych staropolskich zwyczajów, naszej wiary świętej i naszej polskiej mowy. Oni zaś ze swej strony opowiadali mi o swych przejściach w tułaczym swoim życiu, o walce swojej z lasem i stepem, gdy zdobywali ziemię, i o swoich obecnych troskach, prosząc mnie o modlitwę przed Cudownym Obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, by nadal wytrwali w wierze św. i miłości do Ojczyzny, o pozdrowienie w starym kraju braci drogich, za którym nie przestali tęsknić, mimo że im tu, w drugiej ojczyźnie, dobrze się powodzi. Ta tęsknota często i mnie ogarnęła, szczególnie kiedyśmy razem zaśpiewali nasze polskie pieśni religijne, narodowe i żołnierskie. Śpiewaliśmy je pod palmami, ale z myślą o naszych polskich lipach i świerkach, zielonych łąkach i łanach zboża. Wśród puszczy brazylijskiej powstawała w takich błogosławionych chwilach w duszach naszych jakby świetlana wizja nigdy niezapomnianej, miłej Ojczyzny, zapełniając serca nasze niewysłowioną radością.

O ile czas mi na to pozwalał, wstępowałem także do zagród naszych rodaków, aby przypatrzeć się ich gospodarce i życiu domowemu. Szczerze mówiąc, nie znam się zbyt dobrze na rolnictwie, może właśnie z tego powodu tym większy odczuwałem respekt dla umiejętności, z jaką potrafili oni się zastosować do tutejszych warunków

i przejść na całkiem inny, niż w Polsce, sposób gospodarowania na roli. Wszędzie widać tu dużo inicjatywy. Trafiłem na gospodarstwa, gdzie z dużym skutkiem założyli polscy koloniści winnice, gdzie indziej stawy rybne, do których z Polski sprowadzili nieznane tu karpie. Mieszkania ich zdradzają wszędzie pewną wyższą kulturę, szczególnie, gdy się je porównuje z mieszkaniami brazylijczyków; są czyste, dobrze urządzone, obszerne. Około domu jest zazwyczaj piękny ogród, pełen najróżnorodniejszych drzew, krzewów i kwiatów. Kobiety, zwłaszcza starsze, zachowały stroje polskie. Mężczyźni zaś upodobnili się raczej do brazylijczyków, noszą jak oni szeroki gauchoski „sombbrero“ (kapelusz), długie buty i długi nóż u boku. Wszyscy, nawet dzieci i kobiety, świetnie jeżdżą na koniach. Kobiety są tu żywsze, rozmowniejsze, niż w koloniach polskich w Misjones w Argentynie. Tam przyjął się, zdaje się, hiszpański zwyczaj, nakazujący kobiecie, trzymać się na uboczu i nie mieszać się do towarzystwa i do rozmowy mężczyzn. W Brazylii panuje pod tym względem większa swoboda, choć i tu od kobiety wymaga się więcej skromności niż w Polsce. Małżeństwa zawiera się zazwyczaj w bardzo młodym wieku. Spotykałem często 18-letnie i jeszcze młodsze mężatki, które już miały dwoje lub troje dzieci. I tu jak w Misjones rodziny są bardzo liczne, a duch rodzinny wysoce wyrobiony i autorytet ojca wielki.

Małżeństwa mieszane są tu bardzo rzadkie, a jeżeli się trafia, to prawie z reguły niepolska strona ulega sile polskiego ducha. Dzieci z tych małżeństw prawie zawsze uważają się za Polaków, mówią po polsku, a nawet fizycznie przedstawiają rasę polską. Świetny przykład tej fizycznej i duchowej przewagi rasy polskiej nad inną rasą, z którą się miesza, stanowi rodzina, do której należy X. kanonik Perez z Porto Alegre, którego tu poznałem. Ojciec jego, pochodzenia hiszpańskiego, ożenił się z Polką. Dziś sam już prawie jest Polakiem, mówi po polsku i czuje po polsku. A X. kanonik Perez jest jednym z najgorętszych patriotów polskich, tak samo jak cała jego bardzo liczna rodzina, licząca dziś już kilkaset członków. Ta zwycięska siła polskości oddziaływa nawet na ludzi kolorowych, żyjących wśród naszych rodaków i uczęszczających tu i ówdzie do ich szkół. Wspomniałem już o dziewczętach kolorowych, które z tym samym zapalem, co nasze polskie dzieci, śpiewały z nimi polskie pieśni, a przykładów takich mógłbym przytoczyć więcej. Spotkałem na plebanii w Guarany X. prałata Wolskiego, urodzonego w Brazylii. Wychował on podrzutka, pochodzącego ze związku murzyna z białą kobietą i dał mu nazwisko Twardowski. Eksperyment świetnie się udał. Twardowski, choć człowiek kolorowy, dziś z dumą uważa się za Polaka i prowadzi się jako dobry Polak.

Wycieczki na linie po drogach bardzo ciężkich, wymagały od nas niemałego wysiłku. Ale nie czuliśmy zmęczenia, bo wciąż podniecały nas wielkie wrażenia, jakich nieustannie doznawaliśmy, czy to pod wpływem przepięknej egzotycznej przyrody, czy to pod wpływem nastroju, z jakim spotkaliśmy się przy zetknięciu się z naszymi dzielnymi wychodźcami. Zmęczenie dopiero wówczas dało się nam we znaki, gdyśmy często już późnym wieczorem wracali na plebanie w Guaraní. Ale i tu zmęczenie wnet zniknęło, bo atmosfera, panująca na tej polskiej plebanii, była tak miła, tak serdeczna, tak zdrowa, że znów wnet odżywaliśmy i zamiast ułożyć się natychmiast do snu, czego wymagało nasze przemęczone ciało, — często jeszcze całymi godzinami siedzieliśmy przy stole, dzieląc się swoimi wrażeniami i gawędząc o dziwnych drogach, jakimi Opatrzność Boska prowadziła i nadal prowadzi nasz naród, tak w starym kraju, jak tu na wychodźstwie.

9. Przez stepy i bory stanu Rio Grande do Sul

Guarany, gdzie przepędziłem kilka niezapomnianych dni wśród naszych rodaków, należy do stanu Rio Grande do Sul. Stan ten, graniczący na południu z państwem Urugwaj, ciągnie się od Atlantyku na wschodzie do wielkiej rzeki Urugwaj na zachodzie. Na przestrzeni przeszło 280.000 km kw. kraj ów liczy zaledwie 3.000.000 mieszkańców, kiedy Polska, obejmująca przestrzeń o 100.000 km kw. tylko większą, liczy ich 34.500.000. Iluż tu, wobec tak olbrzymiego obszaru a przy tak małym zaludnieniu, jest jeszcze miejsca dla kolonizacji!... Ta myśl wciąż mi się nasuwała podczas mojej podróży przez ten rozległy stan wielkiego państwa brazylijskiego.

Ziemia tu prawie wszędzie uredzajna, klimat zdrowy, warunki życia pomyślne. Ma się wszędzie poczucie nieograniczonej swobody. Wywołuje je niewątpliwie sam krajobraz, otwierający prawie wszędzie przed okiem człowieka nieogarnione horyzonty, szczególnie na rozległych stepach we wschodniej części stanu. A i na górzystym jego terenie nigdzie góry nie wznoszą się do takiej wysokości, by zasłaniały widnokrąg.



*Biskupi polscy z J. Em. X. Kard. Hlondem, Prymasem Polskim.
wśród wychowanków salezjańskich w Rio de Janeiro.*



Nestor kolonii polskiej wita X. Biskupa.

Niegdyś w stanie tym, a nawet poniekąd dziś jeszcze, wielką rolę odgrywał koń. Stąd też „gauchó“ (czytaj: gauczo) — pasterz koni — stał się typem, który, zidealizowany przez legendę i poezję, reprezentuje ten kraj. Z dumą też mieszkańcy jego nazywają go „krajem gauchoskim“, a siebie samych „gauchos“. Nie można tu nikomu sprawić większej radości, jak oświadczając mu, że jest prawdziwym „gauchó“. To komplement, który każdy chętnie przyjmuje.

Z przestrzeni o nieograniczonych widnokręgach i z życia gauchowskiego, odgrywającego się na szerokich stepach, owa swoboda przeniosła się w dusze ludzi, mieszkających w tym kraju, a z nią szczere zamiłowanie wolności. „Liberdade“ — wolność, swoboda, — to dla nich czczy frazes, ale treść życia. Domagają się jej i walczą o nią nie tylko dla siebie, ale przyznają ją też innym, którzy się wśród nich osiedlili. Stąd też na ogół tu, jak zresztą w całej Brazylii, nie istnieje tendencja do wynarodowienia obcych. Każdy, kto żyje na ziemi gauchoskiej, ma prawo do urządzenia sobie życia, tak prywatnego jak społecznego, jak mu się podoba, o ile tylko sam szanuje swobodę innych, ich zwyczaje i obyczaje, jak oni to czynią. Dopiero w ostatnich czasach, niewątpliwie pod wpływem idei faszystowskiej, która także i w Brazylii znalazła zwolenników, objawiają się prądy nacjonalistyczne, rasowe, które mogą zmienić te

stosunki. Na razie jednak prądy te nie są jeszcze silne.

Nic dziwnego, że w takich warunkach nasze wychodźstwo, jak zresztą wychodźstwo każdego innego pochodzenia, miało i dotąd ma wielkie możliwości nie tylko zachowania, lecz pełnego rozwoju swego właściwego ducha i kształtowania według niego swego życia. Ze swobody tej wychodźcy nasi umiejętnie i gorliwie korzystali i stworzyli tu, zanim jeszcze Polska w starym kraju zmartwychwstała, poniekąd nową Polskę, stworzyli tu własne polskie kościoły i szkoły, polskie stowarzyszenia i domy ludowe, zachowali swoją wiarę i swoją mowę, swoje zwyczaje i obyczaje. Zachowali także swoją czystość rasową i narodową, bo jak już wspomniałem, nasi rodacy bardzo rzadko zawierają związki małżeńskie z osobami innej rasy lub narodowości.

Gdyby nie przyroda, całkiem inna jak u nas, to objeżdżając poszczególne osiedla naszego wychodźstwa, miałbym wrażenie, że nie znajduję się w Brazylii, ale na pięknej polskiej wsi we własnej diecezji. Jest tu naprawdę Polska, aczkolwiek w egzotycznych ramach.

Wobec tak pomyślnego stanu rzeczy, misja moja, która miała na celu podniesienie ducha wiary i polskości wśród naszego wychodźstwa i wzmocnienie łączności jego ze starym krajem, nie napotykała właściwie na większe trudności. Wszędzie przy tym w przeprowadzaniu mej misji spotyka-

łem się z jak najżyyczliwszą pomocą, nie tylko ze strony oficjalnych i nieoficjalnych czynników polskich, ale także ze strony społeczeństwa brazylijskiego, a przede wszystkim ze strony władz stanowych.

Gdy po ciężkiej przeprawie samochodem przez puszcę, dnia 22-go listopada, z Guarany w towarzystwie X. dziekana Wróbla i dra Gajdy dotarłem do pierwszej w tych stronach stacji kolejowej, *S a n A n g e l o*, znalazłem tu wygodny wagon salonowy, który oddał do mojej dyspozycji na dalszą podróż, choć o to nie prosiłem, Interwentor, czyli Gubernator stanu *Rio Grande do Sul*, rezydujący w *P o r t o A l e g r e*. Był tam i salonik, luksusowo urządzony, były sypialnie, była kuchnia i jadalnia, była nawet łazienka, był murzyn-kucharz, który zawsze uśmiechnięty, gotował nam świetne obiady, i drugi murzyn, który nas obsługiwał, a nad wszystkim czuwał towarzyszący nam podczas całej podróży aż do *Porto Alegre* wysoki urzędnik kolejowy. Była to naprawdę wielka usługa, jaką mi stanowe władze — rozumie się bezpłatnie — wyświadczyły. Nie wiem, czyby inne państwo zdobyło się na podobną uprzejmość.

San Angelo, otoczone z wszystkich stron stepem, jest typowym miasteczkiem kolonialnym. Powstało dopiero niedawno, ale jako ważny punkt kolejowy szybko się rozwija. Przeważnie mieszkają tu Niemcy, jest atoli także kilkadziesiąt rodzin polskich, razem około 100 dusz. Oczywiście

za mała to liczba, by można tu stworzyć osobną polską placówkę duszpasterską. Na dworcu witało mnie kilku rodaków, między nimi p. Pitas, pochodzący z Sosnowca, który założył tu fabrykę mebli, dobrze się rozwijającą. Także innym rodakom nieźle się powodzi.

Z San Angelo, gdzieśmy się tylko krótko zatrzymali, zaledwie, by móc się powitać z rodakami, wyjechaliśmy już pociągiem, do którego przyczepiono nasz wagon salonowy, do Ijuhy. Jest to miasto municypalne — powiatowe — bardzo pięknie położone w górzystej okolicy. Mieszka tu i na liniach, wychodzących z miasta, około 350 rodzin polskich. Na liniach tych istnieje siedem szkółek polskich i również jedna skromna kapliczka polska. Nie ma tu natomiast ani polskiego kościoła, ani stałego duszpastrza polskiego. Od czasu do czasu tylko dojeżdża tu dla zaspokojenia religijnych potrzeb wychodźców X. wikariusz z Guarany, odległego od Ijuhy przeszło 100 km. Proboszczem rozległej parafii, liczącej przeszło 14 tys. dusz różnych narodowości, jest młody ksiądz włoskiego pochodzenia. Nie mogę wprost pojąć, jak on sam — bo nie ma żadnego pomocnika wikariusza — może dać sobie radę z pracą duszpasterską, jakiej tak wielka parafia wymaga. A jednak — takie odniosłem wrażenie — życie religijne parafii jest dość wysoko rozwinięte; jest tu okazały kościół murowany, wygodna plebania, istnieją różne bractwa i stowarzyszenia, szczegól-

nie młodzieży, zbierającej się we własnym ognisku, jest i sierociniec, prowadzony przez włoskie siostry.

Pomimo braku własnego polskiego duszpasterza rodacy nasi dobrze się tu trzymają. Stworzyli sobie w mieście blisko kościoła przepiękny, muryrowany Dom Polski z dużą, gustowną salą i sceną, jakiego niejedno z naszych większych miast mogłoby im zazdrościć, a jak już wspomniałem, stworzyli i utrzymują na liniach siedem szkółek polskich. Nie dziw wobec tego, że duch polski jest tu mocny i żywy, że dzieci, choć tu urodzone, dobrze mówią po polsku.

Na powitanie moje na dworcu zebrało się sporo rodaków, przeważnie poważnych kupców, rzemieślników i przedsiębiorców z miasta, a więcej ich jeszcze, szczególnie kolonistów z linii przybyło do kościoła, gdzie odprawiłem dwukrotnie nabożeństwo, i do sali Domu Polskiego, gdzie zaraz po obiedzie odbyło się uroczyste przyjęcie; wieczorem zaś zebraliśmy się tu na bardzo miłą herbatkę.

Odwiędziłem także wspomnianą polską kapliczkę i jedną z polskich szkółek na liniach. Na odwiedzenie innych brakło mi niestety czasu. Wszędzie, tak w mieście, jak na liniach, panował wzniosły, przemiły nastrój, wszędzie mogłem stwierdzić głębokie przywiązanie do wiary świętej i do miłej, niezapomnianej Ojczyzny. Rodakom, tak w mieście jak na liniach, dobrze się powodzi. Nie-

k którzy z nich dorobili się już poważnego majątku i odgrywają dużą rolę w życiu społecznym kraju. Do nich należy rodzina Pitasów, pochodzących z Zagłębia Dąbrowskiego. Ojciec ma już przeszło 80 lat, ale jest jeszcze ruchliwy, żywy, rozmowny. Dobrze sobie jeszcze przypomina nasze Zagłębie, które kilkadziesiąt lat temu opuścił. Jeden z jego synów, jak już wspomniałem, ma fabrykę mebli w San Angelo, drugi jest kupcem w Ijuhy, a trzeci wielkim przedsiębiorcą, równocześnie zaś ruchliwym działaczem w Katolickiej Akcji w Santa Maria, stolicy diecezji, do której należy Ijuhy.

Moim przyjazdem zainteresowali się nie tylko rodacy, lecz całe w ogóle miasto. Przed kościołem witał mnie, w imieniu biskupa, proboszcz, witały mnie katolickie stowarzyszenia brazylijskie, w prefekturze — nowym, pięknym gmachu — witały mnie władze municypalne. Nie władając portugalskim językiem, dziękowałem im w języku włoskim, który tu jako podobny do portugalskiego dobrze rozumieją.

Nazajutrz, po dobrze przespanej nocy w wagonie salonowym, który pozostał na stacji do naszej dyspozycji, i po Mszy św., odprawionej w kościele przy udziale licznych rodaków, wybrałem się koleją w dalszą drogę w kierunku Cruz Alta i Basso Fundo do Boa Vista. Tor kolejowy przebiegał przez step, pokryty wysoką, suchą już trawą, która raz po raz zapalała się od

iskier parowozu tak, że chwilami pociąg znajdował się jakby w płomieniach. Obok dymu dokuczał nam w tej drodze czerwony kurz, odrywający się wskutek szybkiego ruchu pociągu całymi tumanami z toru kolejowego i wciskający się wszędzie, pomimo szczelnie zamkniętych drzwi i okien naszego wagonu.

Do Boa Visty dojechaliśmy już po północy, ale w odczepionym od pociągu wagonie salonowym mogliśmy spokojnie odpoczywać na stacji aż do rana. Dopiero wtedy, po krótkim powitaniu przez grupę tutejszych rodaków i przez miejscowego proboszcza, Włocha, udaliśmy się do nowego, jeszcze nie całkiem wykończonego dużego kościoła, gdzie odprawiłem Mszę św., podczas której piękne śpiewy wykonał chór brazylijski. Polska kolonia w samym mieście nie jest liczna, to też w kościele więcej było Brazylijczyków niż Polaków. Przemawiałem do jednych i do drugich: do Polaków oczywiście po polsku, a do Brazylijczyków po włosku. Na skromnej plebanii witali mnie przedstawiciele władz lokalnych, którym później w nowym, niewykończonym jeszcze pałacu prefektownym złożyłem wizytę.

Polaków, jak już powiedziałem, w samym mieście jest mało, ale wykazują dużą ruchliwość, szczególnie dzięki działalności młodego polskiego adwokata, urodzonego już tu, w Brazylii. Wspólnym wysiłkiem zdołali już nabyć duży, dogodnie położony plac, zamierzają wybudować tu Dom

Polski, w którym by mogli rozwijać swoje zbiorowe polskie życie i prowadzić polską szkołę. Na placu tym, w cieniu drzew, urządzili na moją cześć uroczyste „churasco“, na które zjawili się także wielu kolonistów z okolicy. „Churasco“ to bardzo ciekawy zwyczaj, rozpowszechniony szczególnie na ziemi gauchoskiej. Jest to przygotowana w całości na miejscu uczta pod gołym niebem. Składa się ona, zależnie od liczby uczestników, z wołu albo krowy, wieprza albo barana, pociętego na kawałki, które piecze się na palach ponad ogniem rozpalonym w wykopanych na ten cel rowach. Skoro pieczeń jest gotowa, każdy, kto chce, ucina dla siebie odpowiedni kęs za pomocą noża, jaki tu zwykle noszą przy boku. Mięsiwo to na pół surowe zapijają piwem, wódką albo też i wodą, jeśli nie ma innego trunku. Nie mogę powiedzieć, żeby mi to „churasco“ szczególnie przypadło do gustu. W każdym razie jest romantyczne, nastrojowe i nadaje się na masowe zebrania, szczególnie tam, gdzie restauracje z dużymi salami są rzadkie. Nasi rodacy bardzo chętnie przyjęli ów zwyczaj gauchoski, odzwierciadlający tak charakterystycznie pierwotne życie, jakie tu w borach i stepach jeszcze się zachowało. Było nam bardzo wesoło i miło przy tym „churasco“. Wygłoszono liczne przemówienia, śpiewaliśmy nasze polskie pieśni i rozrzewnieni i wzruszeni do łez, rozmawialiśmy o tym, czego serca nasze przy tej agapie — uczcie miłości — były pełne.

Jak wszędzie tak i tu spotkałem ciekawe typy ludzi. Szczególnie pozostały mi w pamięci postacie dwóch starszych nauczycieli. Byli oni niegdyś bojownikami socjalistycznymi w Kongresówce; zmuszeni po r. 1905, który tyle nadziei zniweczył, opuścić kraj, przenieśli się tu w nowy, wolny świat i znaleźli zatrudnienie jako nauczyciele w szkołkach na liniach. Na twarzach ich dotąd jeszcze przeblyskiwał duch rewolucji. Widocznie umiłowanie idei rewolucyjnej i socjalistycznej jeszcze nie zamarło w ich duszach. Ale przybyli, by pogawędzić z biskupem z Częstochowy i tak się wzruszyli, że jeden z nich w płomiennym przemówieniu wzniósł okrzyk na cześć Matki Boskiej Częstochowskiej i biskupa częstochowskiego, jako Jej wysłannika do wychodźstwa.

Niektórzy z rodaków stworzyli sobie w B o a V i s t a dość silną pozycję gospodarczą, między innymi p. Czichowski, właściciel wielkiej, dobrze prosperującej wendy (domu handlowego i gospody), którego odwiedziłem w jego dużym i dobrze urządzonym domu. Większą jednak rolę odgrywają tu widocznie Włosi. Zajęli się oni produkcją wina, co im przynosi poważne dochody. W towarzystwie młodego proboszcza, ich rodaka, zwiedziłem wielkie składy wina, jakie oni tu założyli, złączeni w bardzo dobrze rozwijającą się kooperatywę producentów wina. Wino, które wyrabiają, jest znakomite, jak o tem mogłem się sam prze-

konać, gdyż musiałem próbować różnych jego gatunków.

Po południu tego samego dnia wyruszyliśmy samochodem do odległej o 14 km. do Boa Vista parafii polskiej, Floresta. Samochód prowadził dzielny młody duszpasterz tej placówki, X. Połhom, urodzony już tu w Brazylii. Ciężka droga prowadzi naprzód w góry, aby potem śmiały mi serpentynami zawrócić w uroczą dolinę. Tu w głębokiej kotlinie, otoczonej zewsząd zielonymi wzgórzami, leży większe skupisko kolonistów — „sede“ całego okręgu — Floresta, zamieszkałe częściowo tylko przez Polaków. Osiedliło się tu bowiem także dużo Włochów, którzy zresztą dobrze współżyją z naszymi rodakami. Główna siła Polaków jest na liniach. Wszystkich razem jest około 800 rodzin. Jest to więc bardzo poważna osada polska.

Niestety, wdarł się tu przed kilku laty sprytny sekciarz polski i zdołał stworzyć parafię t. zw. kościoła narodowego, — wnosząc przez to niezgodę i rozbiecie w tę piękną polską placówkę. Dzięki Bogu wpływ jego dziś już nie jest wielki, ale szkoda i tych 80 rodzin polskich, które pono go jeszcze popierają. Olbrzymia większość parafii jest dziś stanowczo katolicka. Powstanie sekciarstwa przyczyniło się nawet do większej jej aktywności i ruchliwości na polu religijnym. Mogłem się o tem przekonać w czasie mego krótkiego, bo tylko jednodniowego pobytu w tej przepięknej miej-

scowości. Przyjęto mnie wprost w królewski sposób. Na Mszę św., którą w następny dzień — a była to niedziela — odprawiłem w dużym drewnianym kościele, zebrały się ogromne masy ludu, słuchając z przejęciem słowa Bożego, które im głosiłem. Zachęcałem ich do modlitwy za zbłąkanych braci i do rozwinięcia w parafii pełni życia katolickiego, aby w ten sposób jak najprędzej zlikwidować sekciarstwo, które jest hańbą dla wychodźstwa, i przywrócić znowu jedność w parafii. W tym też duchu działa młody proboszcz. Sióstr nauczycielek jeszcze tu nie ma. Już atoli zdobyto wielki plac, na którym stanąć ma duży zakład, prowadzony przez siostry.

Po nabożeństwie wywiązała się na wielkim placu przed kościołem miła i serdeczna pogadanka z ludźmi, otaczającymi mnie szerokim, barwnym kołem. Ze łzami w oczach dziękowali mi za przybycie do nich, ubolewali nad roz biciem, spowodowanym przez sekciarza i małą grupę jego zwolenników, zapewniali mnie, że sami pozostaną wierni Kościołowi świętemu i że będą współpracowali ze swoim duszpasterzem, aby cała parafia stała się znowu jedną zgodną rodziną.

Trudno było oderwać się od nich, ale jeszcze na ten sam dzień, na 12-tą godzinę, zapowiedziany był mój przyjazd do innej polskiej parafii. Treze de Majo, odległej o przeszło 20 km. od Floresta. Trzeba więc było niezwłocznie wyruszyć

w dalszą drogę, aby nie zrobić zawędu rodakom nas tam oczekującym.

Pędziliśmy samochodem po karkołomnych, skalistych drogach, jak tylko mogliśmy najszybciej, aby zdążyć jeszcze na czas. I zdążyliśmy. Na spotkanie nasze wyruszyła banderia, składająca się z kilkuset jeźdźców na pięknych koniach. Przed drewnianym, w polskim stylu na wzgórzu zbudowanym kościołem, entuzjastycznie witały mnie ogromne rzesze ludu i wprowadziły z pieśnią do świątyni. Tu X. dziekan Wróbel z Guarany, który mi towarzyszył w całej podróży przez Rio Grande do Sul, odprawił uroczystą sumę, sam zaś wygłosiłem kazanie. Dzień był gorący, kościół przepełniony; nie dziw, że w krótkim czasie przemokłem aż do ostatniej nitki. Ale nie odczuwałem zmęczenia, podniecał mnie bowiem wzniosły nastrój ludzi i pobudzał do wyłączenia wszystkich sił, by słowo moje trafiło do serc i głęboko w nich zapuściło korzenie. Nabożeństwo zakończyliśmy naszym religijnym hymnem narodowym, „Boże, coś Polskę“, odśpiewanym z wiarą i mocą. Potem rzesza wylała się szerokim strumieniem na obszerny plac przed kościołem; otaczając mnie zwartym kołem, żadna wiadomości ze starego kraju.

Po krótkim odpoczynku na gościnnej plebanii, odwiedziłem zakład sióstr ze Zgromadzenia Rodziny Maryi, gdzie powitały mnie dzieci, ucze-

szczające do prowadzonej przez wspomniane Siostry szkołę. Z wygłoszonych deklamacyj i zgrabnie wykonanych tańców i korowodów można było wnioskować, że dzieci dobrze są prowadzone. Istnieje tu druga jeszcze szkoła, świecka, prowadzona przez Towarzystwo im. Poniatowskiego i świeckich nauczycieli. Jest ona według mego zdania całkiem niepotrzebna, ponieważ siostry w swej szkole zupełnie dobrze spełniają swoje zadanie.

Dwie szkoły w tak małym względnie środowisku mogą sobie tylko robić niepożądaną konkurencję i przyczynić się do rozbicia parafii. Na tym rozbiciu cierpią najwięcej same szkoły, bo żadna z nich nie ma pożądanej liczby dzieci i wskutek tego nie może podnieść się na wyższy poziom. Stwierdzono nawet bolesny fakt, że tam, gdzie powstały dwie polskie szkoły, zwalczające się nawzajem, rodzice, zgorszeni tym stanem rzeczy ani do jednej ani do drugiej polskiej szkoły nie posyłają swoich dzieci, ale raczej do brazylijskiej. Pomimo tak smutnych doświadczeń pewne czyniki wciąż próbują przeciwstawić s z k o l e prowadzonej przez siostry, t. j. szkole religijnej, szkołę drugą, świecką, prowadzoną często przez nauczyciela, wrogo usposobionego do duchowieństwa. Trudno spodziewać się od duszpasterza, żeby szkołę taką popierał. Sprawa szkolna, czyli sprawa wychowania młodego, w Brazylii urodzonego pokolenia naszego wychodźstwa, jest niewątpliwie

najważniejszą dla jego przyszłości jako też dla samej Polski. Wobec tego byłoby pożądanym, żeby ta sprawa została jednolicie i planowo uregulowana dla całej Brazylii przy zgodnej współpracy wszystkich do tego powołanych czynników, do których na pierwszym miejscu należą nasi polscy duszpasterze. Jeżeli gdziekolwiek, to na terenie szkoły nie powinno być sporów i różnych kierunków. Jeżeli gdziekolwiek, to tym bardziej na tym terenie duszpasterz powinien mieć należyty wpływ. Jeżeli gdziekolwiek, to na terenie wychodźstwa szkoła powinna być katolicką. Bo nie ulega żadnej wątpliwości, że jak dotąd tak i w przyszłości tylko wiara św. może zachować wychodźstwo nasze od wynarodowienia.

Parafia Treze de Maio liczy około 500 rodzin polskich. Kolonistów innego pochodzenia prawie wcale tu nie ma ani w samym „sede” ani na liniach; stąd też parafia owa stanowi zwarłą, pod względem religijnym i narodowym silną jednostkę społeczną. Duszpasterzem jest tu X. Schmidt ze Zgromadzenia Księży Pallotynów; jest on wprawdzie pochodzenia niemieckiego, ale przebywając przez kilka lat przed wojną w Małopolsce, dostatecznie nauczył się języka polskiego i wczuł się w ducha polskiego. Niestety, będąc już w podeszłym wieku, nie ma tych sił, jakich wymagałaby ta duża parafia — są tu bowiem i włoskie osiedla, którymi także powinien się opiekować. Byłoby więc bardzo pożądanym, gdyby mu przy-

dzielono do pomocy wikariusza pochodzenia polskiego.

Pod wieczór tego dnia, pełnego głębokich wzruszeń, pogoda, dotąd pomyślna, nagle się zmieniła, począł lać deszcz i lał całą noc; lał jeszcze rano następnego dnia. A deszcz oznacza tu straszne pogorszenie dróg, tak uciążliwych, nawet przy dobrej pogodzie. Wobec tego powstała kwestia, czy w ogóle będziemy mogli wyruszyć w dalszą drogę do Rio de Peixe, gdzie nas już w rannych godzinach oczekiwano. Zdecydowaliśmy się jednak zaryzykować jazdę. Było to naprawdę nie lada ryzyko. Ale stary, mały Ford, prowadzony z wprost akrobatyczną zręcznością przez X. Półoma z Floresta, pokonał wszystkie trudności; przebrnął przez głębokie błota, zręcznie ominął sterczące skały, prześlizgnął się przez liczne wyboje, rozdzierające drogę, wspiał się po stromych zboczach gór na wysokie przełęcze, by ostatecznie po niebezpiecznych serpentynach na krawędzi przepaści stoczyć się w głęboki wąwóz, rozszerzający się w malowniczą kotlinę, otoczoną zewsząd wysokimi wzgórzami. Tu leży mała osada — Rio de Peixe — która była celem naszej ryzykownej wyprawy. Nie żałowaliśmy tego wysiłku. Rio de Peixe okazało się jedną z najpiękniejszych, najlepiej zorganizowanych i najbardziej zwartych placówek naszych w Rio Grande do Sul. Jest to osada czysto polska w przeciwieństwie do innych osad naszych wychodźców w Brazylii,

gdzie wśród Polaków osiedliło się także mniej lub więcej kolonistów innych narodowości. Koloniści mieszkają tu blisko siebie, tak że tworzą bardziej zwarte skupisko, podobne do naszych wsi w górach. Położenie osady jest cudowne; mogliśmy to stwierdzić mimo zakrytego chmurami nieba i deszczu. Zewsząd wznoszą się góry, przecięte głębokimi jarami, na dnie których wartkim prądem płyną rzeczułki. W dolinach i na zboczach, a nawet na samych grzbietach gór prawie nie widać już lasów; wyrabiał je nasz chłop, aby na ich miejscu stworzyć urodzajne pola. Klimat jest nadzwyczaj zdrowy, nie ma tu prawie chorych i rzadko kto tu umiera, jak mi opowiadał tutejszy duszpasterz.

Spóźniliśmy się o kilka godzin, bo dotarliśmy do Rio de Peixe dopiero około godziny 12-ej. Mimo to lud wytrwał i witał nas przed pięknym, drewnianym kościołem uroczyście i serdecznie, tak samo później w Domu Polskim. Sala, choć dość duża, nie mogła pomieścić wszystkich rodaków, tak że wielka ich część mogła się z nami łączyć tylko poprzez otwarte drzwi i okna, a łączyła się z nami nie tylko fizycznie, ale przede wszystkim duchowo. Tośmy wszyscy odczuwali. Łączyła nas wiara naszych ojców, łączyła nas Matka Boska Częstochowska, w której imieniu przybyłem do tej pięknej polskiej osady. Także młodzież, choć tu urodzona, odczuwała tę łączność; wyczuwaliśmy to z ich deklamacyj, wygłoszonych

z przejściem w pięknym polskim języku. Jest to zasługą znakomitej szkoły polskiej, która z ich dusz umiejętnie wydobywa skarby ducha polskiego, odziedziczone po dzielnych rodzicach. Szkołę tę prowadzą siostry św. Rodziny w swym wspaniałym zakładzie, wybudowanym na zboczu wzgórza ponad kościołem. Bardzo ciekawą osobistością jest duszpasterz tej parafii X. Benzinger. Pochodzi on z zamożnej, bardzo znanej szwajcarskiej rodziny; studiował we Fryburgu, w Genewie, Oxfordzie, Budapeszcie, Rzymie. Prawie przypadkiem dostał się do Brazylii i do Rio de Peixe. Władza ośmioma językami. Po polsku mówi gładko i zna dobrze historię Polski. Tak ukochał nasz lud i tak się z nim zżył, że już na zawsze z nim tu w górach, oddalonych od wielkiego świata, chce pozostać i dla niego pracować, mimo że oświście jest zamożny i mógłby dzięki swym zdolnościom objąć w Europie poważne stanowisko. Nasz lud odwdzięcza mu się za to poświęcenie, otaczając go serdeczną miłością i gorliwie z nim współpracując. Nie dziw, że parafia ta pod względem wiary, zgody i jedności, a nawet i polskości jest jedną z najlepszych, jakie odwiedziłem w Brazylii.

Niestety, kilka tylko krótkich godzin przepędzić mogłem w tej przemiłej parafii. Bo już wieczorem tego samego dnia ze stacji miasta Erechim, dokąd został tymczasem przewieziony nasz wagon salonowy, trzeba było odjechać w kierunku Porto Alegre. A droga do Erechim

była daleka i ciężka, tym cięższa, że nadal padał deszcz. Wyruszyliśmy więc z Rio de Peixe już o 3-ej godz. po południu. Po drodze spotkaliśmy jeszcze dwie grupy Polaków, jedną przy szkole polskiej na linii „Centenario“, a drugą przy „Trzynastym kilometrze“, jak się ten punkt nazywa, przy skromnym drewnianym kościółku.

Tylko kilka krótkich chwil możemy im poświęcić, ale odnosimy wrażenie, że chwile te będą dla nich pamiętne na całe życie.

O godz. 7-ej wieczorem nareszcie jesteśmy w Erechim. Jest to na tutejsze stosunki dość duże miasto, ważny punkt kolejowy i centrum handlowe dla szerokiej okolicy. Odwiedzamy wielki, nowocześnie urządzony browar, należący do Włocha, którego dwaj synowie ożenili się z Polkami. Jest tu ładny gmach Kolegium Polskiego; niestety, stoi pusty, bo w samym mieście jest tylko kilku Polaków, a z okolicy, gdzie są większe osiedla polskie, jest za daleko do miasta. Stąd też nie ma tu polskiej placówki duszpasterskiej. Nie wiem, jakie koła wpadły na niefortunny pomysł wybudowania tu gmachu dla polskiej szkoły. Znowu na darmo wyrzucone pieniądze wskutek bezplanowości polityki szkolnej i nieznamomości stosunków na terenie tutejszego wychodźstwa. Czas do prawdy, żeby tej bezplanowości położyć kres i stworzyć silną centralę szkolną dla całego wychodźstwa w Brazylii.

Całe dwie noce następne i dzień między nimi przepędzamy na kolei w wygodnym naszym wagonie salonowym. Jedziemy prawie wciąż przez falisty step, pokryty suchą trawą; tylko w fałdach między wzniesieniami, gdzie widocznie więcej jest wilgoci, widać zielone kępy drzew. Kraj jest prawie bezludny, tylko przy torze kolejowym od czasu do czasu spostrzegamy marne chatki z kolorową ludnością. Widać także dużo bydła i koni, pasących się bez wszelkiego dozoru na stepie, nie w takiej jednak ilości jak na pampasie argentyńskim. W pewnej chwili, przechodząca przez tor kolejowy krowa wpadła pod koła parowozu naszego pociągu i została natychmiast poszarpana w kawałki, sam zaś parowóz przednimi kołami wyrzucony z szyn. Wskutek tego wypadku spóźniamy się o całą godzinę.

Kilka mil przed miastem Santa Maria step przechodzi w teren górzysty o charakterze romantycznym z przepięknymi dolinami i wzgórzami. Krajobraz przypomina Szwajcarię. Na stacji Santa Maria oczekuje mnie biskup miejscowy, X. Reis, i zabiera mnie samochodem na kolację do swej skromnej, ale miłej rezydencji. Nie mamy dużo czasu, gdyż wskutek spóźnienia pociąg zatrzymuje się na miejscu tylko godzinę. Ale na szczęście okoliczności pozwalają X. biskupowi towarzyszyć mi w dalszej podróży aż prawie do Porto Alegre. Rozmawiamy w naszej salówce aż do samej północy. Dopiero od trzech lat

X. Biskup Reis rządzi swoją rozległą diecezją; przedtem był proboszczem w Porto Alegre. Jest jeszcze młody, pełen energii i inicjatywy. Z dużym powodzeniem organizuje diecezjalną Akcję Katolicką, ruch robotniczy i kooperatywy, przy czym wielkie usługi mu oddaje dzielny Polak przemysłowiec, p. Pitas, o którym już wspomniałem.

Do naszych wychodźców X. biskup Reis odnosi się bardzo życzliwie. Niestety, nie rozporządza na razie dostateczną liczbą polskich księży, by móc odpowiednio obsadzić wszystkie ważniejsze polskie placówki — jak np. Ijuhy, Boa Vista, Treze de Maio, gdzie przy boku X. Schmidta, który, jak powiedzieliśmy, jest niemieckiego pochodzenia, a przy tym już zmęczony długoletnią ciężką i gorliwą pracą duszpasterską, powinien pracować przynajmniej jeden wikariusz polskiego pochodzenia, aby zaspokoić należycie potrzeby religijne naszych wychodźców. Przy wielkiej gorliwości i dużej energii dzielnego biskupa z Santa Maria należy się spodziewać, że luki te w krótkim czasie zostaną wypełnione.

Gdy rano następnego dnia, 28-go listopada, obudziłem się w sypialnym przedziale naszego wagonu, pociąg dojeżdżał już do Porto Alegre, stolicy stanu Rio Grande do Sul, wielkiego nowoczesnego miasta. Po długiej tułaczce po lasach i stepach znowu znalazłem się w wielkim ośrodku kulturalnym.

10. Porto Alegre

Kolonia polska w Porto Alegre liczy na pewno kilka tysięcy dusz. Jak w ogóle we wszystkich wielkich miastach, tak też i tu trudno stwierdzić dokładną ich liczbę. Podane mi przez różne czynniki liczby wahają się między 4000 i 7000, w każdym razie liczba naszych rodaków jest tu dość poważna. Stanowi ona jednak niezbyt wysoki procent w stosunku do całej ludności miasta, liczącego z górą 200.000 mieszkańców. Liczbą i wpływami zaznacza się tu bardzo silnie — jak zresztą w ogóle w całym stanie Rio Grande do Sul — element niemiecki. Nawet sam arcybiskup i prezydent miasta są pochodzenia niemieckiego, jak również przeważnie duchowieństwo świeckie i zakonne. Nic w tym dziwnego, gdyż wychodztwo niemieckie w Brazylii datuje się już od przeszło 100 lat, miało więc dosyć czasu, by wytworzyć sobie jak najpomyślniejsze warunki egzystencji. Nasi rodacy należą w większej części do klasy robotniczej. Jest atoli między nimi także sporo rzemieślników, kupców i przedsiębiorców, bardzo mało natomiast właściwej inteligencji. Najwybitniejsza wśród niej osobistość, adwokat dr Chmielewski, piastujący urząd inspektora skar-

bowego, nie bierze, niestety, obecnie, nie wiem z jakich powodów, czynnego udziału w życiu społecznym kolonii, choć w rodzinie swojej pielęgnuje tradycje polskie. Bardzo natomiast żywy, może nawet za żywy, bo trochę na sposób dyktatorski, bierze w nim udział architekt Sobczak, człowiek zamożny i o dużej inicjatywie. Wpływy rodaków w mieście nie są wielkie. Jest to niewątpliwie częściowo ich własną winą, gdyż mimo niewielkiej stosunkowo swej liczby, mogliby się w życiu publicznym mocniej zaznaczyć, gdyby między nimi, jak niestety, nie jest, panowała zgoda i jedność.

Nie można wprawdzie powiedzieć, żeby rodacy nasi w Porto Alegre nie odczuwali potrzeby łączenia się w organizacjach polskich, owszem stworzyli nawet bardzo liczne i dość ruchliwe stowarzyszenia; niestety jednak, jak dotąd nie potrafili się zdobyć na solidarną i harmonijną współpracę, przynajmniej w sprawach, które wszystkich łączyć powinny, lecz kłócą się między sobą, a to mniej z powodu różnicy światopoglądu, ile raczej na tle osobistych ambicji jednostek. W samej bowiem rzeczy olbrzymia ich większość stoi mocno tak na gruncie katolickim, jako też i polskim.

Wskutek owego bolesnego rozbitcia kolonii znalazłem się w Porto Alegre w dość przykłej sytuacji, podobnie jak i minister Grabowski, nasz polski poseł w Rio de Janeiro, który w Porto

Alegre przyłączył się do mnie, aby mi towarzyszyć już podczas całej dalszej mej pielgrzymki wśród naszego wychodźstwa w Brazylii. Główni działacze w organizacjach polskich w Porto Alegre nie mogli nawet o tyle się pogodzić, by ustalić wspólny program dla naszego przyjęcia i pobytu w Porto Alegre. Musieliśmy dopiero urządzić z nimi konferencję i po namiętnej dyskusji, jaka się wywiązała, stanowczo oświadczyć, że tylko pod tym warunkiem weźmiemy udział w uroczystych akademiach, jakie przygotowano dla naszego uczczenia, jeżeli będą na nie zaproszone wszystkie stowarzyszenia polskie. To poskutkowało. Akademie odbyły się już nie tylko bez zgrzytu, ale nawet w bardzo podniosłym nastroju, przy dużym udziale rodaków. Tak sala Związku Zrzeszeń Polskich w stanie Rio Grande do Sul, jak sala lokalnego Związku „Polonia“ były przepełnione. Rozumie się, że na obu tych akademiach tak minister Grabowski jak i ja sam gorąco zachęcaliśmy rodaków do jedności i zgody.

Zresztą należy stwierdzić, że mimo rozbicia kolonia polska w Porto Alegre wykazuje dużą żywotność i ruchliwość. Jak dopiero co wspomniałem, posiada ona aż dwa Domy Polskie z salami na zebrania. Szczególnie piękny jest Dom Polski, należący do stowarzyszenia „Polonia“. To samo stowarzyszenie wybudowało tuż przy swym ognisku także wcale okazały gmach szkolny. Z inicjatywy nader gorliwego polskiego duszpa-

sterza X. kanonika Pereza, kolonia zdobyła się, nawet na budowę własnego kościoła polskiego, mimo, że w Porto Alegre nie brak katolickich świątyń. Jest on już prawie wykończony i bardzo ładnie się przedstawia.

Piękne te dzieła, których stworzenie wymagało niewątpliwie dużego wysiłku, świadczą o tym, że duch kolonii polskiej jest mocny i zdrowy a jej ambicja narodowa wielka. Widocznie spory poruszyły tylko powierzchnię, lecz nie zdołały wzburzyć samej głębi jej polskiego życia. Toczą się one w małym kole ludzi o „duszach rogatych“, jak trafnie ich scharakteryzował minister Grabowski. Olbrzymia zaś większość kolonii nie o nich wiedzieć nie chce. Składa się ona z ludzi spokojnych, o głębokiej wierze i szczerym patriotyzmie. Mogłem się o tym przekonać, odwiedzając liczne domy polskie. Wszędzie odniosłem jak najlepsze wrażenie. Mogłem przy tym stwierdzić, że położenie gospodarcze naszych rodaków jest na ogół zadawalające. Nie ma wprawdzie między nimi bogaczy, ale też nie ma i biednych.

Na uroczyste nabożeństwo, które odprawiłem w niedzielę, przypadającą na czas mego krótkiego wśród nich pobytu, zgromadzili się oni bardzo licznie. W pięknej procesji ze sztandarami wprowadzili mnie do swego nowego kościółka, wewnątrz, jak powiedziałem, jeszcze nie całkowicie wykończonego. Chór bardzo dobrze się spisał,

śpiewając stare polskie pieśni kościelne. Szczególną mi radość sprawiło, że wielkiej liczbie dzieci, niewiast i mężczyzn mogłem przy tej okazji udzielić Komunii świętej. Rozgrzały się serca nasze przy tym wzniosłym nabożeństwie polskokatolickim. Ogarnęła nas radosna świadomość, że mimo wszelkich sporów jesteśmy jedną rodziną, gdyż łączy nas wspólna wiara, łączy nas Chrystus Pan i Matka Boska Częstochowska, która, zdawało się, miłościwie spoglądała na nas z obrazu, umieszczonego w głównym ołtarzu; Ona też na pewno nie dopuści do tego, żeby Jej rodzina rozbiła się, ale coraz silniej będzie łączyła ją koło siebie w tym kościółku, który na Jej cześć wybudowało wychodźstwo, właśnie w tej myśli, aby za Jej przyczyną świątynia ta stała się dla kolonii polskiej w Porto Alegre twierdzą wiary i polskości oraz ostoją jedności, jak Częstochowska Jasna Góra dla całego narodu.

Jak już wspomniałem, główną zasługę, że stanął ten kościół, należy przypisać X. kanonikowi Perezowi, o którym już wyżej pisałem.

Kolonia polska w Porto Alegre znalazła w tym synu matki Polki a ojca Hiszpana dzielnego opiekuna i troskliwego duszpasterza. Dzięki swoim zdolnościom cieszy on się wielkim poważaniem w całym społeczeństwie i zajmuje w archidiecezji Porto Alegre ważne stanowisko jako sekretarz Wikariatu Generalnego. Bardzo ubolewa nad tym,

że obowiązki, jakie nakłada ten urząd, nie pozwalają mu tak się zajmować kolonią, jakby w swej gorliwości pragnął. Dlatego też stara się o to, by do Porto Alegre został powołany inny jeszcze ksiądz polski, który by już całkowicie mógł się oddać pracy duszpasterskiej wśród rodaków naszych. Niewątpliwie starania jego prędzej czy później odniosą pożądany skutek, tym więcej, że X. Arcybiskup Becker, pasterz diecezji Porto Alegre, zajmuje bardzo przychylne stanowisko względem polskich wychodźców.

Podczas pobytu mego w Porto Alegre miałem kilkakrotnie sposobność zetknąć się z tym światłym, bardzo wpływowym dostojnikiem Kościoła i rozmawiać z nim o zagadnieniach naszego wychodźstwa. Nie mogę na tym miejscu wymienić poszczególnych kwestyj, jakieśmy omówili i projektów, jakie pozwoliłem sobie mu przedstawić celem możliwie najdoskonalszego uregulowania opieki duszpasterskiej nad naszymi rodakami już nie tylko w archidiecezji Porto Alegre, ale w całej w ogóle Brazylii; mogę tylko zaznaczyć, że X. Arcybiskup Becker odnosi się do tej sprawy z jak największą życzliwością i niewątpliwie poprze ją na zjeździe episkopatu brazylijskiego, o co go prosiłem.

Jak mogłem wywnioskować z rozmów z X. Arcybiskupem i innymi prałatami, a także z czynnikami rządowymi, stosunki między Kościołem a Państwem w Brazylii obecnie układają się coraz pomyślniej. Nowa Konstytucja w wielkiej

mierze uwzględnia prawa Kościoła i katolicki charakter kraju. Prawo małżeńskie nie dopuszcza rozwodów. Wzmagający się ruch katolicki ma pełną swobodę rozwoju. Główne partie polityczne, rządowe czy przeciwrządowe bardzo poważnie się z nim liczą. Niewątpliwie Brazylia idzie dziś coraz bardziej stanowczo i świadomie w kierunku katolickim. Z tych nastrojów korzysta niewątpliwie także nasze wychodztwo, które przynajmniej w 90 proc. jest szczerze katolickim, gdyż katolickie nastawienie państwa i społeczeństwa brazylijskiego pozwala na to, by wychodztwo mogło swobodnie rozwijać swoje życie religijne, swoje katolickie szkoły i organizacje, a z czasem zdobyć nawet poważne wpływy na kształtowanie się stosunków w tym kraju o tak wielkiej przyszłości.

Z nastrojów katolickich w Brazylii mogłem także osobiście skorzystać, ponieważ ułatwiły mi one w wysokim stopniu moją misję religijną wśród naszego wychodztwa. Władze brazylijskie nie tylko nie robiły mi żadnych trudności w jej spełnianiu, ale przeciwnie, udzielały mi jak najżyliwszej pomocy. Interwentor (czyli prezydent) stanu Rio Grande do Sul, jak już wspominałem w jednym z poprzednich listów, oddał do mojej dyspozycji nawet wagon salonowy na podróżę przez ten stan.

Wobec tego, bawiąc w Porto Alegre, stolicy stanu, uważałem za swój obowiązek złożyć wizy-

tę temu wysokiemu dostojnikowi i podziękować mu za oddane usługi. Przyjął mnie jak najuprzejmiej w monumentalnym pałacu rządowym, w którym urzęduje. W długiej, bardzo miłej rozmowie, która się między nami wywiązała, ze szczerą pokorą wyznał, że, niestety, nie jest jeszcze praktykującym katolikiem, że ma atoli nadzieję i wolę stać się nim, bo uświadamia sobie coraz głębiej, jak wielką siłą w życiu jest wiara. Nasze wychodztwo bardzo chwalił, uważając je za dodatni czynnik w rozwoju Brazylii. Wspomniał także o tym, że między stanem Rio Grande do Sul a Polską zostały nawiązane stosunki handlowe. Szczególnie zadowolony jest z szyn kolejowych, które stan sprowadził z Chorzowa na Śląsku. Słyszając to, ogromnie się ucieszyłem, gdyż wielką radość sprawiła mi myśl, że nareszcie z Polski do krajów zamorskich eksportujemy już nie tylko ludzi, ale także wyroby polskie.

Stany, wchodzące w skład państwa brazylijskiego, mają bardzo daleko idącą autonomię, a ich prezydenci — noszący przed wejściem w życie nowej konstytucji tytuł „Interwentora“ a po jej wprowadzeniu tytuł „Gubernatora“ — mają bardzo szeroką władzę. Każdy *I n t e r w e n t o r* ma swój gabinet, składający się z sekretarzy stanu dla różnych dziedzin życia publicznego; niektóre stany, jak właśnie Rio Grande do Sul, mają nawet sekretarza stanu dla spraw zagranicznych.

Wspólnie z ministrem Grabowskim złożyliśmy wizyty wszystkim tym dostojnikom stanowym, jako też i prezydentowi miasta, generałowi, dowódcy siły zbrojnej, komendantowi policji stanowej i komendantowi portu. Choć te wizyty miały charakter oficjalny, przyjmowano nas wszędzie bardzo serdecznie, przy tym stosownie do zwyczaju brazylijskiego, częstowano nas wysmienitą czarną kawą. Na cześć naszą Interwentor wydał nawet wielki bankiet, podczas którego mieliśmy sposobność zetknąć się z wszystkimi wpływowymi osobistościami stolicy. Rozumie się, że staraliśmy się z ministrem Grabowskim usilnie o to, aby na tych przyjęciach jak najgodniej reprezentować Polskę i robić dla niej jak najskuteczniejszą propagandę. Nie było to trudno, gdyż dzięki naszemu dzielnemu wychodztwu Polska już ma dobrze urobioną opinię w Brazylii.

Podczas pobytu naszego w Porto Alegre, została tu także założona filia Towarzystwa Polsko-Brazylijskiego „Kościuszko“, które ma główną swą siedzibę w Rio de Janeiro.

Inauguracja nastąpiła w przepięknej Bibliotece Publicznej przy licznych udziale najlepszych sfer społeczeństwa brazylijskiego, obecny był także X. Arcybiskup Becker.

To żywe zainteresowanie się Polską, te szczere próby nawiązania z nią ściślejszych stosunków, objawiające się nie tylko w Porto Alegre, ale jak

później stwierdzić mogłem, w całej Brazylii, powinniśmy wysoko cenić i z naszej strony popierać raz ze względu na nasze liczne wychodźstwo, które znalazło tu tak pomyślne warunki egzystencji, po wtóre ze względu na duże możliwości wymiany dóbr gospodarczych z tym krajem, a wreszcie ze względu na wielką rolę, którą to olbrzymie państwo, niewątpliwie już w niedalekiej przyszłości, będzie odgrywało w dziejach świata i Kościoła świętego.

Dni, przepędzone w Porto Alegre, były tak pracowite, że nie pozwoliły mi na dokładniejsze zwiedzenie miasta i jego przepięknej okolicy. Wobec tego mogę tylko krótko wypowiedzieć ogólne wrażenie, jakie z niego wyniosłem. W dziwny, ale nierzadący sposób Porto Alegre łączy w sobie charakter kolonialny z rozmachem nowoczesnego, wielkiego miasta. Szeroko rozbudowane na olbrzymim płaskowzgórzu wznosi się powoli wzwyż nad laguną dos Patos (laguną kaczek). Laguna łączy je z portem Rio Grande nad Atlantykiem, jest jednak za płytka, by wielkie statki transoceaniczne mogły dobić do jego portu. Mogą to uczynić tylko statki mniejsze. Mimo to jest wielką metropolią handlową, w której koncentruje się życie gospodarcze całego stanu Rio Grande do Sul, oraz jego życie kulturalne i polityczne. Ulice są szerokie, czyste, otwierające ciekawe widoki na lagunę i na otaczające ją zielone pagórki.

W samym centrum miasta na najwyższym wzniesieniu płaskowzgórza wznoszą się potężne mury nowej niewykończonej jeszcze katedry. Będzie to gmach monumentalny, wspaniały, wzorowany na bazylice św. Piotra w Rzymie. Bardzo okazale przedstawia się także nowy Kościół Ojców Kapucynów w ciekawie zastosowanym stylu gotyckim, wznoszący się również na wzgórzu, ale już na peryferiach miasta. Z szerokiego tarasu przed wejściem do kościoła roztacza się przepiękny widok na miasto i lagunę. W klasztorze tuż obok świątyni spotkaliśmy kapucyna polskiego pochodzenia, przebywającego od wielu lat w Brazylii. Była to nader miła dla niego niespodzianka, że mógł zobaczyć polskiego biskupa i z nim rozmawiać o Polsce, której dotąd nie zapomniał. Niemniejszą była radość rodaków, których odwiedziłem w wielkim, wzorowo urządzonym, przez niemieckie siostry zakonne prowadzonym szpitalu, noszącym piękną nazwę „S a n t a C a s a” — „Dom święty”. Przeważnie niemieckiego pochodzenia są też Ojcowie Jezuici, w których klasztorze podczas pobytu mego w Porto Alegre zamieszkałem. Prowadzą tu oni wielkie gimnazjum męskie, cieszące się dużą frekwencją uczniów i wysokim uznaniem tak ze strony społeczeństwa jak i rządu. Ponieważ sam jestem wychowankiem OO. Jezuitów, przyjęli mnie z tym większą serdecznością i oddali mi wielkie usługi przy spełnieniu mej misji apostołskiej w Porto Alegre.

Przyjechałem do Porto Alegre z pewną trwo-
gą, bo już w interiorze opowiadano mi o boles-
nym rozbiciu tutejszej Polonii, odjechałem zaś
z wielką pociechą, gdyż przekonałem się, że mimo
tych sporów, duch ogółu kolonii polskiej jest
mocny, wola dobra, wiara żywa i czynna, polskość
szczera i twórcza.

11. Mariana Pimental i Sao Feliciano

Po pięciodniowym nader pracowitym pobycie w Porto Alegre, wybrałem się wczesnym rankiem, w dniu 3 grudnia, w towarzystwie ministra Grabowskiego i X. dziekana Wróbla, w dalszą podróż znowu w głąb Brazylii, tym razem jednak w kierunku południowym. W porcie bardzo serdecznie żegnała nas miejscowa kolonia polska. Mały statek zawiózł nas po lagunie dos Patos do skromnej, ale szybko widocznie rozwijającej się osady Barra do Ribeiro. Z laguny podziwiać mogliśmy piękny widok na oddalające się od nas Porto Alegre.

Po 2 i pół godzinach spokojnej jazdy lądujemy. Witają nas przedstawiciele władz i grupa rodaków z Mariana Pimental, dzisiejszego celu naszej pielgrzymki z X. prob. Reszke na czele. W Barra do Ribeiro, jak dziś już prawie w każdym miasteczku brazylijskim, jest kilka rodzin polskich.

Nie zatrzymujemy się tu jednak dłużej, lecz wkrótce po przybyciu wyruszamy samochodem w kierunku M. Pimental. Dzień jest pochmurny. Trudna do przebycia droga prowadzi najpierw

przez stepy, później wśród wzgórz zielonych. W dolinach spostrzegamy liczne pola ryżowe zalane wodą.

Blisko M. Pimental wystrzelające w górę rakiety zapowiadają nasz przyjazd. Widocznie spostrzegły nas już z daleka wystawione na wzgórzach forpoczty i w ten sposób uwiadamiają ludność miasteczka o naszym zbliżaniu się. Jakoż wkrótce zjawia się banderia, złożona z kilkuset koni. Świetnie prezentujący się nasi chłopcy z szerokimi „sombretami“ na głowach, wyglądają jakby urodzeni g a u c h o s.

Miał przyjechać z nami także generał interwentor z Porto Alegre. W ostatniej jednak chwili zmuszony został ważnymi zajęciami do pozostania w stolicy. Nie wiedząc o tym, na powitanie nasze zebrali się nie tylko rodacy, ale cała w ogóle ludność miasteczka i okolicy. Witają nas władze, wita nas kolonia polska.

Procesja z muzyką prowadzi nas do kościoła; choć nie tak dawno zbudowany, okazuje się on już za mały dla szybko rozwijającej się kolonii. Stąd kolonia myśli już poważnie o budowie nowej obszerniejszej świątyni.

Po nabożeństwie i błogosławieństwie sakramentalnym i pasterskim udajemy się do pobliskiego lasku, gdzie na naszą cześć odbywa się wspaniałe „c h u r a s e o“. Cały wół, kilka baranów i mnóstwo kur padły ofiarą tego oryginalnego bankietu gauchoskiego. Szkoda tylko, że słoń-

ce skryło się za chmurami. Inaczej wspaniała ta uczta byłaby jeszcze więcej romantyczną, humor jeszcze lepszy, przemówienia jeszcze liczniejsze. Z pewnym zdziwieniem stwierdziłem, że przy stole honorowym pod drzewami zajęli miejsca, poza polskim duszpasterzem, sami tylko niepolacy. Widocznie rodacy nasi nie zdobyli sobie jeszcze odpowiednich stanowisk społecznych, by móc zasiąść przy honorowym stole między „śmietanką” kolonii.

Faktycznie w samym „sede”, czyli miasteczku, stanowiącym ośrodek okręgu kolonizacyjnego, a tym samym i centrum handlowe i przemysłowe oraz siedzibę władz, mieszka tylko 6 polskich rodzin. Wszyscy inni, a liczba ich jest znaczna, bo przeszło 4 000 dusz, mieszkają rozproszeni na „liniach” w swoich „koloniach”. Przybyli atoli także i oni bardzo licznie na to „churasco”, otaczając mnie szerokim kołem, ciekawi usłyszeć od polskiego biskupa, co się dzieje w Starym Kraju. Jest między nimi dużo starych kolonistów, którzy mimo 40 i więcej lat ciężkiej pracy w puszczy brazylijskiej zachowali jednak pełnię sił fizycznych i umysłowych. Jak mnie zapewniali, powodzi im się dobrze. W każdym razie biedy nie odczuwają.

Trudna podróż samochodem po złych drogach na górzystym terenie mocno nas zmęczyła, więcej może jeszcze „churasco”, ciężko strawne dla naszego wydelikaczonego żołądka europejskiego. By-

liśmy więc pragnieni wypoczynku, który znaleźliśmy na skromnej, ale miłej plebanii.

W następny dzień odprawiłem Mszę świętą, wygłosiłem kazanie i poświęciłem świeżo sprawioną przez rodaków statuetkę św. Stanisława Kostki, patrona młodzieży polskiej. W kościele, mimo dnia powszedniego, zebrało się sporo ludzi. Śpiewają „Serdeczna Matko“ jeszcze dość dobrze, mniej już dobrze „U drzwi Twoich“; dość licznie przystępują do Komunii świętej. Po nabożeństwie udaliśmy się na pogadankę do pobliskiego „Domu Polskiego“. Jest w nim dość ładna i dość duża sala i kilka pokoi. Dawniej była tu szkółka polska, prowadzona przez polskiego nauczyciela. Niestety szkołka upadła. Istnieje w kolonii także polskie towarzystwo rolnicze, ale nie wykazuje żadnej działalności. Wskutek tego „Dom Polski“ dziś stał się bezużytecznym. Ten stan rzeczy mnie boli. Nie taję uczucia tego wobec licznie zebranych kolonistów i gorąco zachęcam ich do większej aktywności. Niestety, na razie jest mało widoków, by te stosunki się zmieniły. Bo, jak już powiedzieliśmy, na miejscu jest tylko sześć rodzin polskich, dla innych zaś mieszkającym na „liniach“ do „Domu Polskiego“ jest zbyt daleko. Poleciłem rodakom, żeby przynajmniej w niedziele i święta po nabożeństwie, na które przecież nawet z daleka się zjeżdżają, zbierali się w polskim ognisku na pogadanki, na pielęgnowanie polskiego śpiewu kościelnego i t. d. Młody X. Reszke, ich

duzpasterz syn polskiego kolonisty, wychowany już w Brazylii, ma dużo dobrej woli, ale jest słabego zdrowia, a przy tym bardzo dużo ma pracy, gdyż musi opieką duszpasterską otaczać nie tylko samych Polaków, ale niemniejszą liczbę katolików innych narodowości, którzy mieszkają na obszer-
nym terytorium jego parafii. Żeby tej pracy podo-
łać, a szczególnie żeby więcej móc poświęcić czasu i wysiłków polskim organizacjom, powinien mieć do pomocy jeszcze jednego kapłana polskiego.

Około 3-ciej godziny po południu wybieramy się na jedną z linii, gdzie znajduje się polska szko-
ła i polski nauczyciel. Niestety pada deszcz. Dro-
ga przemieniła się w istną rzeką błota. Już pier-
wszego wzgórza, blisko miasteczka samochód
nasz pokonać nie może, a takich wzgórz jest je-
szcze dużo. Trzeba założyć łańcuchy. Za ich po-
mocą po dużych trudach docieramy na miejsce.
Okolice jest górzysta, krajobraz bardzo piękny,
podobny do naszego Podkarpacia. W dolinach
wszędzie widzimy pola ryżowe. Osiedlili się tu
prawie sami Polacy. Mieszkają w małych, ład-
nych, murowanych domkach, rozproszonych po
dolinach i zboczach wzgórz, prawie całkowicie
ogolonych z lasu. Przed szkołą spotykamy ma-
lowniczą grupę rodaków: dzieci, młodzież i star-
szych; obok przywiązane do płotu konie, na któ-
rych przyjechali. W przepełnionej, dość dużej
sali szkolnej wita nas młody, bardzo sympatyczny
nauczyciel. Mówi dobrze; podkreśla konieczność

zachowania wiary św. i języka polskiego. Niemniej gorąco i my przemawiamy, minister i ja sam. Nawiązuje się przemiła pogadanka z rodakami. Mały chór udatnie śpiewa polskie pieśni pod kierownictwem nauczyciela. Obok sali szkolnej znajduje się ubogie mieszkanie jego i rodziny: dwa ciasne pokoiki bez podłogi; kuchnia; według tutejszego zwyczaju, w osobnej chatce. Jak w takich warunkach — bo i pobory nauczyciela są nader skromne — wytrwać i pracować! Nie dziw, że szkolnictwo polskie w Brazylii nie stoi na wysokim poziomie. Koniecznie podnieść trzeba stan nauczycielski, stworzyć dla niego lepsze warunki bytu i pracy. Jest to jedno z najważniejszych zagadnień wychodźstwa w Brazylii.

Tymczasem deszcz przestał padać. Powrotna droga jest już lepsza. Pod wieczór jesteśmy znowu na plebanii w M. P i m e n t e l.

Dzięki Bogu, nie cierpię na bezsenność. Sześć do siedmiu godzin spokojnego snu przywraca mi siły, nawet po największym zmęczeniu. Inaczej nie wytrzymałbym trudów koczowniczego życia, jakie teraz prowadzę. Często, niestety, mniej wprawdzie w okolicach górzystych, jak tu, w Mariana Pimentel, więcej natomiast na stepach i w miastach, dokuczają komary, nie pozwalając mi, na tak potrzebny wypoczynek. Ale i z tą plagą trzeba się liczyć w kraju podzwrotnikowym.

W czas rano następnego dnia wybieramy się w dalszą drogę. Wracamy do Barra do Ribeirô

nad lagunę dos Patos, stamtąd po kilkogodzinnej jeździe samochodem w kierunku południowym, przez jednostajny, nudny step, docieramy do miasteczka municypalnego Tapes. Osada ta powstała dopiero niedawno, ale bardzo szybko się rozwija. Zawdzięcza to położeniu laguną i plantacjom ryżu, których jest bardzo dużo w okolicy. Znajduje się tu także kilka wielkich łuszczarni ryżu, jest sporo wend (składow i sklepów towarowych), dwa hotele, kilka ładnych will. Poza tym miasteczko, otoczone zewsząd stepem, nie ma nic ciekawego. Uprzedzeni przez interwentora stanu, witają nas prefekt (starosta) i inne autoridades (władze). Polaków tu niema.

W hotelu Comercial spożywamy obiad, jest już bowiem po godzinie 13-ej. Według zwyczaju, panującego w Brazylii, wszystkie potrawy ciepłe i zimne, podają od razu na wielkich półmiskach. Menu jest zawsze to samo, a więc makaron, ryż, gotowana czarna fasola (fizon), sałata kartoflana, kura, wieprzowina. Nie trzeba przy tym trzymać się żadnego porządku, każdy spożywa, co mu się podoba, lub raczej, co znosi jego żołądek.

Nie możemy długo zabawić przy obiedzie, bo droga do Camaguam, gdzie mamy zamiar przenocować jest daleka. Prowadzi znowu przez równinę; wszędzie jest dużo wody, a tym samym dobre warunki dla plantacji ryżu. Dużo też spostrzegamy ptaków wodnych, między innymi mnóstwo czapli. Kraj ma przeważnie charakter stepowy,

prawie nigdzie nie widać lasu. Od czasu do czasu tylko można spostrzec pojedyncze drzewa egzotyczne, szczególnie palmy.

Z miasta Camaguan, do którego po kilkogodzinnej jeździe nareszcie się przybliżamy, wyjechała na nasze spotkanie grupa rodaków na samochodach ciężarowych, przyozdobionych chorągiewkami o barwach polskich i brazylijskich. Triumfalnie wśród szumu rakiet, wjeżdżamy do masteczka, pięknie położonego na wzgórzu. Przed bramą nowego, okazałego kościoła, wznoszącego się na najwyższym punkcie miasta, wita mnie miejscowy X. proboszcz, belgijczyk, urodzony w Berlinie, ale już wychowany w Brazylii, wita także w imieniu społeczeństwa dyrektor szkoły, Włoch, wygłaszając dłuższe przemówienie we włoskim języku. Przemawiam w kościele po polsku i po włosku.

Z kościoła przechodzimy do prefektury, gdzie z prefektem na czele, rasowym portugalczykiem, bardzo dostojnym i poważnym starszym panem, zebrały się miejscowe autoridades, aby zgotować nam jak najwspanialsze przyjęcie przy kieliszku brazylijskiego wina szampańskiego. Na liczne przemówienia, wygłoszone w stylu wysoce krasomówczym — brazyljanie lubią krasomówstwo i doprowadzili je do wielkiej doskonałości — bardzo umiejętnie odpowiadał minister Grabowski w portugalskim i polskim języku.



Plantacje kawy w stanie São Paulo.



Zbiór kawy.

Kolonia polska w Camaguam nieliczna wprawdzie — zaledwie 30 rodzin — jest jednak bardzo ruchliwa. Wybudowała sobie okazały i wygodny „Dom Polski“ z dużą salą. Tam też późnym już wieczorem zetknęliśmy się z rodakami. Znowu liczne przemówienia, znowu kieliszek wina szampańskiego. Rodacy robią bardzo dobre wrażenie, są przeważnie kupcami i rzemieślnikami. Jak mnie zapewniał proboszcz, wyróżniają się przed innymi narodowościami energią i przedsiębiorczością tak, że napewno prędzej czy później opanują miasteczko, tym więcej, że wobec szybkiego jego rozwoju należy spodziewać się przyływu do niego innych Polaków z pobliskich kolonii polskich.

Niestety nie ma tu ani polskiego nauczyciela, ani księdza Polaka. A byłby bardzo potrzebny, tak jeden jak drugi. Potrzebny byłby nauczyciel, bo jak sam mogłem zauważyć, rozmawiając z rodakami na sali, dzieci ich wcale nie mówią po polsku albo już bardzo słabo. Byłby potrzebny także ksiądz polski, bo jak mi się żalił X. proboszcz, rodacy nasi nie biorą takiego udziału w życiu kościelnym, jakby należało się od nich spodziewać. Ksiądz - Polak znalazłby tu dosyć pracy, gdyż poza 30 polskimi rodzinami w samym miasteczku, znajduje się na terenie parafii na „liniach“ jeszcze około 200 polskich rodzin. Zdając sobie sprawę z tego stanu rzeczy, gorliwy proboszcz z Camaguam, sam nie władając językiem naszym, bardzo byłby zadowolony, gdyby miał do pomocy polskie-

go księdza, tym więcej, że parafia jego liczy nie-
mniej niż 23000 dusz, należących do różnych naro-
dowości. Dzięki Bogu, są widoki, że spełnią się
życzenia jego i że nasi rodacy w Camaguam i oko-
licy otrzymają polskiego duszpasterza.

Przy dobrej woli da się załatwić także i spra-
wa polskiej szkoły w Camaguam. Wprawdzie,
jak powiedzieliśmy, na miejscu jest tylko 30 ro-
dzin polskich, ale rodziny te są liczne, byłaby więc
wystarczająca liczba dzieci dla polskiej szkółki.
Przy tym kolonia jest dość zamożna, tak, że mo-
głaby utrzymać nauczyciela. Jeżeli zdobyła się
na wybudowanie pięknego Domu Polskiego, to
niewątpliwie zdobędzie się też na utrzymanie pol-
skiej szkoły.

Już w Porto Alegre usłyszałem z ust X. arcybi-
skupa, że w wielkiej kolonii polskiej Sao Felicia-
no, do której wybraliśmy się z Camaguam, pow-
stały namiętne spory wskutek wrogiego stanowi-
ska, jakie część parafii zajęła wobec swego pol-
skiego duszpasterza. Spory te obły się teraz
o mnie samego. Już w Camaguam dowiaduję się,
że celem ustalenia i przeprowadzenia programu
naszego przyjęcia i pobytu w Sao Feliciano, utwo-
rzyły się dwa komitety, jeden z proboszczem na
czele, a drugi w opozycji do niego. Wobec tego
musiałem przedstawicielom tych komitetów, któ-
rzy zgłosili się u mnie, stanowczo oświadczyć, że
przyjeżdżam do Sao Feliciano jako biskup kato-

licki, z religijną misją apostolską do całej parafii. Dlatego tylko program ustalony przez proboszcza, głowę parafii, może być dla mnie miarodajnym. W spory w kolonii mieszać się nie mam prawa ani zamiaru. W chwili tak nadzwyczajnej, kiedy biskup z Częstochowy i polski minister przyjeżdżają do kolonii polskiej, powinna ona zapomnieć o wszelkich sporach i kłótniach, a wystąpić jako jedna rodzina katolicka. O to gorąco ich proszę.

Mimo tego oświadczenia wyjechaliśmy do Camaguam z dużym niepokojem, gdyż nie mogliśmy przewidzieć, czy rodacy zastosują się do naszego życzenia. Nie jechaliśmy sami, gdyż przyłączyło się do nas dość liczne towarzystwo, sam prefekt i inne autoridades oraz duża grupa rodaków z Camaguam. Droga ze stepu, otaczającego Camaguam, przeszła wnet w góry, stając się coraz uciążliwszą. Za to roztoczył się przed nami krajobraz coraz piękniejszy, otwierając przed nami cudowne widoki na góry i doliny, na nagie skały o dziwacznych kształtach i resztki gęstego, pierwotnego boru. Przy jednej z tych skał, podobnej do olbrzymiej żaby (tak też ją nazywają), rozpoczyna się terytorium kolonii Sao Feliciano. Do samej „sede” — czyli do centrum kolonii — jest atoli jeszcze daleko, jednak na stokach wzgórz i w dolinach widać już wśród zieleni drzew rozproszone ładne domki i zabudowania gospodarcze naszych kolonistów. Spotykamy tu także półka dojrzewających zbóż, widok jak na Brazylię dość rzad-

ki, jak już bowiem wspomniałem, ziemia brazylijska nie sprzyja na ogół uprawie zbóż.

Na powitanie nasze wyjechało na samochodach towarzystwo „Postęp“, składające się przeważnie z mieszkańców „sede“, rzemieślników i kupców. Przed samym zaś kościołem powitał nas, w otoczeniu niewielkiej grupy parafian, duszpasterz kolonii, X. Zajkowski ze Zgromadzenia Księży Salezjanów. To podwójne powitanie przez dwie różne grupy było dla nas złym znakiem, gdyż zdradzało, że mimo naszej prośby, kolonia jednak nie zdobyła się na solidarne wystąpienie w tak ważnej dla niej chwili. Nienawiść, panująca w niej, musiała widocznie być bardzo głęboka. Ten nastroj w kolonii nappełnił nas wielkim smutkiem, tym więcej, że jak mogliśmy wkrótce stwierdzić, Sao Feliciano jest jedną z największych i najpiękniejszych i co należy podkreślić, jedną z najbardziej zwartych pod względem narodowym kolonij naszych w stanie Rio Grande do Sul, ponieważ tak „linie“ jako też sama „sede“, zajęte są prawie wyłącznie przez Polaków. Dopóki nie powstały w niej spory, kolonia uchodziła wprost za wzorową pod każdym względem, tak religijnym, jak narodowym, gospodarczym i społecznym.

Dzięki Bogu, jak mogłem się przekonać podczas mego kilkudniowego pobytu od 6 — 10 grudnia — w Sao Feliciano, spory te, mimo, że są bardzo

namiętne i wytworzyły naprężoną sytuację, — nie zdołały w gruncie rzeczy złamać mocnego ducha kolonii.

Życie religijne parafii jest wysoce rozwinięte i bardzo aktywne. Na czas mego pobytu przypadł pierwszy piątek miesiąca, poświęcony Najśw. Sercu P. Jezusa, święto Niepokalanego Poczęcia i niedziela. We wszystkie te dni liczne rzesze rodaków przystępowały do Komunii św. Podczas uroczystej sumy, tak w święto Niepokalanego Poczęcia, jak w niedzielę, piękny, murowany kościół był przepełniony. Lud bardzo dobrze śpiewa stare nasze pieśni kościelne. Dzieci wcześnie przystępują do Stołu Pańskiego i dobrze są przygotowane. W kościele panuje wzorowy porządek. Niewątpliwie X. Zajkowski jest dobrym i gorliwym duszpasterzem; wielkie też ma zasługi na polu szkolnictwa polskiego w swojej parafii. Dzięki jego zabiegom istnieją szkoły nie tylko w samej „sede“, ale także na wszystkich prawie „liniach“. Kilka tych szkółek odwiedziłem, wszędzie serdecznie witany przez nauczycieli, dzieci i rodziców. Nie wszędzie poziom szkoły jest wysoki. Nic to dziwnego, ponieważ w Brazylii nie istnieje przymus szkolny, wskutek czego dzieci nie uczęszczają regularnie na naukę. Oprócz tego rodzice, szczególnie w porze żniw, zbyt często zatrzymują je w domu. Poza tym — ponownie to podkreślam — także warunki bytu i pracy nauczycieli nie są świetne. Pobory ich na ogół są

niskie, mieszkania mają liche, ich pozycja społeczna wobec kolonistów, panów na swej roli, niezbyt wybitna, tym więcej, że całkowicie zależą od ich dobrej woli. Dlatego też zdolniejsze jednostki uciekają ze szkolnictwa, jeżeli znajdą pomyślniejsze warunki egzystencji i pracy w innym zawodzie. Dużo nauczycieli, szczególnie w biednych szkołkach na „liniach“ żadnych w ogóle kwalifikacyj pedagogicznych nie posiada. Jeden z nauczycieli, którego tu spotkałem, na zapytanie moje, jakie ma kwalifikacje, odpowiedział mi, że w Polsce był tkaczem. Szkoły i nauczycieli utrzymują sami koloniści, zakładając w tym celu odpowiednie „Towarzystwo“. Niestety, nie wszyscy poczuwają się do obowiązku, przystąpienia do tej pożytecznej organizacji, tak, że cały ciężar utrzymania szkoły spoczywa zazwyczaj na barkach małej grupy najświatlejszych rodaków. Mimo to należy powiedzieć, że i ta biedna szkoła polska na wychodźstwie spełniła i spełnia wielkie zadanie. Jej to głównie jest zasługą, że dzieci naszych wychodźców, choć urodzone w Brazylii, mniej lub więcej poprawnie mówią po polsku i wiedzą coś niecoś o Polsce.

W samej „sede“ szkołę polską prowadzą polskie siostry Franciszkanek, które X. Zajkowski sprowadził ze starego kraju. Poza tym w „sede“ znajduje się szkoła brazylijska, której kierownikiem jest Czech o usposobieniu radykalnym. Niestety, wskutek opozycji do X. proboszcza, niektó-

rzy Polacy posyłają dzieci swoje do tej, obcej duchem, szkoły, zamiast do polskiej i katolickiej utworzonej i utrzymanej przez księdza.

Gmach, w którym mieści się na razie szkoła polska, wybudowany został ogromnym, długoletnim wysiłkiem X. Zajkowskiego. Przedstawia się on imponująco, mimo, że nie jest jeszcze wykończony. Zamiarem X. Zajkowskiego było rozbudować ten gmach na wielki zakład salezjański, i utworzyć w nim szkołę rolniczą i rzemieślniczą dla dorastającej młodzieży naszego wychodźstwa. Zamiar naprawdę godny poparcia. Wszak tego rodzaju szkoła przyczyniłaby się do wytworzenia na wychodźstwie stanu kupieckiego i rzemieślniczego, który dotąd jeszcze nie istnieje, a w samo rolnictwo wniosłaby większe wartości, dostarczając mu odpowiednio przygotowanych rolników z młodego pokolenia. Niestety obecnie jest wątpliwym, czy zamiar ten zostanie urzeczywistniony, gdyż zrażeni opozycją, jaką X. Zajkowski znalazł, szczególnie w samej „sede“, Księża Salezjanie wycofują się całkowicie z tej placówki. To wielka szkoda. X. Zajkowski w ogóle dużo wysiłków uczynił w celu podniesienia naszego wychodźstwa pod względem gospodarczym. Za jego inicjatywą powstała tu kooperatywa kolonistów, licząca przeszło 300 członków, a bardzo dobrze się rozwijająca. W „sede“ posiada ona duży skład towarowy, który w najbliższej przyszłości ma być przeniesiony do własnego gmachu, jaki koopera-

tywa zamierza wybudować. Inna kooperatywa znajduje się na jednej z „linii” przy szkole.

Nie mogłem pozbyć się wrażenia, że spory w kolonii powstały właśnie na tle tej intensywniej działalności gospodarczej X. Zajkowskiego. Wrażenie to, zdaje się, potwierdza fakt, że opozycja do X. proboszcza wychodzi przeważnie ze strony kupców, przedsiębiorców i rzemieślników w „sede”, podczas gdy ogół kolonistów na „liniach” a więc rolników, gorąco go broni i popiera. W każdym razie X. Zajkowski, popierając ruch spółdzielczy wśród kolonistów-rolników, stworzył sobie wrogów wśród warstwy najruchliwszej w kolonii, jaką stanowią kupcy i rzemieślnicy, mieszkający w „sede” przy samym kościele.

Inne powody sporów tkwią prawdopodobnie w odmiennym nastawieniu duchowym mieszkańców „sede” a kolonistów na „liniach”. Jest to w gruncie rzeczy walka między kierunkiem bardziej liberalnym, lewicowym, jaki reprezentuje „sede”, a kierunkiem raczej konserwatywnym, prawicowym, jaki reprezentują „linie”. Walka ta przybierała, jak mnie poinformowano, czasami tak gwałtowny charakter, że dochodziło niemal do rozlewu krwi, a toczyła się głównie o posiadanie pięknego Domu Polskiego i o opanowanie towarzystwa „Postęp”, do którego dom ten należy. Ostatecznie opanowali Dom i Towarzystwo mieszkańcy „sede”.



Przejażdżka na rzece Rio dos Patos.



Wzorowe gospodarstwo polskie w Paranie.

Dzięki stanowczemu memu oświadczeniu, że nie mam chęci, czasu, ani nawet prawa mieszania się w te spory, nie zdarzyły się żadne przykre wypadki podczas mego pobytu. Tak minister Grabowski jak i ja sam rozmawialiśmy osobiście z jedną i drugą stroną, gorąco zachęcając poważniejszych rodaków do zlikwidowania sporu oraz do przywrócenia dawniejszej zgody i jedności w kolonii. Nie wiem, choć mam tę nadzieję, czy nasze wysiłki osiągnęły żądany skutek. Byłoby niezmierną dla Polaków szkoda, gdyby wskutek niezgody ta naprawdę piękna kolonia miała upaść. A mogłaby przy solidarnej współpracy wszystkich stać się potężnym ośrodkiem ducha polskiego i katolickiego na całą okolicę.

Położenie jej jest znakomite. Do miasta Camaguan dobrze rozwijającego się centrum handlowego, jest niezbyt daleko, ziemia, choć górzysta, jest urodzajna, lud zdrowy i zdaje się, zamożny. Kupcy w „sede“ wykazują dużo ruchliwości, tak samo koloniści-rolnicy na „liniach“. Wstąpiłem do niektórych domostw i z radością stwierdziłem, że panuje w nich czystość, porządek, a nawet pewien dostatek. Społeczny dorobek kolonii jest poważny: istnieje tu piękny murowany, bardzo dobrze utrzymany kościół, miła choć skromna plebania, wspaniały gmach szkolny z licznymi salami w „sede“, a cały szereg — więcej niż w innych koloniach — mniej lub więcej dobrze urządzonych szkółek na „liniach“ jest także okazały

Dom Polski i mały klasztor siostr zakonnych. Istnieją więc jak najpomyślniejsze warunki rozwoju kolonii. Oby tylko nastąpiła w niej zgoda! Wówczas przyszłość jej będzie zapewniona, a nawet możliwa jej ekspansja na dalsze okolice, ponieważ rodziny naszych wychodźców w Sao Feliciano są liczne.

Podczas całego pobytu naszego w kolonii pogoda nam sprzyjała. Dni były słoneczne, ciepłe, nawet gorące, wskutek czego wyjazdy nasze na „linie“ stały się prawdziwą dla nas rozkoszą, tym więcej, że po drodze roztaczały się przed nami przepiękne widoki, wciąż się zmieniające w tym górzystym kraju.

Przeżyliśmy — to prawda — w Sao Feliciano kilka chwil denerwujących, przykrych, lecz jeszcze więcej chwil wzniosłych i radosnych. Przy tym podnosiła nas także myśl, że nasz przyjazd nie był daremny, jak z początku obawialiśmy się, że i tu także spełniliśmy wzniosłą misję pokojową. Jeszcze w ostatniej chwili krótko przed naszym wyjazdem z Sao Feliciano, udało się nam, stworzyć wspólny komitet, składający się z najpoważniejszych przedstawicieli obu kierunków, dotąd nawzajem się zwalczających, celem zlikwidowania sporów i rozpoczęcia nowej ery zgodnej współpracy całej kolonii.

12. Pelotas i Rio Grande

Wskutek opóźnionego wyjazdu z Sao Feliciano, nie mogliśmy już w dniu 10 grudnia dojechać do Pelotas, dalszej stacji na drodze naszej pielgrzymki, jak pierwotnie zamierzaliśmy, lecz musieliśmy przenocować w municypalnym (powiatowym) miasteczku Sao Lorenzo.

Nie żałowaliśmy jednak tego, gdyż doznaliśmy tu nader uroczystego przyjęcia przez miejscowe władze i społeczeństwo, poinformowane widocznie poprzednio o naszym przyjeździe przez przydzielonego nam ze strony gubernatora stanu oficera, jako marszałka podróży. Nie ma tu ani jednego Polaka. Mieszkańcy miasteczka są przeważnie pochodzenia niemieckiego, jak również i prefekt (starosta) oraz katolicki proboszcz i jego wikariusz. Jest tu także ewangelicki pastor, również Niemiec.

Oficjalne przyjęcie, na które zebrała się cała elita miasteczka, odbyło się w sali trybunału. Głębokim w treści a wytwornym w formie przemówieniem witał nas miejscowy sędzia, brazylijczyk, człowiek o wysokiej kulturze. Mocno w swym przemówieniu podkreślił, że jest praktykującym

katolikiem i że z tego powodu właśnie tak wysoko ceni nasze wychodźstwo, odznaczające się głęboką wiarą. Zręcznie jak zawsze odpowiedział mu minister Grabowski w języku portugalskim, sam zaś, orientując się odrazu, że większość zebranych rozumie po niemiecku, przemówiłem w tymże języku. Na pamiątkę naszej wizyty spisany został w pięknych słowach protokół, któryśmy wszyscy podpisali. Drugie przyjęcie, już nie tak oficjalne, ale za to serdeczniejsze, odbyło się we wspaniałym gmachu miejscowego klubu obywatelskiego. Tu także musieliśmy się wpisać do księgi pamiątkowej. Rozumie się, że te wspaniałe przyjęcia sprawiły nam niemałą radość, były bowiem dowodem, że w Brazylii coraz więcej doceniają Polskę i z coraz większą odnoszą się do niej sympatią. Korzystaliśmy też należycie z tej okazji, by te nastroje tak dla nas przychylne, pogłębić i wzmocnić. W ten sposób tu, jak zresztą wszędzie, nasza misja religijna stała się zarazem misją propagandową na rzecz Polski.

W następny dzień zwiedziliśmy po Mszy świętej ładny gmach prefektury, oraz mały, ale bardzo malowniczy port przy ujściu rzeczki Sao Lorenzo do laguny, która łączy tak z Porto Alegre, stolicę stanową, jak też i z wielkim portem Rio Grande nad Atlantykiem. Miasto, liczące około 4000 mieszkańców, ma typowy charakter kolonialny. Wskutek korzystnego położenia swego nad laguną dos Patos bardzo szybko się rozwija.

Także w Pelotas, dokąd dotarliśmy z Sao Lorenzo po dwugodzinnej jeździe samochodem przez step, równy tu w bliskości oceanu jak stół, sporo czasu zajęły nam obowiązki reprezentacyjne. Jest to duże miasto, liczące przeszło 60 000 mieszkańców i jest siedziba biskupa i prefekta. Znajdują się tu dość liczne i duże fabryki, między innymi wielkie fabryki cygar. Pelotas, jak Sao Lorenzo, leży nad laguną, lecz bliżej już oceanu, wskutek czego jest także ważnym punktem handlowym, chociaż wielkie transoceaniczne statki z powodu płytkości laguny nie mogą dojechać do jego portu. Miasto nie odznacza się szczególną pięknnością, tak jak step, który je zewsząd otacza.

Przemyt, jaki tu się rozwijał, ściągnął tu także małą grupę Polaków. Spotkaliśmy się z nimi w „Domu Polskim“, jaki wspólnym wysiłkiem — choć nieliczni i nie zamożni — tu sobie stworzyli, by w nim się skupiać i pielęgnować tradycje polskie. Wygłoszono liczne przemówienia w języku brazylijskim i polskim, bo w przyjęciu brali udział nie tylko rodacy, ale także brazylijczycy; poza tym jest tu sporo rodzin mieszanых, polsko - brazylijskich. Dzieci ich, a nawet dzieci rodzin czysto polskich, przeważnie już nie mówią a nawet nie rozumieją po polsku. Nie dziw, wszak nie ma tu ani polskiego księdza, ani polskiego nauczyciela. I trudno, żeby tu być mogli, gdyż kolonia jest za mała, a poza tym rozproszona w dużym mieście między obcymi. Sytuacja gospodarcza rodaków

nie przedstawia się źle; jest między nimi sporo samodzielnych rzemieślników, szczególnie kowali i ślusarzy. Dość dużą rolę w życiu kolonii, a także w publicznym życiu miasta odgrywa p. Derengowski, nauczyciel przy brazylijskim gimnazjum. W kolonii panuje zgoda.

Jak przy innych podobnych okazjach uderzył mnie na tym przyjęciu polsko - brazylijskim silny patriotyzm lokalny, jaki panuje w Brazylii. Żadnemu mówcy nie wystarczy wznieść okrzyk na cześć Brazylii i jej prezydenta, trzeba koniecznie dodać także okrzyk na cześć stanu i gubernatora prefekta i subprefekta i t. d.

Bardzo serdecznie przyjął mnie miejscowy biskup w swej skromnej, ale miłej rezydencji. Zaszczycił swoją obecnością nawet nabożeństwo, jakie w następny dzień odprawiłem dla rodaków w pięknym kościele Igreja do Porto. Sytuacja biskupów w Brazylii jest dość trudna, ponieważ na ogół we wszystkich diecezjach odczuwa się bardzo dotkliwie brak kleru, szczególnie rodzimego, świeckiego. Wskutek tego biskupi w pracy duszpasterkiej na parafiach wyręczać się muszą duchowieństwem zakonnym, przeważnie europejskiego pochodzenia.

Do Rio Grande, portowego miasta nad Atlantykiem, jest już niedaleko z Pelotas, zaledwie dwie godziny jazdy koleją. W krótkiej tej podróży towarzyszyło nam dość liczne grono rodaków w specjalnym wagonie, oddanym do naszej dyspo-

zycji przez władze kolejowe stanu. Na dworcu w Rio Grande witały nas w manifestacyjny sposób miejscowe autoridades, duchowieństwo i bardzo licznie zebrana kolonia polska. Szczególną radość sprawił nam widok polskich dzieci z tutejszej polskiej szkoły, ustawionych w karnym szeregu na peronie dworca w liczbie około 60 i powiewających chorągiewkami o polskich barwach narodowych.

Zamieszkałem w klasztorze hiszpańskich Ojców Karmelitów. Sam klasztor jest gmachem nowoczesnym, lecz wtłoczony między stare, stylowe domki w najstarszej części miasta. Z wysokiego tarasu klasztoru rozkoszować się mogłem precudnym widokiem na różno - kolorowe dachy domów, tak blisko przylegających do siebie, że ulic prawie nie widać; na stare, czcigodne baszty, pochodzące z czasów pierwszych konkwistadorów; na lagunę i na szerokie morze. Miasto ma niewątpliwie swoisty, jednolity, bardzo oryginalny charakter, jaki nadali mu przed wiekami zdobywcy tego kraju. Domy są przeważnie parterowe, przyozdobione ciekawymi staroportugalskimi ornamentami z majoliki. Zachowało się także z dawnych czasów kilka wspaniałych pałaców, dobrze utrzymanych. Miasto posiada dwa porty, jeden nad laguną dla mniejszych statków, a drugi nieco oddalony od jego centrum na wybrzeżu morskim dla wielkich okrętów transoceanicznych. Ruch handlowy jest tu wcale poważny; jest tu także du-

żo fabryk, szczególnie włókienniczych, zatrudniających liczne rzesze robotników.

Kolonia polska w Rio Grande już przy powitaniu na dworcu zrobiła na mnie jak najlepsze wrażenie. Pogłębiło się przy bliższym zapoznaniu się z nią na sali i w kościele. Jest ona tutaj znacznie liczniejsza, niż w Pelotas. O ile mogłem stwierdzić, składa się z około 130 rodzin i kilkuset osób samotnych, razem licząc mniej więcej 1 000 dusz. Ogniskiem życia kolonii jest piękny, murowany „Dom Polski“. Tu też na naszą cześć odbyła się uroczysta akademія.

Poziom jej był bardzo wysoki; była dobra muzyka i również doskonale przedstawienie kilka sztuk teatralnych, wykonane przez polskie dzieci w języku polskim i portugalskim. Dzieci świetnie się spisały. Wygłoszono także naturalnie liczne przemówienia, na które minister i ja odpowiedzieliśmy. Oprócz rodaków brali w akademii udział także przedstawiciele władz i duchowieństwa miejscowego. Nastrój był bardzo wzniosły, a przy tym serdeczny.

W tej samej sali w następnym dniu odbyła się bardzo miła uroczystość szkolna, a mianowicie promocja dzieci z okazji zakończenia roku szkolnego. Szkoła polska cieszy się wielkim uznaniem, można to wywnioskować stąd, że nawet niektórzy brazylijscy rodzice powierzają jej swoje dzieci; rozumie się, że nauka odbywa się przeważnie po polsku. Nauczyciel, profesor Koch, ma wysokie

kwalifikacje pedagogiczne, a co najważniejsze, pracuje z nadzwyczajnym poświęceniem nad powierzoną sobie działością, znajdując przy tym wielką pomoc ze strony swej dzielnej żony.

Szkołę, podobnie jak i „Dom Polski“, utrzymuje Polskie Towarzystwo Białego Orła, w którym skupia się większa część kolonii. I trzeba z uznaniem stwierdzić, że dba ono o wysoki poziom szkoły, przede wszystkim przez zapewnienie jej i nauczycielowi odpowiednich warunków materialnych. Prezesem Towarzystwa jest p. Figas, człowiek dużej energii i inicjatywy, który dzięki tym właśnie przymiotom wybił się z prostego robotnika na bardzo poważanego majstra w wielkim przedsiębiorstwie okrętowym, ciesząc się wysokim szacunkiem nie tylko wśród rodaków, lecz także i w społeczeństwie brazylijskim.

To samo powiedzieć można o innym tutejszym działaczu, profesorze Czernym. Był on niegdyś moim parafianinem w Katowicach, pracując wówczas jako urzędnik w jednym z banków. Obecnie jest profesorem języka łacińskiego i historii w państwowym gimnazjum w Rio Grande bierze wybitny udział w życiu kolonii. Posiadając duże zdolności muzyczne, troszczy się on wielce o podniesienie w kolonii polskiego śpiewu i polskiej muzyki.

Nic dziwnego, że posiadając tak dzielnych przywódców, kolonia polska w Rio Grande jest bardzo

ruchliwa, a przy tym, jak rzadko w większych miastach, bardzo zgodna.

Nie tak dobrze przedstawia się sprawa opieki duszpasterskiej w tej kolonii, ponieważ nie ma tu stałego polskiego duszpasterza. Tylko dwa razy do roku dojeżdża tu z innej parafii polski ksiądz salezjanin, aby dać rodakom sposobność przynajmniej do spowiedzi św. w polskim języku. Wskutek tego, jak sam mogłem zauważyć i jak zresztą słyszałem od innych, — wiara św. wśród rodaków już nieco tu osłabła. Odczuwają to widocznie oni sami, gdyż gorąco mnie prosili, abym postarał się o utworzenie w Rio Grande stałej polskiej placówki duszpasterskiej. Przyrzekłem im, że zwrócę się w tej sprawie do odpowiednich czynników. Stała placówka duszpasterska jest tu niewątpliwie potrzebna, i mogłaby się utrzymać, tym więcej, że mogłaby objąć działalnością także kolonię polską w niezbyt odległym Pelotes, gdzie również brak polskiego księdza.

Ponieważ mój pobyt w Rio Grande przypadł na dzień powszedni, udział rodaków w dwóch nabożeństwach, jakie odprawiłem dla nich w kościele Księży Salezjanów, nie był zbyt liczny. Ogół bowiem rodaków, tu osiadłych, należy do klasy robotniczej. Stawili się więc tylko ci, którzy wolni byli od pracy, przeważnie starsi i kobiety, choć i z nich dużo musi również pracować w fabrykach, aby móc utrzymać rodzinę.

Zarobki bowiem nie są tu wysokie; wykwalifikowany robotnik zarabia dziennie mniej więcej 12 milreisów — t. j. około 5 złotych, niewykwalifikowany zaś znacznie mniej. Artykuły spożywcze są tu na szczęście bardzo tanie, natomiast mieszkania względnie drogie. Klimat jest zdrowy. Na ogół rodacy zadowoleni są ze swego losu.

Jak wszędzie w Brazylii, tak też i w Rio Grande, władze miejscowe odnosiły się do nas bardzo przychylnie. Prefekt wydał nawet na cześć naszą bankiet, który odbył się w nader miłym nastroju.

Zwiedziliśmy także dwie olbrzymie, nowoczesnie urządzone fabryki tekstylne, w których pracuje dużo naszych rodaków. Jedna z nich należy do niemieckiego, druga do włoskiego towarzystwa akcyjnego. Polakom daleko jeszcze, niestety do takiej potęgi gospodarczej, jaką stworzyły sobie w Brazylii emigracje niemiecka i włoska. Na zwiedzenie zasługiwał także szpital miejski, pod nazwą „Casa Santa“ — Dom święty — do którego nas zaprowadzono. Wspaniały to zakład i wzorowo, można nawet powiedzieć zbyt kownie, urządzone. Ubogich przyjmuje się tu całkiem bezpłatnie. Pielęgniarkami są siostry zakonne, przeważnie niemieckiego pochodzenia.

Podczas pobytu naszego w Rio Grande panowały tu wielkie upały. Dlatego też skwapliwie korzystaliśmy z wolnych chwil, by ochłodzić się i odświeżyć choćby krótką kąpielą morską. Do przepięknej szerokiej plaży jest wprawdzie dość daleko,

kilka kilometrów od centrum miasta, ale zato woda morska jest tu czyściutka. Zanurzenie się choćby na kilka tylko chwil w falach oceanu sprawiało nam tym większą rozkosz, że w głębi kraju, gdzieś-my dotąd przebywali, bardzo rzadko trafiała się nam sposobność do kąpieli.

Plaża, jedna z najwspanialszych, jakie kiedykolwiek widziałem, była jeszcze pusta, gdyż właściwy sezon kąpielowy miał być otwarty dopiero w następną niedzielę. Jak mi opowiadał proboszcz z Rio Grande, otwarcie sezonu odbywa się tu bardzo uroczyście, z odpowiednimi, bardzo pięknymi ceremoniami religijnymi. Bardzo chwalebny to zwyczaj. Wszak morze, nie mówiąc już o innych cudownych jego siłach, jest jednym z najpotężniejszych i najskuteczniejszych źródeł zdrowia i odświeżenia sił, jakie dobry Bóg stworzył dla człowieka.

Z górą całe cztery tygodnie przepędziłem w stanie Rio Grande do Sul. Przemierzyłem olbrzymie jego przestrzenie we wszystkich kierunkach, od zachodu, gdzie wielka rzeka Urugay oddziela Brazylię od Argentyny, aż do wybrzeża Atlantyku na wschodzie; od północy, gdzie styka się on ze stanem Santa Catharina, aż na południe, gdzie graniczy z państwem Urugwaju. Wszędzie spotykałem rodaków naszych, bądź to skupionych w wielkich zwartych osiedlach wśród borów i lasów, bądź to rozproszonych w mniejszych grupach w miastach i miasteczkach. Ogólną ich liczbę trudno

dokładnie określić, w każdym razie jest ona bardzo poważną, według niektórych, znających tutejsze stosunki, sięga może 100.000 dusz. Przytym, jak mogłem sam zauważyć, nasze wychodztwo w tym stanie wykazuje dużą siłę ekspansywną. Z głównych swych osiedli, jak Guarany, Jiuhy, Erechim, Mariana Pimentel i Sao Feliciano powoli, ale stale promieniują w coraz dalsze okolice, tworząc nowe kolonie i zdobywając placówki przemysłowe i handlowe, szczególnie w małych, ale szybko rozwijających się miastach w interiorze. Sprzyjają temu warunki, jakie istnieją w tym wielkim stanie, nie wiele mniejszym niż Polska. Kraj jest jeszcze mało zaludniony, ziemia na ogół urodzajna, może urodzajniejsza niż w Paranie, klimat zdrowy, stosunki komunikacyjne nie najgorsze — podróż swoją przez cały stan mogłem odbyć samochodem i koleją. Stosunek władz stanowych i społeczeństwa do naszego wychodztwa jest przychylny. Wobec tak pomyślnych warunków przypuszczać należy, że nasze wychodztwo w tym stanie nie tylko zdoła się utrzymać, ale coraz większą będzie w nim odgrywało rolę. Zdając sobie z tego sprawę, więcej niż dotąd powinniśmy w kraju interesować się tym odcinkiem naszej emigracji, należącym do stanu Rio Grande do Sul, a nie skupiać całej naszej uwagi li tylko na wychodztwo nasze w stanie Parana. Jest to tym więcej pożądanym, że jak już wspomniałem, istnieją duże możliwości nawiązania z tym stanem

także poważnych stosunków handlowych. Rio de Janeiro, stolica Brazylii, gdzie znajduje się nasze poselstwo, a nawet Kurytyba, gdzie rezyduje polski konsul generalny i gdzie mają swoją siedzibę także centralne organizacje naszego wychodztwa, leżą zbyt daleko od stanu Rio Grande do Sul, by można stamtąd skutecznie wpływać na kształtowanie się stosunków wśród naszego tu osiadłego, a dość licznego wychodztwa.

Wobec tego byłoby bardzo pożądanym, aby w Porto Alegre utworzona została osobna placówka konsularna i by centralne organizacje wychodztwa naszego, jak „Oświata“, założyły tu również swoje sekretariaty. Dzielne wychodztwo nasze w stanie Rio Grande do Sul zasługuje niewątpliwie na najzyczliwszą opiekę i na najgorliwsze poparcie w swych wysiłkach ku wzmocnieniu swej sytuacji tak materialnej jak kulturalnej, i ku rozszerzeniu swego stanu posiadania i swoich wpływów społecznych na cały stan Rio Grande do Sul.

13. *Z Rio Grande do Kurytyby*

Na północy stan Rio Grande do Sul styka się ze stanem Santa Catharina. Góruje tu liczba, siłą gospodarczą oraz wpływami społecznymi i politycznymi wychodźstwo niemieckie, a to w takim stopniu, że stan ten ma prawie całkowicie charakter niemiecki. Wszelako i nasi rodacy zdołali stworzyć tu kilka kolonii, dobrze się rozwijających. Jest ich tu razem blisko 20.000. Niestety, za wyjątkiem jednej kolonii, położonej blisko granicy stanu Parana, nie mogłem ich odwiedzić. Czas, który mi jeszcze pozostał, wypadało poświęcić wizytacji najważniejszego odcinka naszego wychodźstwa w Brazylii, który znajduje się w stanie Parana.

Wybraliśmy się tam z Rio Grande późnym wieczorem dnia 14 grudnia drogą morską. Podróż trwała dość długo i dopiero 18 grudnia dojechaliśmy do portu Paranagua, położonego już w stanie Parana. Ale zato po nie małych trudach naszej podróży przez interior, przez te kilka dni, spędzonych na morzu mogliśmy nareszcie należycie odpocząć i nabrać świeżych sił do dalszej pracy. Statek nasz „Itassuce“, należący do jednej z linii brazylijskich, utrzymujących komunikację

między licznymi portami nad wybrzeżem tego olbrzymiego państwa, nie był duży, lecz dobrze urządzone, wygodny i czysty. Tylko kuchnia, muszę to wyznać, była marna, nawet jak na mój żołądek, który nie jest wcale wybredny. Pogoda nie była szczególnie, niebo przeważnie zachmurzone, często padał deszcz, morze czasami było dość mocno wzburzone. Odczuwaliśmy to szczególnie podczas nocy, bo przy silnie kołyszającym się statku nie można było porządnie się przespać. Mimo to, ani towarzysze moi — minister Grabowski i X. dziekan Wróbel — ani ja nie przechodziliśmy morskiej choroby. Przeciwnie, czuliśmy się znakomicie, mogąc po długich tygodniach nieprzerwanej, denerwującej pracy oddać się „dolce far niente” — słodkiej bezczynności — oddychać przytem świeżym powietrzem morskim, i rozkoszować się wciąż zmieniającym się, ciekawym widokiem na niespokojne fale morskie, na liczne malownicze wyspy i wysepki, wystające z głębi oceanu i na romantyczne, skaliste wybrzeże kontynentu, wzdłuż którego nasz statek się posuwał.

Mogliśmy także odwiedzić kilka portów, w których statek nasz się zatrzymał celem wyładowania i załadowania towarów.

Pierwszy taki postój wypadł w J m b i t u b a. Przepędziliśmy tu prawie cały dzień. Mimo że śpieszyło się nam do Kurytyby, nie żalowaliśmy tego, gdyż port jest ślicznie położony w wąskiej

zatoce otoczony wzgórzami, pokrytymi bujną egzotyczną roślinnością. Zauważyliśmy tu całe stado pingwinów i kondorów. Port jest jeszcze mały, ale szybko się rozwija, ponieważ w okolicy poczyną tworzyć się wielki przemysł; otwarto tu kopalnie węgla, kamieniołomy oraz fabrykę ceramiczną.

Nie mniej piękny jest port *J t a j u h y*, znacznie większy i ruchliwszy od *Imbituba*. Jest to główny port stanu *S a n t a C a t h a r i n a* i, jak cały ten stan, o czym już wspomnieliśmy, ma charakter niemiecki. Gdybyśmy o tym jeszcze nie wiedzieli, moglibyśmy się wnet przekonać przy wjeździe do portu. Bo kiedy mały nasz statek z pełnego morza począł się powoli kierować do zatoki, nad którą port leży, usłyszeliśmy melodie patriotycznych pieśni niemieckich, dochodzące do nas z przepelnionych ludźmi łodzi. Zagadkę tego patriotycznego ich nastroju rozwiązał nam przy wejściu do portu widok wspaniałego niemieckiego krążownika „*Karlsruhe*“. Dowodzi to, jak Niemcy dbają o utrzymanie i wzmocnienie łączności ze swoim wychodźstwem; w tym bowiem właśnie celu wielki ich wojenny okręt zawitał do tego portu, z którego już niedaleko jest do *Blumenau*, stolicy stanu *Santa Catharina*.

Nie mogliśmy, niestety, dla braku czasu zwiedzić tego głównego ośrodka niemieckiego w Brazylii, choć bardzo nam na tym zależało, by przy-

najmniej pobieżnie przyjrzeć się życiu, jakie tu rozwinęło niemieckie wychodźstwo.

Ale i sam port Itajuhy dał nam pewne pojęcie o kolonizacyjnej sile niemieckiej. Wszędzie, — tak w urządzeniach portowych, jak również w budowie miasta, — widać solidność, porządek i systematyczność. Wszędzie też zauważyliśmy dążność do nadania miastu wybitnej cechy niemieckości. Domy budowane są wyłącznie prawie w stylu niemieckim. W bogatych składach i sklepach mówi się wszędzie po niemiecku. Nawet kuchnia w restauracjach jest niemiecka.

Okolice portu są przepiękne. Droga z miasta do pobliskiej miejscowości kąpielowej Cabecudas, wijąca się nad zatoką u podnóża skalistych wzgórz, jest nie mniej cudna, jak słynne drogi na Riwierze włoskiej lub francuskiej.

Inny znów charakter ma port Sao Francisco na wyspie tej samej nazwy, oddzielonej od kontynentu wąskim tylko kanałem. Zatrzymaliśmy się tu przez całą noc, wskutek czego na dobrze zakotwiczonym statku mogliśmy nareszcie dobrze się wyspać, a nazajutrz rano z X. dziekanem Wróblem odprawić Mszę św. w klasztorze niemieckich OO. Franciszkanów, którym powierzono duszpaństwo na tej wyspie. I tu również jest sporo Niemców, przeważa jednak element portugalski. Taki też jest charakter miasta.

W dniu 18 grudnia dojechalśmy wreszcie do celu naszej morskiej podróży, czyli do Parana-

g u a, głównego, a właściwie jedyne go portu stanu Parana. Stan ten bowiem, mimo ogromnej przestrzeni, jaką obejmuje w głębi Brazylii, posiada niewielkie tylko wybrzeże. Niegdyś widocznie Paranagua była bardzo bogatym i ruchliwym portem. Świadczą dziś o tym stare piękne pałace, kościoły i klasztory. Obecnie miasto jest jakby zmarłe, jest w nim coś, co przypomina Wenecję lub Brugge w Belgii. Są tu, podobnie jak w Wenecji i Brugge — kanały, przecinające miasto w różnych kierunkach, a barki, posuwające się po nich między domami, przypominają weneckie gondole. Silnym głosem przemawia tu przeszłość, głosząc sławę konkwistadorów, którzy to miasto niegdyś stworzyli. Nowe życie budzi się dopiero powoli, ale niewątpliwie rozwinie się z czasem potężnie, ponieważ szczególnie wskutek pracy naszych wychodźców stan Parana zdobywa coraz większe znaczenie gospodarcze, co wyjdzie także na korzyść portu jego nad Atlantykiem. Na razie jednak ruch w porcie jest słaby, brak też w nim jeszcze nowoczesnych urządzeń portowych. Nawet tak mały statek jak nasz „Itassuce“, nie mógł dobić do samego brzegu. Trzeba było dopiero użyć pomocy łodzi motorowej, by przez brudne, ale romantyczne kanały dostać się na ląd.

Z Paranagua do Kurytyby, stolicy stanu Parana, prowadzi linia kolejowa, która, jak nam opowiadano, jest po prostu cudem sztuki inżynierskiej, — pono jedną z najpiękniejszych i najciekawszych,

jakie istnieją na świecie. Nie mogliśmy sami tego stwierdzić, bo zamiast wybrać się, jak pragnęliśmy, koleją, wypadało nam w podróży do Kurytyby korzystać z samochodów, którymi na nasze powitanie dopiero późnym wieczorem przyjechali z Kurytyby konsul dr Kulikowski, prof. dr Gajda, mój miły towarzysz z podróży przez Rio Grande do Sul, i X. wizytator Bronny, przełożony polskich Księży Misjonarzy, pracujących jako duszpasterze w licznych parafiach naszego wychodźstwa, szczególnie w stanie Parana. Ale i jazda samochodem z Paranagua do odległej od portu około 120 km Kurytyby należy do najciekawszych przeżyć, jakie miałem w Brazylii. Niestety, pogoda nam nie sprzyjała, gdyśmy nazajutrz wybrali się w tę drogę. Niebo było zachmurzone, padał deszcz. Pierwsza część drogi aż do miasteczka *M o r r e t e s* była wprost rozpaczliwa prowadząc nas przez trudne szczególnie podczas deszczów do przebrnięcia bagniska, ciągnące się szerokim pasmem od morza prawie aż do samego podnóża gór.

Na bagniskach tych rozrosła się roślinność tak bujna, tak gęsta, tak egzotyczna, tak fantastyczna, jakiej dotąd nigdy i nigdzie nie widziałem. Było to jedno olbrzymie kłębowisko drzew i krzewów o najdziwniejszych kształtach, o przedziwnych barwach liści i kwieciu; szczególnie zwróciły uwagę moją drzewa z dużymi fioletowymi lub śnieżno-białymi kwiatami, palmy najróżnorod-

niejszych gatunków, olbrzymie paprocie i chińskie róże. Wśród tej istnej dżungli tu i owdzie dostrzegaliśmy biedne rancha, zamieszkałe przez kolorowych ludzi. Powoli, już blisko Morretes, błota przemieniają się w ziemię, nadającą się już na uprawę. I tu przyroda jest jakby rozrzutną. To kraj bananów; tworzą tu one gaje tak gęste, że trudno przedrzeć się przez nie. I zdaje się, jakoby nie istniały tu pory roku, albo raczej jakoby wszystkie pory roku równocześnie się tu spotykały. Tu widać banany, rozwijające dopiero piękne fioletowe kwiecie, tam zaś inne, które dojrzewają, a tam znowu inne, z których już zrywa się ciężkie kiście tego smacznego owocu. Podobnie i kukurydza na jednym miejscu zaledwie poczyną wypuszczać pierwsze listki, a tuż obok już dojrzewa.

Od Morretes prowadzi już bita droga aż do samej Kurytyby. Krajobraz staje się jeszcze piękniejszym. Śmiałyimi serpentynami, przy ostrych skrętach, często nad przepaściami, wspinamy się w górę. Strome zbocza gór pokryte są dziewiczym lasem o nieprawdopodobnej bujności i rozmaitości roślin. Niestety, pada deszcz, jedziemy przez chmury i mgły; stąd nie ma dalekich widoków, które powinny być precudne, szczególnie na pobliskie morze. Na przełęczy, na wysokości 900 metrów, zmienia się nagle krajobraz; zmienia się także pogoda, deszcz przestaje padać. Słońce znów świeci; szeroko otwiera się przed nami kraj, ale ma już inny charakter; roślinność nie

jest tak bujna, ani tak egzotyczna, znikły banany, znikły palmy, ukazują się smukłe, ponure piniorzy, lasy przechodzą w zielone, faliste „campo“, widać wszędzie stada rasowego bydła, a przy drodze, dobrze utrzymanej tu i owdzie ładne domy kolonistów.

O kilkanaście kilometrów przed Kurytybą wita nas duża grupa rodaków, która licznymi samochodami wyjechała na nasze powitanie. Nie zatrzymujemy się długo. Jeszcze krótka godzina jazdy — i jesteśmy w stolicy stanu Parana, a równocześnie stolicy Polonii brazylijskiej.

14. *Kurytyba*

Kurytyba (po brazylijsku Curityba) uchodzi nie bez słuszności za stolicę Polonii brazylijskiej. Znajduje się tu bowiem siedziba polskiego konsulatu generalnego, który swoją działalnością obejmuje stany Parana, Santa Catharina, Rio Grande do Sul i Sao Paulo, to jest całą południową Brazylię, gdzie się znajduje prawie całe nasze wychodztwo. Jest tu także siedziba Wizytatora Księży Misjonarzy, któremu podlega jako przełożonemu większa część polskich duszpasterzy, należących do tego samego Zgromadzenia, a pracujących w licznych parafiach wyżej wymienionych stanów. Mają tu również swoje siedziby przełożone prowincjonalne Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia (Szarytek) i Zgromadzenia św. Rodziny, które zajmują się prowadzeniem szkół i dziełami miłosierdzia wśród naszego wychodztwa. Tu też znajdują się centrale trzech głównych organizacji polskich w Brazylii: „Oświaty“, „Centralnego Związku“ i „Junaka“, oraz redakcje kilku pism polskich. Poza tym w bliższej lub dalszej okolicy Kurytyby znajdują się bardzo liczne i to najstarsze kolonie naszego wychodztwa. Kurytyba stanowi dla nich naturalne centrum, w którym mogą załatwić różne swoje sprawy.

Myliłby się atoli, kto by wobec tego przypuszczał, że Kurytyba jest miastem polskim, albo że przynajmniej wychodźstwo odgrywa tu wielką i poważną rolę, nadając mu przez swoją działalność silny akcent polski. Tak, niestety, nie jest. Nawet liczebnie rodacy nasi nie reprezentują tu wielkiej siły. Na ogólną liczbę mieszkańców miasta, wynoszącą przeszło 80.000, nie stanowią oni nawet 10 procent. A społeczne ich znaczenie przedstawia się jeszcze mniej pomyślnie. O ile mi wiadomo, Polacy nie mają tu żadnego przedstawiciela w zarządzie miasta, ani też w rządzie i w parlamencie stanu, który w Kurytybie, jako stolicy stanu, ma swą siedzibę. Także wśród wyższych urzędników, czy to stanowych czy miejskich, rzadko spotkać można Polaka. Sytuacja ta jest tym przykrzejsza, jeżeli się zważy, że w całym stanie Polacy stanowią więcej niż 20 proc. ludności. Trzeba otwarcie stwierdzić, że nasi rodacy jeszcze nie zdołali zdobyć tu takiego wpływu społecznego, jaki w stanie Parana i jego stolicy winni posiadać z racji swej liczebności, swej pracy i wartości moralnej.

Nie potrafili także wybitniej się zaznaczyć w życiu gospodarczym ruchliwego, szybko rozwijającego się miasta. Udział ich w handlu i przemyśle i w tak zwanych wolnych zawodach jest mniej niż skromny. Pod tym względem górują nad nimi inne narodowości, jak Włosi, Niemcy, a nawet Syryjczycy. Ci ostatni wyróżniają się szczegól-

nymi zdolnościami kupieckimi i dużą przedsiębiorczością. To też bogatych i wpływowych Polaków w Kurytybie na ogół nie ma. W przeważnej większości rodacy nasi należą do warstwy rzemieślniczej i robotniczej. Do właściwej inteligencji należy — poza sztabem urzędników Konsulatu Generalnego — tylko mała garstka.

Jakże wytłumaczyć sobie tę niezbyt pocieszającą sytuację społeczną i gospodarczą polskiej kolonii? Przecież należałoby się spodziewać, że właśnie tu w stolicy Polonii Brazylijskiej, w stolicy stanu najbardziej polskiego, wychodztwo nasze powinno było zdobyć sobie silniejszą pozycję i większe wpływy, tym więcej, że już nie jest tak młode, bo znajduje się tu już co najmniej 40 lat. A jest to — jak na amerykańskie stosunki, jak na miasto o kolonialnym jeszcze charakterze, a przy tym szybko się rozwijające — wystarczający okres czasu, by dorobić się majątku i wpływów. Niewątpliwie różne na ten stan rzeczy składają się przyczyny. Olbrzymią większość naszego wychodztwa, które przybyło do Brazylii, stanowiła ludność rolnicza, chłopci, nie umiejący ani czytać, ani pisać, natomiast mało było między nimi rzemieślników, a jeszcze mniej inteligencji. Chłopci z małymi wyjątkami nie pozostali w Kurytybie, lecz poszli w lasy i bory, ci zaś, co pozostali, stali się robotnikami, którym, szczególnie jeżeli byli analfabetami, — trudno było wznieść się na wyższy szczebel społeczny.

Rzemieślnicy na ogół stworzyli tu sobie dobre warunki bytu, ale było ich za mało. Natomiast inteligencja, która przybyła z kraju, przeważnie nie potrafiła się dostosować do całkiem odmiennych warunków życia brazylijskiego i wskutek tego nie zdołała się wybić na poważniejsze stanowiska. Dodatkowo wzmocnienie żywiołu polskiego w Kurytybie, a podobnie i w innych miastach, mogłoby nastąpić przez dopływ z szeregów młodszych generacji wychodźstwa, już oswojonych z warunkami życia społecznego w Brazylii.

Niestety, dopływ ten był i jest dotąd słaby. Wychodźstwo nasze jeszcze nie docenia ważności osiedlenia się w miastach, celem zapewnienia sobie lepszej przyszłości i zdobycia odpowiednich wpływów w kraju, który stał się nową dla niego ojczyzną. Należy przy tym zaznaczyć, że młodzież wychodźcza wskutek niewysokiego na ogół poziomu szkół na koloniach nie jest także należycie przygotowana do tego zadania. Nie dziw wobec tego, że tak w Kurytybie jak w innych miastach wychodźstwo polskie liczebnie, gospodarczo, ani też społecznie nie posiada tej siły ani tych wpływów, jakie już posiadać powinno.

Do tego niekorzystnego stanu rzeczy przyczynił się niewątpliwie także brak solidarności i zgody, jaki — zdaje się — od samego początku niepokoi kolonię polską w Kurytybie. Organizacje i gazety polskie kłócą się między sobą, wciągając w te kłótnie także polski konsulat i polskie duchowień-

stwo, a nawet koła brazylijskie. W ostatnich latach spory nabrały szczególnego natężenia, wytwarzając w społeczeństwie polskim w Kurytybie, bardzo duszną atmosferę. W takiej sytuacji misja moja w Kurytybie, — jak w ogóle w całym stanie Parana, — gdyż nastroje stolicy z natury rzeczy udzielają się w mniejszym lub większym stopniu placówkom w interiorze — nie była łatwa i nie odbyła się też faktycznie bez przykrych incydentów. Choć z góry się zastrzegłem, że nie mam zamiaru, ani nie czuję się powołanym, by zająć się tymi sporami, jednak zainteresowane strony próbowały wpływać na mnie, przedstawiając mi każda swój punkt widzenia, swe żale i pretensje. Trudno było, na podstawie sprzecznych informacji wyrobić sobie jasny, obiektywny pogląd na właściwe tło tych sporów. Nie miałem także czasu, by stwierdzić, czy i o ile zarzuty, jakie czynią jedni drugim, są uzasadnione. Poza tym, nie należało to do mojej misji.

Misja moja była misją pokoju, misją religijną. Stosownie do tego starałem się przede wszystkim o to by te czynniki, od których zgodnej współpracy głównie zależy zgoda w całym wychodźstwie, zbliżyły się do siebie, wypowiedziały otwarcie i szczerze swoje poglądy na poszczególne spory i sprawy i próbowały je uzgodnić. Mam wrażenie, że ta próba się udała.

Poza tym odwiedziłem wszystkie organizacje, które mnie o to prosiły, tak katolickie, jak neu-

tralne, a nawet takie, które niezbyt przychylnie odnoszą się do Kościoła. Wszędzie gorąco zachęcałem do zgody i solidarnej współpracy w imię wspólnej ojczyzny, wspólnej wiary świętej i wspólnej Matki naszej, Królowej Korony Polskiej. Nie wszędzie było to zadaniem łatwym i miłym, bo w niektórych kołach wyczuwało się nastroje wrogie, niekatolickie, nastawienie raczej do walki, niż do zgody, padły nawet słowa przykre, zarzuty nieusprawiedliwione, które trzeba było sprostować.

Nader wzniosłe chwile pełne radości i pociechy przeżyłem natomiast, gdy mogłem około siebie skupić prawie całą Polonię w Kurytybie i przemówić do niej. Taką chwilę przede wszystkim przeżyłem w niedzielę, dnia 23 grudnia, przy uroczystej sumie pontyfikalnej, którą odprawiłem w polskim kościele. Duży, piękny, murowany kościół, zbudowany przeszło 30 lat temu, był przepełniony. Była tu cała Polonia: minister polski i generalny konsul ze sztabem urzędników, marszałek dr Szymański, słynny okulista, który przejściowo tu bawił, całe polskie duchowieństwo, tak księża ze Zgromadzenia Słowa Bożego, którzy są duszpasterzami Polonii w Kurytybie, jak księża ze Zgromadzenia Misjonarzy, oraz proboszcz katedry, który również jest Polakiem, polskie siostry i lud polski. Tu przed ołtarzem Chrystusa, wobec polskiego biskupa, który przybył do nich z Częstochowskiej Jasnej Góry, z tego duchowego serca Polski,

odczuwali wszyscy, że mimo sporów, jakie ich niepokoją, wszyscy jednak stanowią jedną rodzinę, polską i katolicką, wszyscy mają do spełnienia jedno i to samo wielkie posłannictwo na ziemi brazylijskiej. O tym posłannictwie mówiłem do nich gorąco ich zachęcając, żeby świadomi tej wzniosłej misji swojej wzniesli się ponad drobne w gruncie rzeczy sprawy, które ich dzielą, i w solidarnej współpracy, w miłości braterskiej łączyli się w sprawach naprawdę istotnych, które każdemu Polakowi powinny być święte, urzeczywistniając w ten sposób pełne głębokiej mądrości hasło św. Augustyna: „In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus vero charitas“ — „w sprawach istotnych niech będzie między nami jedność, w sprawach drugorzędnych niech wszyscy mają swobodę, we wszystkich zaś sprawach niech kieruje nami miłość“.

Wytworzył się przecudny nastrój w kościele, który pogłębiły jeszcze przepiękne śpiewy liturgiczne, wykonane po mistrzowsku przez polski chór kościelny. Wielka radość ogarnęła moje serce, gdyż wzniosłe to nabożeństwo, łączące całą kolonię w jedną rodzinę przed ołtarzem Chrystusa Pana, było dla mnie dowodem, że żyją w niej wieczne siły Chrystusowe, które mocniejsze są niż owe wrogie siły ciemności, które wniosły w nią niezgodę.

To samo wrażenie odniosłem podczas drugiego niemniej uroczystego nabożeństwa, które odpra-

wielem w Kurytybie w święto Trzech Króli z okazji Sejniku „Oświaty“, wielkiej polskiej organizacji, w której zjednoczyły się wszystkie katolickie zrzeszenia, zakłady i szkoły całego wychodźstwa naszego w Brazylii. Nabożeństwo to odbyło się w nowym, przepięknym kościele Księża Misjonarzy, wznoszącym się na wzgórzu ponad płaskimi dachami szeroko rozbudowanego miasta. I przy tej okazji kościół był przepełniony rzeszami dzielnego naszego wychodźstwa z miasta i całej Brazylii, bo w nabożeństwie brali udział także delegaci towarzystw z bliska i z daleka. Las sztandarów, wyrastający nad ich głowami, świadczył o poważnej sile, jaką „Oświata“ zdołała już skupić w swoich szeregach. Nawiązując do wzniosłej uroczystości Trzech Króli, którąśmy właśnie obchodzili, wyraziłem gorące życzenie, by organizacja, którą tak trafnie nazwali „Oświata“, stała się dla wychodźstwa jakby ową gwiazdą, która mędrców prowadziła do Chrystusa.

„Oświata“ jest niewątpliwie najsilniejszym zrzeszeniem wychodźstwa w Brazylii. Stoi ona mocno na gruncie wiary i polskości i wykazuje dużą ruchliwość i żywotność pod kierownictwem dzielnego prezesa p. Faucza i przy gorliwej współpracy Księża Misjonarzy. „Oświata“ nie uchyla się od współpracy z innymi polskimi organizacjami na wychodźstwie, a szczególnie ze Światowym Związkiem Polaków z Zagranicy. Wprawdzie wskutek przykrych wypadków chwilowo zawiesiła tę

współpracę, ale gotowa jest zawsze do podjęcia jej na nowo, o ile ta współpraca odbędzie się na warunkach, zgodnych z jej katolickimi zasadami i z katolickim charakterem olbrzymiej większości wychodźstwa, a poza tym o ile będzie uszanowana jej autonomia organizacyjna oraz zapewniony jej odpowiedni do jej siły wpływ. Nie zgodzi się natomiast na to, by pod pozorem konsolidacji wychodźstwa narzucano jej kierunek i ludzi obcych jej duchowi i celom.

To samo mniej więcej stanowisko zajmuje naj-poważniejsza lokalna organizacja polska w Kurytybie „Związek Polski“, liczący zgórą 400 członków. Sprężyste kierowany przez p. Lachowicza, przemysłowca o dużej inicjatywie i gorącym temperamencie, Związek rozwija w Kurytybie bardzo ruchliwą działalność. Posiada wprost wspaniałe gmachy związkowy z olbrzymią salą koncertową, dużą sceną i kilka mniejszymi salami. Jest to naj-okazalszy Dom Polski w Ameryce Południowej, sala zaś największa w Kurytybie. Związek utrzymuje w Kurytybie także bardzo dobrze prosperującą szkołę o średnim poziomie pod nazwą Kolegium Sienkiewicza. Bardzo dodatnie przedstawia się również praca kulturalno - oświatowa, jaką Związek rozwija wśród swoich członków. Przekonał się o tym na uroczystej akademii, jaką wspólnie z kilku innymi organizacjami, także o charakterze katolickim, urządził w wielkiej sali swego gmachu ku czci ministra Grabowskiego

i mojej. Przemówienie i muzyka, chóry, tańce i występy teatralne stały naprawdę na wysokim poziomie. Z przemówienia, wygłoszonego przez p. Faucza, warto przytoczyć następujący ustęp, gdyż nadzwyczaj trafnie uwydatnia ducha i nastroje, jakie na ogół wszędzie panują wśród naszego wychodźstwa.

„Gdy nasi przodkowie, przed wielu laty opuścili swój kraj rodzinny, nie zabrali ze sobą innych skarbów, jak tylko tę mowę ojczystą, w której tu uczyli nas pacierza, i tę wiarą świętą, której pozostajemy zawsze wierni.

Pozostawili nasi przodkowie Polskę katolicką i taki Jej obraz nam w spuściźnie pozostawili. I dziś naocznie widzimy i przekonujemy się, że Polska jest katolicką, bo Jej dostojnego Arcypasterza gościmy wraz z przedstawicielem Państwa Polskiego.

Witając Waszą Ekscelencję, w imieniu Katolickiej Polonii Brazylijskiej, skupionej pod sztandarem katolickiego Związku Towarzystw „Oświata“, czy to innych Towarzystw i Związków, tworzących Komitet Przyjęcia, podkreślić muszę że, jeżeli my, którzy Polski na własne oczy nie widzieliśmy, bo zrodziła nas Ziemia Świętego Krzyża, jeśli witamy Cię, Ekscelencjo, jako naszego najdroższego rodaka, Biskupa Częstochowy, w słowach polskich, to zawdzięczamy to w ogromnej mierze tej naszej świętej wierze katolickiej, w której troskliwie wychowali nas nasi rodzice.

Nie żadne inne nakazy, lecz przykazanie Boskie nakazało nam na równi z rodzicami czcić naszą mowę ojczystą i zwyczaje naszych przodków.

Jeżeli dzisiaj mamy tu silne organizacje, kościoły, szkoły, towarzystwa, to zasługa w tym niemała, wyznam szczerze, także naszych polskich kapłanów; wszak pierwszym opiekunem pierwszej grupy tułaczy polskich na Ziemi Świętego Krzyża był nie kto inny, jeno kapłan polski, X. Antoni Zieliński. I śmiało mogę powiedzieć, że kolonia polska, choćby rzucona na najdalsze krańce świata, czy w puszcze najgłębsze, jeśli mieć będzie duszpasterza polskiego, tam polskość nie zaginie.

Za tę opiekę duchowną, za te liczne zastępy dobrych kapłanów - rodaków, wyrażamy Polsce katolickiej na Twe ręce, Dostojny Arcypasterzu, najgłębszą wdzięczność i podziękowanie.

Najczcigodniejszy Księżu Biskupie! Panie Ministrze!

Z całego serca zapewniamy Was dziś, w tej uroczystej chwili, że zawsze pozostaniemy wierni naszej św. wierze katolickiej;

zapewniamy Was, że nigdy nie zapomnimy naszego ojczystego języka; w sercach naszych nigdy nie wygasną uczucia miłości ku naszej zamorskiej, starej Ojczyźnie.

Sztandar narodowy Polaka - Katolika zawsze będziemy nieśli wysoko!

Tak nam dopomóż Bóg!

Wznoszę okrzyk:
Niech żyje Polska!
Niech żyje Brazylia!

Niech nam żyją: X. Biskup Kubina! Minister Grabowski!

Czyż nie mamy Bogu dziękować, że tak żywa wiara i tak głęboka na niej oparta miłość do ojczyzny panuje wśród naszego wychodźstwa! Niestety, niektóre czynniki nie liczą się z tym głębokim duchem katolickim naszych emigrantów, ale chcieliby mu narzucić, czy to otwarcie, czy podstępnie, innego ducha. Nie dziw, że wychodźstwo sprzeciwia się im, nie dziw, że z nieufnością odnosi się do współpracy z nimi, że na tym tle powstają spory, utrudniające konsolidację wychodźstwa.

Szczególnie ubolewać należy nad tym, że spory te zostały wniesione także na teren, gdzie powinna panować bezwzględna solidarność całego wychodźstwa, gdzie czynnik religijny powinien odgrywać największą rolę, a mianowicie na teren pracy nad polską młodzieżą, tak w szkolnictwie, jak w organizacjach młodzieżowych.

Podczas pobytu mego w Kurytybie odbył się kurs dokształcający dla polskich nauczycieli.

Chcąc się z nami zetknąć, kierownicy i uczestnicy kursu urządzili w bursie polskiej skromne przyjęcie dla ministra i dla mnie. Niestety, wytworzył się na tym przyjęciu bardzo niemiły nastrój. Bo zamiast mówić przy tej okazji, — jakby należało się spodziewać, — o ważności szkoły pol-

skiej, o wzniosłym a tak trudnym posłannictwie polskiego nauczyciela na wychodźstwie, mówiono, i to w namiętny, wojowniczy, jednostronnie partyjny sposób o istniejących na wychodźstwie sporach; jeden przy tym z mówców, starszy nauczyciel, wyrwał się z ostrymi atakami na duchowieństwo polskie, wychwalając równocześnie pewne wpływowe osobistości, dziś już nie działające na terenie Kurytyby, a znane ze swego wrogiego stanowiska względem Kościoła i religii. A to miało miejsce na przyjęciu dla ministra i biskupa wobec młodych nauczycieli i kandydatów na nauczycieli z okazji kursu dla nauczycieli! Cóż dopiero mogło się dzieć na samym kursie!

Dzięki Bogu, — takie mam wrażenie, — ogół nauczycielstwa świeckiego poglądów tych nie podziela, zdając sobie jasno sprawę z ogromnego znaczenia religii katolickiej dla wychowania młodzieży, jak w ogóle dla wychodźstwa, i z ważności harmonijnej współpracy z polskim duchowieństwem. Ale i te nieliczne jednostki, które działają w przeciwnym kierunku, mogą, szczególnie jeżeli zajmują wpływowe stanowiska i są popierane przez rządowe czynniki polskie, utrudnić tak bardzo pożądaną konsolidację wychodźstwa; trudno bowiem przypuścić, by katolicy — stanowiąc olbrzymią większość wychodźstwa — zgodzili się z ich poglądami i z nimi współpracowali. Najwięcej na tym cierpi polska szkoła na wychodźstwie; bo szkoła tylko wtedy stanie na odpowiednim pozio-

mie i spełni swoje wzniosłe zadanie, jeżeli będzie otoczona solidarną troskliwością i opieką całego wychodźstwa, i jeżeli będzie katolicką, jak katolickim jest wychodźstwo nasze i zresztą także Brazylia.

Nowa konstytucja brazylijska, jak też nowe konstytucje poszczególnych stanów, wchodzące właśnie w życie, bardzo mocno podkreślają wielkie znaczenie czynnika religijnego dla państwa i dla wychowania młodego pokolenia. Tak np. Konstytucja Stanu Parana rozpoczyna się następującą piękną deklaracją:

„My, przedstawiciele ludu parańskiego, zebrani na zgromadzeniu konstytuancy, wzywając opieki Boga dla dobra i szczęścia Parany postanawiamy i ogłaszamy następującą konstytucję...”

Co zaś do religii w szkołach postanawia w art. 116:

„W rządowych zakładach nauczania będzie udzielana nauka religii w ramach art. 153 Konstytucji Federalnej“.

Niemniej ważny niż w pracy nad młodzieżą szkolną jest czynnik religijny w pracy nad dorastającą młodzieżą pozaszkolną. Wspólny interes całego wychodźstwa wymaga, by młodzież ta, urodzona na ziemi brazylijskiej, zachowała wiarę ojców i ducha polskiego. Ten teren pracy społecznej także nie nadaje się na spory i walki, szczególnie na tle religijnym. I na tym terenie powinna istnieć solidarna współpraca wszystkich. Nie-

stety, tak dziś jeszcze nie jest. Wskutek tego i niewątpliwie także dlatego, że wychodźstwo nie docenia jeszcze należycie ogromnej ważności organizacji młodzieży, — ruch organizacyjny wśród niej jest jeszcze słaby. Istnieją wprawdzie w polskich parafiach w Brazylii sodalicje mariańskie młodzieży męskiej i żeńskiej, ale nie wszędzie; oprócz tego nie wszędzie, gdzie istnieją, działają tak, jakby tego należało życzyć sobie. Szkoda, że obok tych organizacji czysto religijnych nie stworzono w Brazylii organizacji katolickiej młodzieży polskiej o więcej świeckim charakterze, na wzór Stowarzyszeń Młodzieży Katolickiej, tak świetnie u nas w starym kraju się rozwijających.

Pewną ruchliwość wykazuje „Junak“. Jest to organizacja niekościelna, silnie poparta przez wpływowe czynniki polskie, przez część nauczycielstwa polskiego i Centralny Związek Polski. Zajmuje się ona głównie sportem, nie zaniedbując przy tym, przynajmniej zasadniczo, pracy nad wyrobieniem młodzieży wychodźczej w duchu polskim. Pod względem religijnym jest neutralna. Były atoli i może jeszcze istnieją dążności skierowania „Junaka“ na tory antyreligijne, wciągania go w spory, jakie niepokoją starsze społeczeństwo, i wrogiego nastawienia go do Kościoła, duchowieństwa i katolickich organizacji. Stałoby się to ze szkodą przede wszystkim dla samego „Junaka“, gdyż mogłoby sparaliżować działalność tej bądź co bądź dla młodzieży polskiej w Brazy-

lii pożytecznej organizacji. Nie można się wobec tego dziwić, że polskie duchowieństwo i katolickie organizacje odnoszą się z dużą rezerwą do „Junaka“, nie zwalczają go jednak zasadniczo, przeciwnie współpracują z nim i popierają go, gdzie to tylko jest możliwe. Z konferencji, jakie czynili najwięcej za wychodztwo odpowiedzialne w mej obecności odbyły także w sprawie „Junaka“, odniosłem wrażenie, że warunki współpracy z tą organizacją ułożą się obecnie pomyślnie.

W Kurytybie „Junak“ zdobył niedawno temu wspaniałe boisko, które na zaproszenie Zarządu poświęciłem, podkreślając przy tym w swoim przemówieniu, że sport jak w ogóle wychowanie fizyczne powinien być środkiem do wzmocnienia ducha, co bez pomocy sił religijnych stać się nie może.

Przy tej okazji byłem niestety zmuszony publicznie zareagować na bardzo znamienne wyurządzenie głównego instruktora „Junaka“, wysłanego z Polski do Brazylii celem wychowania młodzieży wychodźczej. W swej mowie bowiem pozwolił sobie oświadczyć, że należałoby skończyć z frazesem, jakoby wychodztwo polskie i w ogóle naród polski mieli do spełnienia jakieś posłannictwo na świecie. „Junak“ może i powinien się obejść bez tego nedorzecznego hasła. Ten incydent rzuca jaskrawe światło na ideologię, jaką niekóre czyniki chciałyby wprowadzić do „Junaka“ i do in-

nych organizacji, i niewątpliwie także do szkół polskich.

Wspomniałem już, że w Kurytybie znajdują się domy prowincjonalne sióstr polskich ze Zgromadzenia św. Wincentego a Paulo (Siostry Szarytki) i ze Zgromadzenia Rodziny Najsw. Maryi Panny. Odwiedziłem jeden i drugi zakład. Szczególnie wspaniale przedstawia się nowo wybudowany, jeszcze nie całkiem wykończony gmach Sióstr Szarytek. Świadczy on o wielkim rozmachu ich działalności. Prowincja Sióstr Szarytek liczy obecnie 84 siostry, z których prawie połowa urodziła się na wychodźstwie w Brazylii. Tak samo wielka część jeszcze liczniejszych sióstr ze Zgromadzenia Rodziny Najsw. Maryi Panny pochodzi z rodzin polskich wychodźców. Siostry obu Zgromadzeń zajmują się przeważnie wychowaniem młodego pokolenia naszego wychodźstwa. Prowadzą liczne szkoły i internaty w miastach, miasteczkach i na koloniach. Szkoły te cieszą się wielkim uznaniem, nie tylko wśród Polaków, ale także wśród obcych. Świadczy o tym fakt, że również liczne brazylijskie rodziny powierzają im wychowanie swoich dzieci. Wskutek tego szerzą one kulturę polską nie tylko wśród rodaków, ale także w społeczeństwie brazylijskim. Do zadania swego są Siostry na ogół bardzo dobrze przygotowane i spełniają je mimo trudnych warunków doskonale, z podziwu godnym poświęceniem. Możemy być dumni z naszych polskich sióstr w Brazylii i z

ich błogiej działalności dla naszego wychodźstwa, dla Kościoła św. i dla Polski.

Podczas pobytu mego w Kurytybie zamieszkałem w malutkiej, ale miłej rezydencji Przełożonego licznego zastępu polskich Księży Misjonarzy w Brazylii. Jest nim od kilku lat X. Wizytator Bronny, z pochodzenia Ślązak, jak zresztą wielu innych jego konfratrów. Mała ta rezydencja Księży Misjonarzy stanowi obok rezydencji polskiego Konsulatu Generalnego, najważniejszy ośrodek Polonii brazylijskiej. Polski Konsulat atoli powstał i działać zaczął dopiero po wojnie, kiedy Polska zdobyła niepodległość państwową. Księża Misjonarze zaś pracują tu już kilkadziesiąt lat. Przy tym nie tak często zmieniają się jak konsulowie i inni urzędnicy konsulatu. Znają więc doskonale teren swej pracy i nastroje wychodźstwa.

Wielkie, wprost nieocenione są ich zasługi dla wychodźstwa i Polski, nie mówiąc już o ich zasługach dla Kościoła świętego. Nie ulega żadnej wątpliwości, że do tego „cudu wiary i polskości“, jakim jest Polonia brazylijska, głównie oni się przyczynili. Oni to szli za wychodźcami w lasy, w bory i na stepy, ratując ich dla wiary i polskości; oni zorganizowali większą część polskich parafii i prowadzą je; oni wybudowali liczne kościoły, szkoły, domy polskie i zakłady sióstr; oni założyli liczne polskie organizacje katolickie. Oczywiście wielkich tych dzieł dokonali przy pomocy naszego

dzielnego ludu, ich jednak zasługą zostanie, że potrafili gromadzić go około siebie i pobudzać do ofiarnego czynu, do rozwinięcia tego pięknego życia katolickiego i polskiego, jakim promieniuje Polonia brazylijska. Któż potrafi wyliczyć przeszkody i trudności, które musieli przezwyciężyć, ofiary, które musieli ponieść, walki, które musieli stoczyć, rozczarowania, które musieli przeżyć w tej ciężkiej, misjonarskiej i pionierskiej pracy! Ale wszystko przetrwali i przezwyciężyli, pomni na słowa największego z misjonarzy, św. Pawła Apostoła: „Omnia possum in eo, qui me confortat” — „Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia” (Fil. 4, 13).

I dziś jeszcze mają wielkie trudności, ale z zadowoleniem i słuszną dumą mogą powiedzieć, że sprawie duszpasterskiej wśród wychodźstwa, a zarazem także sprawie polskiej w Brazylii dobrze się przysłużyli, że jedną i drugą ugruntowali na mocnych podstawach i stworzyli dla nich pomyślnego rozwoju już prawie normalne warunki.

Wobec coraz dalej rozszerzającego się pola, jakie obejmuje działalność Księży Misjonarzy w Brazylii, byłaby — według mego zdania — już pora, by oni tu stworzyli odrębną prowincję polską, jak to już uczyniły żeńskie zgromadzenia Sióstr św. Wincentego a Paulo i Rodziny Najśw. Maryi Panny. Dotąd bowiem należą oni jeszcze do prowincji krakowskiej swego Zgromadzenia. Odrębna prowincja pociągnęłaby za sobą utworzenie

własnego nowicjatu w Brazylii czyli zakładu, któryby Zgromadzeniu dostarczał księży z pośród polskiej młodzieży z samej Brazylii. Z czasem taki zakład mógłby się rozrość na polskie seminarium duchowne; podobnego zakładu brak dotąd w Brazylii. Wskutek tego też mało jest księży, czy to świeckich, czy zakonnych, którzy by pochodzili z samego wychodztwa. Niewątpliwie znalazłyby się liczniejsze, niż dotąd, powołania kapłańskie wśród męskiej młodzieży naszego wychodztwa, gdyby takie seminarium w Brazylii istniało, tak jak znalazły się już wśród młodzieży żeńskiej liczne powołania do zgromadzeń polskich sióstr, posiadających własne nowicjaty w Brazylii.

W podobnym duchu i z podobnym poświęceniem jak Księża Misjonarze działają wśród naszego wychodztwa w Brazylii także księża polscy ze Zgromadzenia Słowa Bożego i Księża Salezjanie. Nie są oni jednak tak liczni, a jeszcze mniej liczni, jak już wspomniałem, są świeccy księża polscy, urodzeni i wychowani tu w Brazylii, a należący do tutejszych diecezyj.

Jak w ogóle wszyscy biskupi brazylijscy, w których diecezjach miałem sposobność odwiedzić naszych rodaków, tak też arcybiskup diecezji kurytybskiej, X. arcybiskup Braga, przyjął mnie jak najserdeczniej. Przybył pierwszy z wizytą do mnie zaraz po moim przyjeździe do Kurytyby, zaznaczając, że w przeciwieństwie do zwyczaju eu-

ropejskiego — w Brazylii nie gość składa pierwszy wizytę gospodarzowi, ale gospodarz gościowi. Ze szczerą gotowością udzielił mi też wszystkich pełnomocnictw dla pracy duszpasterskiej wśród rodaków, zamieszkujących w obrębie jego diecezji. Miły, już podeszły w wieku najczcigodniejszy ten dostojnik Kościoła, jak dowiaduję się z prasy, wskutek ciężkiej choroby zrezygnował obecnie z rządów diecezją.

Również i władze świeckie okazały nam, ministrowi Grabowskiemu i mnie, dużo życzliwości. Interwentor, a obecnie gubernator stanu Parana, p. Ribas, oddał do naszej dyspozycji wagon salonowy na podróż w stanie, celem odwiedzania poszczególnych naszych kolonii. Jedną z nich sam też odwiedził w towarzystwie ministra Grabowskiego.

Na raucie, urządzonym zaraz po naszym przybyciu do Kurytyby w pięknych apartamentach gmachu Konsulatu Generalnego, miałem sposobność zetknąć się z licznymi wybitnymi przedstawicielami naszej kolonii. Był na tym raucie także były marszałek senatu polskiego, profesor Szymański, słynny okulista. Jest on w Paranie bardzo znaną i wysoce szanowaną osobistością, bo przebywał tu dawniej kilka lat. Od czasu do czasu przyjeżdża z Polski na kilka miesięcy do Kurytyby, aby odświeżyć serdeczne związki, które go łączą z tym krajem — i aby udzielić swej cennej usługi lekarskiej chorym na oczy, którzy do

wiedzy jego i sztuki lekarskiej mają nieograniczone zaufanie. W życiu kolonii podczas pobytu swego w Kurytybie bierze marszałek Szymański wybitny udział.

Jak gdzie indziej, pragnęłam także w Kurytybie odwiedzić jak najwięcej rodzin polskich w ich domach. Niestety, brakło mi na to czasu. Miałam wobec tego ograniczyć się do wstąpienia do mieszkań dwóch rodaków, odgrywających najwybitniejszą rolę w tutejszych katolickich organizacjach, mianowicie p. Faucza, prezesa „Oświaty“ i p. Lachowskiego, wiceprezesa tejże organizacji oraz prezesa Związku Polskiego w Kurytybie. Dzielni to ludzie, którzy przedsiębiorczością i wytrwałą, uczciwą pracą stworzyli sobie dość silne gospodarcze i społeczne stanowisko w Kurytybie, a przy tym całym sercem oddani są sprawie katolickiej i polskiej.

Brak czasu nie pozwolił mi nawet odwiedzić redakcji „Ludu“, choć mieści się ona w skromnej oficynie tuż obok rezydencji Księża Misjonarzy, gdzie zamieszkałam. Jest to niewątpliwie najlepsze i najwięcej rozpowszechnione polskie pismo katolickie w Brazylii, redagowane umiejętnie i żywo przez X. Jana Pałkę z tegoż Zgromadzenia, a wychodzące dwa razy w tygodniu.

Nie miałam też czasu, żeby dokładniej obejrzeć sobie miasto. Zresztą nie ma tu nic szczególnie ciekawego, na co by warto zwrócić uwagę. Jest to miasto nowoczesne, rozbudowane szeroko na

falistym terenie. Domy są przeważnie parterowe, ulice czyste, ruch w centrum miasta dość duży. Wskutek szybkiego swego rozwoju nie ma jednolitego charakteru, nie ma go również mieszkająca w nim ludność. Poza Brazylijczykami pochodzenia portugalskiego i Polakami dużo tu jest Włochów, Niemców i Syryjczyków, niewątpliwie także Żydów. Jako stolica wielkiego, ale słabo jeszcze zaludnionego stanu, obdarzonego przez przyrodę wielkimi, niewyczerpanymi dotąd, nawet jeszcze nie odkrytymi bogactwami — nawet złoto ma się kryć w łonie jego ziemi — Kurytyba ma przed sobą niewątpliwie wielką przyszłość. Taką przyszłość mieć może również kolonia polska w Kurytybie, ale tylko wtedy, jeżeli wytworzy się w niej silny duch solidarności, opartej o najistotniejsze i najżywotniejsze, wszystkim wspólne wartości polskie, do których bezprzecnie należy nasza święta wiara katolicka. Wtedy dopiero Kurytyba stanie się naprawdę stolicą Polonii Brazylijskiej.

15. *W starych koloniach polskich w okolicy Kurytyby*

Do Kurytyby przyjechałem w dniu 19 grudnia 1934 roku, wyjechałem zaś stamtąd dopiero po nowym roku, dnia 7 stycznia. Nie siedziałem atoli przez cały ten czas w mieście, ale robiłem stamtąd różne wycieczki w bliższą i dalszą okolicę, aby odwiedzić osiedla polskie, jakie tam istnieją. Są to kolonie już stare, doskonale zorganizowane i zagospodarowane. Życie w nich płynie normalnym trybem. Nie są tu dziś potrzebne wysiłki pionierskie, bo nie ma już dzikiej puszczy; z pierwotnych lasów i borów pozostały obecnie tylko marne resztki, wszędzie ziemia przemieniła się w urodzajną, dobrze uprawioną rolę. Z miasta prowadzą we wszystkie strony poprzez pagórkowaty teren mniej lub więcej dobre drogi, na których panuje wszędzie duży ruch kołowy. Zaludnienie jest tu już dość gęste. Bliskość poważnego centrum handlowego, jakim jest Kurytyba i bliskość kolei pozwala na łatwiejszy i korzystniejszy zbyt plonów rolnych, wskutek czego koloniści są tu zamożniejsi, niż w interiorze, choć gospodarstwa ich nie są tak duże jak tamte.

Pomimo ciągłego napływu w te okolice ludzi z miasta, należących do różnych narodowości, rodacy nasi, tu osiedli, zdołali na ogół zachować narodową odrębność swych kolonii, które kilkadziesiąt lat temu stworzyli pierwsi polscy wychodźcy, i utrzymać albo nawet powiększyć swój stan posiadania. Za wyjątkiem miasteczek, mało spotkać można obcych w polskich parafiach. Wskutek tej narodowej swojej zwartości kolonie polskie w okolicy Kurytyby zachowały wszędzie wybitnie polski charakter; wszędzie czuje się tu czysto polską atmosferę, na ogół utrzymały się stare polskie zwyczaje i obyczaje, kobiety prawie wszędzie zachowały polski strój. Wszędzie też serdecznie mnie tu i uroczyście przyjmowano, w podobny sposób, jak lud polski w starym kraju przyjmuje swego biskupa przy wizytacji pasterskiej.

Opisując podniosłe wrażenia, jakie przy tej ciekawej wizytacji odniosłem w poszczególnych koloniach, będę się może powtarzał. Trudno tego uniknąć, ponieważ wszędzie miałem mniej więcej te same przeżycia. Ale jak wciąż na nowo głęboko przeżywałem te wrażenia, jak wciąż nową mnie one napełniały radością i pociechą, tak, że nigdy nie odczuwałem nudy ani zmęczenia, tak też sądzę, że nie zanudzę swoich czytelników, jeżeli im opowiem, co widziałem, słyszałem i przeżyłem w każdej z kolonii, którą odwiedziłem. Ograniczam się przy tym do podania krótkich notatek, jakie zapisałem sobie w dzienniku podróży.

A b r a n c h e s. Jest to najstarsza osada polska w Paranie, odległa od Kurytyby około 6 km. Piękny murowany kościół wznosi się na wgórze, skąd rozciąga się szeroki widok na Kurytybę i jej faliste okolice. Przyjazd nasz — prawie wszędzie towarzyszyli mi oprócz Czcigodnego Wizytatora O. Bronny'ego również minister Grabowski i konsul generalny Kulikowski — zaskoczył poniekąd, przynajmniej co do godziny, naszych rodaków, przy tym pogoda była nieszczerólna, niebo zachmurzone, drogi po deszczach złe. Wskutek tego nie zabrakło się zbyt dużo ludzi. Treściwym przemówieniem witał mnie miejscowy duszpasterz, X. Góral, ze Zgromadzenia Księża Misjonarzy. Piękna to postać kapłańska, stary, doświadczony, wytrawny misjonarz, człowiek wielkiej wiedzy. Ogromne usługi oddał on wychodźtwa przez wydanie Słownika Polsko-Portugalskiego i Gramatyki języka portugalskiego, oraz innych publikacji popularno-naukowych. W uroczystej procesji rodacy wprowadzają mnie do kościoła, gdzie przemawiam i odprowadzam Mszę świętą. Po nabożeństwie udajemy się do pobliskiego gmachu Towarzystwa Władysława Jagiełły. Wspaniały to gmach z wielką gustownie urządzonej salą, z obszerną sceną, piękną salą bufetową za sceną i innymi jeszcze salkami.

Wielkie parafie u nas w kraju nie mogą się pochwycić takim okazałym Domem Parafialnym, jak ta parafia na wychodźstwie, licząca nie więcej

niż około 300 rodzin. Akademia urządzona na naszą cześć, przedstawienie teatralne, deklamacje, śpiewy, tańce rytmiczne — wykazują wysoki poziom. Dzieci mówią dobrze po polsku. Wytworzył się przemiły nastrój, szczególnie, gdy dzieliliśmy się opłatkiem, przysłanym przez X. Kardynała Hlonda z Polski. Później odwiedzamy Collegium czyli szkołę, prowadzoną przez siostry Szarytki. Duży to piętrowy gmach z pięknymi salkami szkolnymi i internatem. Szkoła cieszy się wielkim uznaniem, nie tylko wśród naszego wychodźstwa, ale i wśród Brazylijczyków. Dowodem tego, że w przeszłym roku szkolnym uczęszczało do niej 260 dzieci, w tej liczbie połowa niepolskiego pochodzenia. Narzuca się tu pewna kwestia drażliwa, a mianowicie, czy jest pożądanym, aby polskie siostry dopuszczały do swoich szkół także niepolskie dzieci. Pewien polski konsul robił im z tego zarzut braku patriotyzmu polskiego. Według mego zdania całkiem niesłusznie. W polskiej szkole, prowadzonej przez polskie siostry lub inne polskie siły nauczycielskie zawsze — trzeba to przypuścić — będzie panował duch polski, choćby do niej uczęszczały także dzieci niepolskiego pochodzenia. Nie grozi więc w takiej szkole dzieciom polskim przejęcie się obcym duchem i wynarodowienie, wśród dzieci zaś obcych taka szkoła może szerzyć znajomość polskiej myśli i polskiego ducha, przynajmniej znajomość Polski. A to bezprzecznie jest pożądanym. Nie mo-

zna więc ganić polskich siostr, że przyjmują do swych szkół także obce dzieci, ale raczej należy się cieszyć z tego, że także niepolskie społeczeństwo ma do ich szkoły zaufanie i powierza im swoje dzieci.

Przy tym trzeźwo trzeba zdać sobie sprawę z tego, że dominującym językiem w polskich szkołach na obczyźnie jest i powinien być język odnośnego kraju. Poza nauką religii i oczywiście języka polskiego i dziejów Polski z reguły w tym też języku wykłada się wszystkie przedmioty, raz z tego powodu, że prawie wszędzie wymaga tego prawo krajowe, a po wtóre dlatego, że trzeba młodzież przygotować do życia w tym kraju, w którym jej wypada żyć. Inaczej skazałoby się ją na los proletariacki.

Przeciwdziałać natomiast należy uczęszczaniu polskich dzieci na wychodźstwie do niepolских szkół, prowadzonych przez niepolские siły nauczycielskie. Choćby w takich szkołach nawet większość dzieci była polskiego pochodzenia, duch jednak w nich będzie obcy, niepolski, wskutek czego dzieciom niewątpliwie grozi wynarodowienie. Ale cóż mają biedni wychodźcy robić, jeżeli na miejscu brak polskiej szkoły i nie mogą się zdobyć na jej stworzenie i utrzymanie? Czyż wtedy można od nich żądać, żeby dzieci w ogóle do żadnej szkoły nie posyłali? Na to chyba żaden rozumny człowiek się nie zgodzi. Nie można więc im robić zarzutu, jeżeli posyłają dzieci swoje do nie-

polских szkół, lecz trzeba im pomóc, by nie zostali zmuszeni do takiego kroku. Trzeba im do-
pomóc do założenia i utrzymania choćby najskrom-
niejszej polskiej szkoły z polskim nauczycielem.
To bezprzecnie jeden z najważniejszych obowią-
zków, do jakiego względem wychodźstwa powinno
poczuwać się całe społeczeństwo polskie.

Santa Candida. I ta parafia leży blisko
Kurytyby. Ostatnie 2 km bocznej drogi, odbiega-
jącej od szosy, wskutek deszczu znajdowały się w
takim stanie, że mimo założenia łańcuchów na ko-
ła samochodu, trudno nam było dotrzeć do para-
fialnego kościoła, położonego na wzgórzu. Kościół
jest mały, skromny, ale tuż obok niego wznosi się
nowa, wspaniała, obszerna świątynia z piękną wie-
żą. Wewnątrz jest jeszcze niewykończona, wskutek
tego nabożeństwo odbywa się w starym kościół-
ku. Parafia składa się prawie wyłącznie ze Ślą-
zaków z okolicy Opola. Przybyli oni do Brazylii *ok. Opola*
przed 60 laty, po wojnie prusko-francuskiej. Przy-
padkowo także obecny ich duszpasterz, młody,
wymowny, dzielny X. Wiśliński ze Zgromadze-
nia Księża Misjonarzy jest Ślązakiem, a ponieważ
sam pochodzi ze śląskiej ziemi, wytwarza się od-
razu między nami najserdeczniejszy nastrój.
Z głębokim wzruszeniem przemawiam do nich.
Z głębokim też rozrzewnieniem słuchają oni mo-
ich słów. Śpiewają dobrze nasze stare pieśni ko-
ścielne, zachowali też swoją gwarę śląską, a ko-
biety swój śląski strój. W pobliskim pięknym

gmachu szkolnym, gdzie 4 siostry ze Zgromadzenia Rodziny Maryi udzielają nauki, rozwija się miła pogadanka, dzielimy się opłatkiem, śpiewamy z rozrzewnieniem nasze cudowne kolendy. Plebania jest mała, ale miłutka, otoczona przepięknym ogrodem. Parafia liczy tylko 230 rodzin, a jednak utrzymuje własnego duszpasterza, własną szkołę i wybudowała już drugi kościół. Jakież to wielka wiara i ofiarność, a przy tym i solidarność musi panować w tej pięknej kolonii! Santa Candida może służyć przykładem, jak wiarą i solidarnością mimo słabych sił można stworzyć wielkie dzieła.

Orleans — Nowa Polonia. I tę parafię podkurytybską — o 11 km odległą od stolicy — można nazwać wzorową. Liczy ona 405 rodzin polskich. Posiada przepiękny kościół, którego smukła wysoka wieża wita nas już z daleka. Ze słuszną dumą opowiada mi miejscowy duszpasterz, zawsze wesoły, zawsze dowcipny X. Kandora, także ze Zgromadzenia Księży Misjonarzy i także Ślązak, że wybudował tę wspaniałą świątynię w przeciągu jednego roku i to bez długów. Również okazale przedstawia się gmach szkolny, w którym 150 dzieci uczęszcza na naukę, udzielaną im przez siostry ze Zgromadzenia Rodziny Maryi. Śliczna jest plebania, precudne są ogrody i sady, które wokoło niej założył X. Kandora. Widać, że jest przyrodnikiem z zamiłowania. Jest tu także dom dobrze rozwijającego się Towarzystwa Rolniczego. Świetnie

więc przedstawia się stan materialny parafii. Ale i duch w niej jest zdrowy i dobry. Dzieci poprawnie mówią po polsku, są rozgarnięte, żywe i inteligentne. Widocznie Siostry gorliwie i umiejętnie pracują nad nimi, jak również nad młodzieżą żeńską z Sodalicji Mariańskiej. Postawa ludu, który tłumnie ze sztandarami zebrał się na moje powitanie, jest wspaniała. Nastrój podniosły. Przy tym sprzyjała nam wprost cudowna pogoda. Orleans — to naprawdę Nueva Polonia, jak też nazywają tę kolonię — nową Polską, z której wychodztwo może być dumne.

Thomas Coelho. Jest to jedna z najstarszych placówek w Paranie, odległa od Kurytyby około 18 km. Słynie jako macierz wielu innych nowych kolonij. Synowie bowiem pierwszych kolonistów, którzy się tu osiedlili, nie znajdując w okolicy odpowiednich terenów, aby zaspokoić swój głód ziemi i swoją ambicję pionierską, wyruszyli w dalsze strony i założyli tam nowe kolonie. To też dziś w Thomas Coelho spotyka się przeważnie starych kolonistów. Tak się złożyło, że proboszczem jest tu najstarszy z Księży Misjonarzy, pracujących na terenie Brazylii, czcigodny X. Bayer. Liczy on już przeszło 70 lat, a na miejscu duszpasterzuje prawie lat 30. Nie zdradza atoli ani podeszłego wieku, ani zmęczenia długoletnią ciężką pracą misjonarską. Dobrze zbudowany, trzyma się prosto jak piniory parańskie, jest żywy, ruchliwy, pełen pogody i pracuje jeszcze dziś jak młody.

Może służyć jako żywy dowód, że klimat parański jest zdrowy. Nie pracował też nadaremnie. Tak stan materialny, jak i moralny parafii przedstawia się doskonale. Parafia liczy przeszło 400 rodzin i posiada dwa kościoły, solidną, wygodną plebanię z wielkim ogrodem, albo już raczej przepięknym parkiem, i dużą szkołę, którą prowadzą Siostry Szarytki. Tak do kościoła, jak do szkoły należy duży obszar dobrze uprawionej ziemi. I duch w parafii jest zdrowy, życie organizacyjne dobrze rozwinięte, młodzież i dzieci mówią dość poprawnie po polsku. Główny kościół parafialny jest jednym z pierwszych, jaki nasi wychodźcy wybudowali w Paranie. Wznosi się, jak prawie wszystkie kościoły polskie w Brazylii, na wzgórzu, z wieżami widniejącymi z daleka nad szeroką jego fasadą. Wewnątrz, z głównego ołtarza wita mnie wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Nie dziw, że ze szczególnie głębokim wzruszeniem odprawiam tu ofiarę Mszy św. i przemawiam do ludu, szczelnie zapelniającego obszerną świątynię, zachęcając go, aby nadal wytrwał przy naszej Matce i Królowej, zachowując przez to samo żywą łączność ze starym krajem.

C a t a n d u v a. Przed miłym skromnym kościołem tej placówki, już bardziej odległej od Kurytyby, wita nas dość duża rzesza rodaków z proboszczem X. Chyłaszkiem na czele. Starszy to kapłan, przebywa w Brazylii już lat 33. Widocznie klimat parański nie tak dobrze mu służył jak X.

Bayerowi z Thomas Coelho, gdyż robi już wrażenie czcigodnego staruszka.

Podczas mszy św. chór śpiewa polskie pieśni, niestety, bez udziału ludu. Zachęcam do pielęgnowania zbiorowego śpiewu, który stanowi wielką siłę katolicką i polską.

Plebania choć mała, ale bardzo miła, znajduje się w ogrodzie pełnym kwiatów. Po nabożeństwie udajemy się na pogadankę z rodakami do pobliskiego domu Towarzystwa Rolniczego. Niestety, jak się dowiadujemy, życie w Towarzystwie prawie całkiem zamarło. Widocznie brak w kolonii jednostek o twórczej inicjatywie. Z tego też powodu nie udało się dotąd rodakom stworzyć własnej kooperatywy, której projekt zresztą — z obawy przed uniezależnieniem się gospodarczym naszych kolonistów — zwalczają wszelkimi sposobami wendziści (kupcy) obcej narodowości, jacy się tu między polskimi wychodźcami osiedlili.

Parafia liczy około 500 rodzin, należących przeważnie do młodszej generacji, która urodziła się już w Brazylii. W „sede“ nie ma szkoły polskiej, są natomiast na „liniach“ w liczbie ośmiu. Po obiedzie wyruszamy dość dobrą drogą przez piękne górzyste okolice do kolonii S e r i n h a, oddalonej od „sede“ o 14 kilometrów.

Kolonia ta należy jako filia do parafii Catandura. Ma już atoli własnego duszpasterza i własny piękny murowany kościół. Plebania znajduje się dopiero w budowie. Mimo, że placówka ta jest

względnie młoda, panuje w niej widocznie duży ruch. Jest to zasługą młodego energicznego duszpasterza, X. Zdziebła ze Zgromadzenia Księży Misjonarzy, Ślązaka, oraz dzielnego kierownika szkoły i nie mniej dzielnych prezesów kilku towarzystw, jakie tu zostały założone.

Akademia, którą urządziła kolonia na naszą cześć w obszernej sali szkolnej, miała bardzo miły przebieg i wykazała dość wysoki poziom, świadczący o rzetelnych wysiłkach kolonii na polu oświatowym. Był doskonały śpiew chóru, prowadzonego przez kierownika szkoły, piękne deklamacje i treściwe przemówienia. Kierownik szkoły silnie podkreślił konieczność oparcia szkoły o religię i o współpracę z duchowieństwem. W powrotnej drodze do Kurytyby zatrzymaliśmy się w dość poważnym, jak na stosunki parańskie, miasteczku *Araucaria*.

Na dużym pięknym placu przed bardzo ładnym kościołem zebrała się na nasze powitanie wielka rzesza ludu, składająca się nie tylko z Polaków, lecz także z katolików innych narodowości. Parafia bowiem w większości swej nie jest polską; polskich rodzin liczy około 250. Przy tym mieszkają one przeważnie na koloniach poza miasteczkiem. Proboszczem jest tu X. Noch. Należy on do tych nielicznych polskich księży świeckich, którzy już tu w Brazylii się urodzili. Jest synem kolonisty z Abranches. Objął parafię przed 18 laty w bardzo trudnych warunkach, gdyż poprzednik

jego, także kapłan-Polak, wywołał tu wielkie zgorzienie, zrzuciwszy suknię duchowną. Dziś w parafii jest spokój dzięki gorliwej działalności X. Nocha. Szkoła, prowadzona przez cztery polskie Siostry Miłosierdzia w dużym wysokim gmachu, jest mieszana, bo na 80 dzieci, które do niej uczęszczają, tylko 30 jest polskiego pochodzenia; mówią one atoli dość poprawnie po polsku, jak mogliśmy to wywnioskować z ich występu na małej akademii urządzonej na naszą cześć przez Siostry.

C a m p o L a r g o. To już nie zwykłe „sede“ — ośrodek okręgu kolonizacyjnego — lecz wcale poważne miasto, rozłożone na szerokim wzgórzu, z czystymi ulicami, solidnymi murowanymi domami, z pięknym dużym placem publicznym. Na najwyższym punkcie miasta wznosi się nowy okazały kościół. Przed bramami jego wita mnie barwna rzesza ludu, witają polskie dzieci kwiatami oraz wierszami, ślicznie wygłoszonymi w języku polskim i portugalskim. W kościele przemawia głęboko i treściwie miejscowy duszpasterz, X. proboszcz Domański. Podczas Mszy św. chór śpiewa bardzo ładnie prześliczne polskie kolędy. Po krótkim wypoczynku w wygodnej plebanii udajemy się do Domu Polskiego. Duża sala jest przepełniona. Nastrój świąteczny, serdeczny, miły. Witają mnie nie tylko Polacy, ale i Brazylijczycy. Odpowiadam w języku polskim i włoskim. W parafii panuje widocznie zgoda i harmonia. Polskie Siostry ze Zgromadzenia Rodziny Maryi gorliwie pracują

nad powierzoną sobie dziaćwą i młodzieżą. Parafia liczy przeszło 25 tysięcy dusz. Między nimi jest około 500 rodzin polskich. Oprócz macierzystego kościoła w samym mieście jest na koloniach 20 kaplic, z tych jedna tylko służy wyłącznie Polakom. Trudna wobec takich stosunków jest praca duszpasterska X. proboszcza Domańskiego, tym więcej, że nie ma żadnego pomocnika. Ale gorliwością swoją umie pokonać wszystkie trudności. Urodził się jako syn kolonisty już w Brazylii, mówi świetnie po polsku.

Około 8 km od Campo Largo leży, rozproszona po górach i dolinach, mała kolonia polska Christina, gdzie znajduje się wymieniona już polska kaplica, należąca do parafii Campo Largo. Z daleka widać jej białe mury, wznoszące się na wysokim pagórku wśród zielonych pól. Wita nas niezbyt liczna grupa kolonistów. Przemawiam do nich od ołtarza pięknej, dość obszernej kaplicy, głęboko wzruszeni śpiewamy kilka kolend i dzielimy się opłatkiem. Jest między kolonistami dużo starszych, którzy widzieli jeszcze Polskę. Lud widać przepracowany, twardy, ale zadowolony ze swego losu mimo tęsknoty za starym krajem. Wiara dała im siły do wytrwania; świadomie czy mniej świadomie to odczuwają. Dlatego też gorąco pragną mieć między sobą na miejscu własnego duszpasterza. W tym właśnie celu wybudowali kaplicę i postawili dom, który ma służyć jako plebania. Niestety, nie będzie tak

łatwo urzeczywistnić ich życzenia, ponieważ kolonia liczy zaledwie 200 rodzin, trudno więc, by mogła tu powstać osobna parafia. X. proboszcz Domański z Campo Largo, nie mając w pracy duszpasterskiej w rozległej swojej parafii, jak wspomnieliśmy, żadnego kapłana — pomocnika, może raz tylko na miesiąc odprawić tu nabożeństwo.

Koloniści atoli często sami zbierają się w swej miłej kapliczce, by wspólnie się pomodlić i śpiewać swoje stare polskie pieśni religijne, których jeszcze nie zapomnieli, gdyż ukochali swój kościółek i wiedzą, że jest on dla nich twierdzą jedności, ratującą ich przed rozproszeniem i utonięciem w morzu obcym, jakie ich otacza.

Muricy. Poważna ta placówka polska, jedna z najlepiej zorganizowanych, jakie odwiedziłem w Brazylii, jest już dość odległa od Kurytyby, skąd do niej wyruszyliśmy. Potrzebowaliśmy prawie dwóch godzin jazdy samochodem przez błotniste, bujną roślinnością pokryte okolice nad rzeką Iguassu, dalej przez step, potem znów wśród urodzajnych pól na górzystym terenie, nim dojechaliśmy na miejsce. Tu wita nas na czele ogromnej rzeszy naszego ludu X. Chodzidło ze Zgromadzenia Słowa Bożego. Przemawia głęboko, treściwie, przepięknym polskim językiem. Choć jeszcze młody, jest już profesorem filozofii w Seminarium swego Zgromadzenia w San Paulo. Pracuje tu tylko chwilowo, korzystając z wa-

kacyj, w zastępstwie nowowyznaczonego na tę placówkę duszpasterza z tego samego Zgromadzenia, który nie mógł jeszcze przybyć. W uroczystej, barwnej, dobrze zorganizowanej procesji udajemy się do kościoła. Wspaniała to świątynia, z potężną a przy tym smukłą wieżą, panującą nad całą okolicą. Kościół już trzykrotnie był powiększony, ale tak umiejętnie, że nie ucierpiała przy tym jego piękna architektura. Obecnie parafia przystąpiła do wymalowania obszernego wnętrza. Prezbiterium i poprzeczna nawa są już wymalowane i to, dodać trzeba, z wielkim smakiem. Niemniej okazałym jak kościół jest Dom Polski, gdzie po nabożeństwie w obszernej, wysokiej, pięknie udekorowanej sali odbyła się akademія na naszą cześć. Przemówienia, deklamacje, śpiew chóru świadczą o dużej kulturze kolonistów. Solidne wrażenie robi także szkoła, prowadzona przez polskie siostry. W jednej z sal szkolnych podziwiać możemy gustownie urządzone wystawę robotek dziatwy szkolnej. Wystawione okazy zdradzają wielkie zdolności dzieci i intensywną nad nimi pracę wychowawczą siostr nauczycielek. Wiadocznie w parafii, liczącej około 2 000 dusz, panuje wielka solidarność, zgoda i harmonia, a przede wszystkim serdeczna współpraca z duszpasterzem. Inaczej nie mogłaby ona takich dzieł dokonać, a stan jej materialny i moralny nie mógłby być tak wyjątkowo dobry. Także dorastająca młodzież żeńska i męska odznacza się głęboką reli-

gijnością, czego dowodem są bardzo liczne wśród niej powołania do Zgromadzenia Księży Słowa Bożego i do sióstr Rodziny Maryi. Do podniesienia parafii na tak wysoki poziom, do wyrobienia w niej tak głębokiego ducha religijnego, a zarazem także polskiego, przyczynił się, jak mi opowiadano, przede wszystkim świątobliwy X. Dworaczek, który tu po kilkuletniej gorliwej pracy duszpasterskiej we względnie młodym wieku zmarł. Wdzięczni parafianie wybudowali śliczną kaplicę nad grobem jego, na cmentarzu, założonym na zboczu wzgórza, na którym wznosi się kościół. Wielki duch tego gorliwego kapłana widocznie czuwa nadal nad tą piękną polską placówką, której poświęcił wszystkie swoje siły aż do ostatecznego wyczerpania, aby wytrwała tu na ziemi brazylijskiej w wierze ojców oraz w jedności i miłości jako jedna rodzina katolicka i polska.

16. Polskie Boże Narodzenie w brazylijskich borach

Gdyby brewiarz swymi lekcjami i modlitwami nie przypominał mi wciąż, że nadchodzi święto Bożego Narodzenia, mógłbym być o nim zapomnieć tu, na ziemi brazylijskiej. Bo ani przyroda ani życie, ani zwyczaje nie wytwarzają tu owego przedziwnego nastroju pokuty, skupienia i tęsknoty, z jakim u nas w Polsce już od pierwszej niedzieli adwentowej oczekujemy tego najmilszego ze świąt i przygotowujemy się na jego obchód. Tu w Brazylii właśnie o tej porze roku jest pełne lato, dni są długie, słoneczne, gorące; noce krótkie i ciepłe. Lud zajęty jest zbiorem zboża na roli. Działwa i młodzież szkolna używa długich wakacyj letnich. Kto może, ucieka z dusznej atmosfery miast w góry albo nad morze, aby móc oddychać świeższym powietrzem.

W takich warunkach trudno człowiekowi, który niedawno dopiero przybył z Europy, wytworzyć w swojej duszy ów nastrój, jakiego wymaga to święto, przynajmniej u nas, by odczuć cały jego urok. Było to trudne i dla mnie, i myślałem już, że tegoroczne Boże Narodzenie przejdzie dla mnie bez owych wzniosłych wrażeń, jakie dotąd

zawsze przeżywałem w to prężne święto. Stało się jednak inaczej. Właśnie tu, na ziemi brazylijskiej, przeżyłem tak podniosłe uczucia radości gwiazdkowej, jakich dotąd nigdy jeszcze w ten błogosławiony dzień nie doznawałem. A przeżyłem je dzięki naszym rodakom, którzy, choć oczywiście nie mogli przemienić warunków życia i przyrody brazylijskiej, by stały się podobne do tych, w jakich my w Polsce obchodzimy to święto, potrafili jednak wnieść w nie ową precyzyjną atmosferę duchową, jaka u nas, w starym kraju powszechnie panuje podczas tego święta nad świętami. Przeżyłem je na tle życia i przyrody brazylijskiej, ale w duchowej atmosferze polskiej.

Przyrodą mogliśmy, szczególnie w dzień wigilijny, nacieszyć się aż nadto, bo cały ten dzień od wczesnego rana aż do późnego wieczora przepędziliśmy w lasach, borach i na stepach. Przyznam się szczerze, że mój nastrój nie był szczególnie podniosły i wesoły, gdyśmy samochodem — starym Fordem — z Kurytyby wyruszyli w drogę już przed szóstą godziną rano. Wszak w dzień ten każdy wolałby pozostać w domu, aby tu w skupieniu oczekiwać świętej Nocy. Poza tym dokuczała mi spuchnięta szczeka, tak, że ledwie mogłem otworzyć usta.

Nastrój ten jednak wnet się zmienił pod wrażeniem pięknego krajobrazu, wyłaniającego się z porannej mgły, i pod działaniem czystych i ciepłych promieni słońca. Samochód nasz po szybkiej jeź-

dzie przez nizinę, powoli i z trudem wspina się krętą wąską drogą na wysokie płaskowzgórze, skąd otwiera się przed nami rozległy widok na daleką okolicę. Godzinami potem jedziemy przez bezładny step, pokryty zieloną trawą. Około 10-ej godziny docieramy do miasteczka P a l m e i r a. Nie ma tu kolonii polskiej, ale rezyduje polski ksiądz, któremu powierzone jest duszpasterstwo wśród rodaków, osiadłych w okolicy. Niestety, nie zastajemy go na plebanii, gdyż nie był na czas zawiadomiony o naszym przyjeździe. Dowiadujemy się atoli od jego konfratry, księdza pochodzenia holenderskiego ze Zgromadzenia Słowa Bożego, który tu jest proboszczem, że oczekuje nas liczna polska kolonia w P a p a g a i o s N o v o s, o 18 km drogi od Palmeira. Nie leży ta placówka na drodze do celu dzisiejszej naszej jazdy, którym jest bardzo jeszcze dalekie S a o M a t h e u s. Ale trudno sprawić zawód rodakom, trzeba do nich pojechać. Droga dosyć dobra prowadzi przez przepiękne gęste lasy, wśród których ponad niższe drzewa wyrastają, to pojedynczo, to w grupach smukłe, smętne piniory, tak charakterystyczne dla krajobrazu parańskiego. Mijamy P a p a g a i o s S t a r e, gdzie osiedlili się Niemcy z Rosji.

Około 12-ej godz. jesteśmy na miejscu. Na obszernym placu, otoczonym małymi nielicznymi domkami, wznosi się piękny, dość duży drewniany kościół. Przed nim wita nas liczna rzesza ro-

daków z dzielnym nauczycielem polskim, p. Leonem Sałatą na czele. Wstępujemy do miłej świątyni. Rozlega się w niej potężny śpiew kolendy naszej: „Bóg się rodzi, moc truchleje“, napędlając serca nasze zwycięską radością Bożego Narodzenia, a równocześnie błogą świadomością łączności z ojczyzną. Nie trudno mi w takim nastroju przemawiać do drogich braci, zachęcać ich do wytrwania w wierze ojców i miłości do ojczyzny. Głębiej niż kiedykolwiek oni dziś odczuwają, jak wielkie siły płyną z tej wiary i tej miłości ojczyzny.

Blisko kościoła znajduje się skromna, lecz miła plebania. Niestety, nie jest wcale zajęta, bo X. Halama, polski duszpasterz, rezyduje w Palmeira, tylko od czasu do czasu tu przyjeżdża. Mimo to religijny i moralny poziom placówki jest dość wysoki, gdyż działalność kapłana uzupełnia i pogłębia wyjątkowo dobry nauczyciel, p. Sałata, który mieszka tu stale ze swoją rodziną. Jest on właściwie duszą tej kolonii, mąż o gorącej wierze i niemniej gorącym duchu polskim, przy tym zdolny i ruchliwy. Budynek szkolny, w którym uczy i mieszka, ślicznie jest położony wśród zielonych drzew i pól w odległości trzech kilometrów od kościoła. Tam zebraliśmy się po nabożeństwie, aby przedłużyć błogie chwile radości gwiazdkowej, podzielić się opłatkiem i w serdecznych przemówieniach i pogadankach wypowiedzieć, co odczuwają nasze serca.

Było już po drugiej godzinie po południu, kiedy wyruszyliśmy w dalszą drogę, a dopiero o godz. 6-ej, po ciężkiej przeprawie przez góry i doliny, lasy i bory, ale przy przecudnej pogodzie dotarliśmy do *A g u a B r a n c a*.

Wstąpiliśmy tu na krótką tylko chwilę do kościoła i na plebanie, gdyż mieliśmy tu jeszcze wrócić następnego dnia. Do św. Mateusza, celu naszej dzisiejszej podróży, było jeszcze 15 km. Droga jest wyjątkowo dobra. Okolice już dość gęsto zaludniona, przeważnie przez naszych wychodźców. Przy szkółce na drodze zatrzymują nas, witając serdecznie. Szkoła i ludzie przedstawiają się dobrze. Dwa przemówienia wygłoszone przez prezesów polskich towarzystw, istniejących tu na linii, świadczą o wysokim ich wyrobieniu kulturalnym. Wnet zjawia się banderia, prowadzeni przez nią, wjeżdżamy triumfalnie w poważne, jak na tutejsze stosunki, miasteczko *S a o M a t h e u s*.

Jest już godzina 8-a. Na pięknej, wygodnej plebanii przygotowano tradycyjną uroczystą wieczrę wigilijną. Jestem bardzo zmęczony, a nie chciałbym opuścić pasterki o północy. Poza tym nadal, i to coraz dotkliwiej, dokucza mi spuchnięta szczęka. Wobec tego — pierwszy raz w życiu — rezygnuję, chociaż mi przykro, z wiochy wigilijnej, aby przez krótki odpoczynek nabrać trochę świeżych sił na pasterkę. Budzę się około godziny 11-ej, a raczej budzą mnie kolendy. Śpiewa

je nasz lud, spieszący ze wszystkich stron w mniejszych lub większych grupach na pasterkę do kościoła. Noc jest przecudna, ciepła, niemal gorąca. Blask księżyca i gwiazd rozjaśnia niebo, przenika łagodnym swym światłem przezczystą atmosferę, rozplywa się szerokim strumieniem nad krajobrazem, nadając mu tajemniczy jakiś czar.

Przed plebanią formuje się olbrzymia procesja. Małe dziewczynki i panny w bieli, mężczyźni i niewiasty z płonącymi świecami, nad ich głowami liczne chorągwie i sztandary. Smukła, biała wieża pobliskiego kościoła oświetlona jest elektrycznością. Z pieśnią „Serdeczna Matko“, śpiewaną z wiarą i mocą przez tysiączne rzesze, udajemy się do kościoła. Tu, przed oryginalną bramą misternie zbudowaną z gałęzi palmowych, wita mnie chlebem i solą dwoje najstarszych w parafii rodaków, czcigodnych staruszków. W samym zaś kościele od ołtarza przemawia miejscowy proboszcz, X. Porzycki ze Zgromadzenia Księżów Misjonarzy. Przemawia gorąco i głęboko. Porównując dzisiejszą, tak wspaniałą pasterkę z pierwszą, jaką obchodzono tu w Sao Matheus, tak mniej więcej opisuje ciekawą różnicę między jedną a drugą:

„Jakże inną była ta pierwsza pasterka w r. 1892! Wśród lasów piniorowych, w małej kapliczce, która już nie istnieje, odprawia pasterkę ś. p. X. Smołucha. Rodacy nasi, jak stado strwożonych owiec, skupiają się około ołtarza i śpiewają kolen-

dy. Byli to wówczas ludzie bezdomni, niepewni, co im jutro przyniesie. Jeden z nich gra na ręcznej harmonijce, przywiezionej ze starego kraju, a inny wtóruje na skrzypcach. W tym samym dniu po raz pierwszy odzywa się w tych stronach dzwon, sprawiony przez jednego z kolonistów, płosząc swoim dźwiękiem dzikie zwierzęta. Od tego dnia upłynęło lat 42. Nastąpiły olbrzymie zmiany. Mamy już własny kościółek, własnych kapłanów, polskie Siostry Miłosierdzia w szkole i szpitalu, mamy kilka szkół po koloniach i nikt bez kapłana polskiego nie umiera.

Jakże więc nie mamy być wdzięczni Bożemu Dzieciątku, że nas tak cudownie prowadziło! Jakże nie mamy być wdzięczni szczególnie za dzień dzisiejszy, kiedy tu, na tym miejscu świętym, na którym przez długie lata niewoli rozległa się prośba: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie!“, dziś witać możemy tych, którzy reprezentują władzę świecką i duchowną naszej Ojczyzny! Dumni jesteśmy z tego, bo już nie jesteśmy więcej sierotami“.

Nie jesteśmy sierotami! Nasza ukochana Matka — Ojczyzna jest znowu z nami, wolna, silna, potężna. Z Nią nierozzerwalnie złączeni, możemy dziś klęczeć przed żłóbkiem Dzieciątka Bożego, nie potrzebujemy już lękać się żadnego Heroda, który by chciał nas oderwać od Chrystusa, przeszkadzać nam żyć przy Nim własnym życiem i pracować nad urzeczywistnieniem w świecie je-

go hasła: „Chwała Bogu na wysokości, a pokój ludziom dobrej woli“. Ta radosna świadomość przepełnia nasze dusze, daje moc natchnienia słowom, jakie wygłaszam, odzywa się tryumfalnie w kolendach, które lud śpiewa z wiarą i mocą.

Ten sam nastrój przeżywamy podczas uroczystej sumy, którą w kilka godzin później odprowadzam przy jeszcze większym udziale naszego ludu, a tak samo podczas akademii w szkole, prowadzonej przez Siostry Miłosierdzia, i na przyjęciu w olbrzymiej i szczerlnie wypełnionej ludem sali Towarzystwa im. H. Sienkiewicza, gdzie dzielimy się opłatkiem.

Dobrze mi przy tym ludzie z sercem owych pa-stuszków, którzy pierwsi śpieszyli „kolendować Małemu“.

Nie mogę atoli długo wśród nich pozostać. Po krótkim odpoczynku na gościnnej plebanii, wyruszamy z powrotem do kolonii A g u a B r a n c a, gdzie zatrzymaliśmy się już wczoraj po drodze do Sao Matheus. Powtarzają się te same wzruszające sceny i te same przeżycia: wielkie rzesze barwnego ludu, pięknie wygłoszone deklamacje, treściwe przemówienia, tętnące żywą wiarą i gorącą miłością Ojczyzny, kolendy śpiewane z żywiołową radością. Ale przeżycia te, choć prawie wszędzie podobne, nie wywołują w nas znużenia, gdyż wszędzie odczuwamy świeżość, szczerłość i głębokość uczucia. Podnosi to na duchu

i wydobywa z nas nowe, świeże siły. A sił tych potrzeba było bardzo, bo oczekiwała nas jeszcze trzecia polska placówka, mianowicie Rio Claro, która pragnęła również przeżyć z nami, choć późnym wieczorem, to święto nad świętami.

Jest już godzina szósta, ale słońce rozlewa jeszcze pełny swój blask nad przecudnym egzotycznym krajobrazem i rozgrzewa powietrze tak, jak u nas w sierpniu. Droga jest trudna, wije się wśród gęstych borów po górach i dolinach. Przerwywa ją szeroka rzeka Iguassu, przez którą przeprawiamy się przy pomocy prymitywnego promu. Tu po drugiej stronie rzeki spotykamy znów osiedla naszych wychodźców, ukryte w cieniach piniorów i innych drzew. Przed płotami zagród witają nas rodacy, oczekujący już od kilku godzin naszego przyjazdu.

Szybko zapada zmrok, z którego na kilka kilometrów przed Rio Claro wyłania się banderia. To nasi chłopcy. Okolica staje się coraz bardziej romantyczną. Wjeżdżamy w głęboki wąwóz, w którym nagle, wśród szumu rakiet, przerywających błyskawicami otaczające nas ciemności, zagradza nam drogę wielka rzesza ludu. Nappełnia ciasny wąwóz, stoi po obu jego stronach na zrębach nad naszymi głowami. Setki płonących w rękach świec oświetlają bramy tryumfalne, błyszczące złociste sztandary i biel zgromadzonej pod nimi dziatwy. Muzyka gra marsza powitalnego. Zdaje mi się,

jakobym znalazł się w jakimś świecie zaczarowanym. Ale świat ten jest dobrze zorganizowany; kolejno witają mnie poszczególne organizacje, ustawione w karnych szeregach pod swymi sztandarami: dzieci, chłopcy i dziewczęta oraz dorośli, a wreszcie miejscowy duszpasterz, X. proboszcz Piasecki, ze Zgromadzenia Księży Misjonarzy. Z wąwozu po stromych stopniach wchodzimy procesjonalnie na plac przed kościołem. Jest już zbyt późna pora, by odprawić nabożeństwo. Nie wступujemy więc do kościoła, ale przemawiam do zgromadzonej rzeszy naszego ludu z małego wzniesienia przed bramą świątyni, wyrastającej jakby z morza światła w ciemności nocne, w których ginie jej wysoka wieża.

Pod wrażeniem tego fantastycznego nastroju odczuwam w swej duszy taką przedziwną moc, iż zdaje mi się, jakobym nie ja przemawiał, ale mówił przeze mnie Anioł Pański, który w Świętą Noc głosił pasterzom w Betlejem wesołą nowinę Bożego Narodzenia. I z taką też wiarą i radością, jak wówczas pastuszkowie — słuchają moich słów zebrani rodacy, słuchają, co im opowiadam o miłości Bożego Dzieciątka do naszego narodu i o miłości, jaką naród nasz zawsze dla Niego zachował, pomimo wysiłków różnych Herodów, którzy chcieli oderwać nas od Niego. Ta miłość dała nam siły, żeśmy nigdy nie przestali wierzyć w sprawiedliwość Bożą, żeśmy nawet w czasach niewoli nie przestali śpiewać: „Bóg się rodzi, moc truchleje...”

Dziś ta kolenda stała się najpiękniejszą rzeczywistością. Załamała się moc, która trzymała nas w kajdanach, i święto Bożego Narodzenia obchodzić możemy jako naród wolny. W tej miłości do Bożego Dzieciątka chcemy wytrwać jako naród Chrystusowy i budować Królestwo Chrystusowe tak w starym kraju, jak i w nowym świecie, aby nareszcie wśród biednej ludzkości stało się rzeczywistością hasło Bożej Dzieciny: „Chwała Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli“.

Skończyłem, wyczerpany fizycznie do ostateczności, lecz pełen radości w duszy, gdyż przeżyłem tu w górach parańskich wśród naszego wychodźstwa najpiękniejszą, jaką pamiętam, uroczystość gwiazdkową.

Kościół w Rio Claro, zbudowany z drzewa na wzór naszych kościołów wiejskich, wznosi się na wzgórzu, panującym nad całą okolicą. Widać go z daleka ze wszystkich stron. Stąd rodacy nazywają to miejsce „Jasną Górą Parańską“. I jak Jasna Góra w starym kraju, tak i ta Parańska spełnia tu w nowym świecie swoje przeznaczenie: jest dla naszych rodaków twierdzą wiary oraz krynicą ducha polskiego, łączy ich przy Chrystusie i Najświętszej Pannie w jedną polską katolicką rodzinę. Nic dziwnego, że wczoraj wieczorem, w pierwsze święto Bożego Narodzenia, witali na tej Parańskiej Jasnej Górze z taką radością biskupa, który



Stolica Argentyny iluminowana z okazji Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego.



Widok na Guanabarę — zatokę stolicy brazylijskiej

przybył do nich z Polskiej Jasnej Góry i przyniósł im błogosławieństwo Jasnogórskiej Pani oraz pozdrowienia od narodu ze starego kraju; nic dziwnego, że temu biskupowi w ten przecudny wieczór zdawało się, jakoby nie znajdował się na brazylijskiej ziemi, ale wśród rozmodlonych i rozśpiewanych rzesz pątniczych na Częstochowskiej Jasnej Górze.

To wrażenie odczuwałem w swojej duszy jeszcze silniej w dniu następnym, w drugie święto Bożego Narodzenia. Nastrój, który panował podczas uroczystej sumy na tej Jasnej Górze Parańskiej był prawie taki sam, jak na Częstochowskiej w dniach wielkich odpustów. Plac przed kościołem i obszerne jego wnętrze były przepełnione barwnymi rzeszami ludu, który przybył tu z bliska i z daleka w mniejszych lub większych grupach na koniach lub na wozach, lub też pieszo, aby „kolendować Małemu“. I kolendowali Mu z tą samą gorącą wiarą, z tą samą siłą uczucia, jak Mu kolendujemy w starym kraju. Widać było po ich twarzach rozjaśnionych jakby blaskiem nadziemskiego światła, że wiara jest dla nich naprawdę źródłem życia, źródłem radości. Licznie też podczas Mszy św. przystąpili do Komunii św. okazując przez to, że wiara ich nie polega tylko na uczuciach, lecz przede wszystkim na współżyciu z Chrystusem Eucharystycznym.

Przy tym wiara ich jest czynna, objawiająca się nie tylko w pięknych manifestacjach religijnych,

ale także w niemniej pięknych dzielach. Oprócz Rio Claro należą do parafii dwie inne jeszcze kolonie: Vera Guarany i Malet. Rio Claro liczy ok. 550 rodzin, Vera Guarany — 450, a Malet — 300. Wszystkie te placówki mają własne kościoły, plebanie i własnych duszpasterzy. Proboszczem, rezydującym w Rio Claro, jest X. Pia-secki dzielny kapłan o wysokiej inteligencji, spokojny, a przy tym ruchliwy, należący do Zgromadzenia Księża Misjonarzy, tak jak i jego współpracownicy, X. Hajduk w Vera Guarany i X. Dewor w Malet. Organizacje katolickie w parafii szczególnie w samym Rio Claro, są bardzo liczne i bardzo aktywne. Jest tu także okazały parafialny Dom Ludowy, oraz piękny zakład Sióstr Szarytek, w którym znajduje się polska szkoła i mały szpitalik dla chorych.

Śmiało powiedzieć można, że ta polska parafia na wychodźstwie nie jest gorzej, ale raczej lepiej zorganizowana i wykazuje większą aktywność, niż przeciętne parafie nasze w Polsce. W bliższym zetknięciu się na sali z ludem, po uroczystym nabożeństwie, mogłem także stwierdzić, że ich wyrobienie religijne i społeczne jest dość wysokie, że panuje między nimi zgoda i harmonia, a stosunek do duszpasterzy jest serdeczny. To też sekciarstwo t. zw. kościoła narodowego, mimo różnych wysiłków, nie zdołało zapuścić korzeni w tej parafii. Parańska Jasna Góra jest naprawdę twierdzą wia-

ry i jedności oraz krynicą ducha polskiego dla tu-tejszej okolicy.

Droga do Vera Guarany, dokąd wybra-
liśmy się jeszcze tego samego świątecznego dnia
po południu, prowadzi przez kraj górzysty, pokry-
ty smętnymi piniorami. Jak prawie wszędzie,
tak i w Vera Guarany — drewniany kościół zbu-
dowano na wzgórzu. Wewnątrz świątynia szcze-
gólnie odznacza się przepięknym wysokim skle-
pieniem z brazylijskiego drzewa. Nie mogłem
tu długo zabawić, zaledwie dwie krótkie godziny.
Ale i ten krótki czas wystarczył, by wypowie-
dzieć wszystko, co odczuwały serca nasze przy
tym zetknięciu się w święto Bożego Narodzenia —
polskiego biskupa ze starego kraju z polską kolo-
nią na brazylijskiej ziemi, by odnowić i wzmocnić
ten duchowy związek, który poprzez morze nas
łączy. W mocnych słowach podkreślił tę myśl
inż. Pawłowski, który w imieniu tysięcznej rzeszy
rodaków witał mnie przed bramą kościoła, zazna-
czając jednocześnie, że ta miłość do starego kraju
nie przeszkadza im służyć wiernie tej drugiej ko-
chanej ojczyźnie — Brazylii, która przyjęła ich
z otwartymi rękoma, gościnnie, tak że czują się
jakby we własnym domu. Jak w Stanach Zjed-
noczonych Ameryki Północnej, tak i tu można
stwierdzić ten ciekawy objaw, że w duszach na-
szych wychodźców obok patriotyzmu polskiego
wytwarza i rozwija się patriotyzm amerykańsko-
brazylijski. Z tym objawem powinniśmy się li-

czyć w naszej polityce emigracyjnej, o tym powinni pamiętać wszyscy, którzy są lub czują się powołani do działalności wśród naszego wychodźstwa, by nie popełnić błędów. Wychodźcy polscy to w olbrzymiej większości nie poddani państwa polskiego, ale obywatele obcych krajów, do których coraz więcej się przywiązują.

17. *Malet i Irati*

Z wielką ciekawością wybrałem się z Rio Claro do Malet (Marechal-Mallet), dalszej stacji na drodze mej pielgrzymki wśród naszego wychodźstwa. Dużo już o tej placówce słyszałem w kraju, a także później w samej Brazylii. Słyszałem zdania tak dodatnie, jak też ujemne. Jedni mówili, że Malet to najpoważniejsze ognisko oświaty polskiej w Paranie, że jest tam stosunkowo wielka liczba inteligencji polskiej, która ruchliwością swoją zdołała wyrobić sobie duże wpływy nie tylko wśród samego wychodźstwa polskiego, ale także wśród społeczeństwa brazylijskiego. Inni jednak, zresztą na ogół nie przecząc tej dodatniej co do ruchliwości kolonii opinii, dodawali, że niestety w Malet panuje duch wrogi dla Kościoła albo przynajmniej obojętność dla spraw religijnych. Wobec tego obawiałem się, czy moja misja religijna nie napotka w Malet na większe trudności, choć zapewnił mnie X. proboszcz Piasecki w Rio Claro, do którego parafii ta placówka należy, że stosunki kościelne wcale tak źle tam się nie przedstawiają. Z góry mogę powiedzieć, że miał słuszność.

Malet nie leży już w puszczy, ale w okolicy o dość wysokiej kulturze. Po obu stronach wy-

jątkowo dobrej, solidnej drogi, prowadzącej prze-
ważnie po grzbietach wzgórz, wszędzie widzieliś-
my dobrze uprawione pola. Z dawniejszego dzie-
wiczego lasu pozostały już tylko tu i ówdzie mar-
ne resztki. Minęliśmy dużą kolonię rusińską; Ru-
sinów sporo w tych stronach. Stosunek między
nimi a naszymi rodakami jest na ogół poprawny,
ale zimny. Nie ma między nimi sporów, ale też
nie ma współzycia i współpracy.

Zmierzch szybko zapadał, ale byliśmy też już
blisko celu naszej jazdy. Już widać miasteczko,
szeroko rozbudowane na falistym terenie. Jak
na brazylijskie stosunki, przedstawia się ono po-
ważnie. Jest rzeczywiście ważnym ośrodkiem
gospodarczym i społecznym. Leży przy wielkiej
linii kolejowej i jest siedzibą prefekta (starosty).

Godzina przyjazdu naszego nie była ściśle okre-
ślona. Wskutek tego witała nas przed skrom-
nym, drewnianym, wewnątrz gustownie wymalo-
wanym kościołem mała tylko garstka rodaków.
Natomiast w dzień następny kościół był przepęł-
niony. Przed wejściem do świątyni jeden ze star-
szych czcigodnych kolonistów wygłosił na moje
powitanie przemówienie o niezwykle głębokiej
treści i gorącej wierze, w jędrnym polskim języ-
ku. Żaden kapłan nie powstydziłby się podob-
nego oratorskiego występu. Przemawiał w imie-
niu całej kolonii, i wnet mogłem się przekonać,
że tę gorącą wiarę, która natchnęła jego słowa,
dzieli z nim rzeczywiście ogół kolonii. Potwier-

dził mi to zresztą miejscowy duszpasterz, młody, sympatyczny X. Dewor. Wprawdzie wśród inteligencji polskiej są tu jednostki obojętne pod względem wiary, nie spełniające praktyk religijnych, takie, których małżeństwa nie są w porządku, a dzieci niechrzczone, ale nie można powiedzieć, żeby prowadzili walkę z Kościołem i uprawiali akcję antyreligijną. W każdym razie są oni za inteligentni i są zbyt dobrymi Polakami, by popierać tak głupie i tradycji polskiej tak obce sekciarstwo, jakim jest t. zw. „kościół narodowy“. Że ich stosunek do Kościoła jest obojętny, można poza trudnościami małżeńskimi, jakie niektórzy z nich mają, tym tłumaczyć, że niegdyś, zanim z Polski wyemigrowali, należeli do obozu socjalistycznego. Ponieważ, jak powiedziałem, są dobrymi Polakami i ludźmi inteligentnymi, można żywić nadzieję, że z czasem i oni staną się żywymi członkami Kościoła świętego, który, jak już kilkakrotnie stwierdziliśmy — zdobywa w Brazylii, jak w ogóle w całej Ameryce Południowej, coraz większe znaczenie.

W życiu gospodarczym i społecznym miasta i powiatu rodacy nasi odgrywają wybitną rolę. Nawet prefekt (starosta) jest Polakiem. Jest to bodaj jedyny wypadek w całej Brazylii, że Polak dostał się na to poważne stanowisko. Odwiedziliśmy go w nowym pięknym gmachu prefektury. W jednej z sal urządzono wystawę wyrobów, jakie produkują miasto i powiat. Ku na-

szej wielkiej radości większość wystawiających firm nosi polskie nazwiska. Świadczy to o dużej ruchliwości i przedsiębiorczości naszych rodaków. Zrozumieli oni dobrze, że wychodztwo w Brazylii, chcąc sobie zapewnić lepszą przyszłość i odpowiednie do swej liczby wpływy w kraju, nie powinno się ograniczać na rolnictwie, ale coraz więcej zdobywać także dziedzinę przemysłu i handlu oraz tak zwane wolne zawody. Z pomiędzy przedsiębiorców w tutejszym okręgu w szczególny sposób wybił się pan Krzesimowski, który po długoletniej ciężkiej pracy założył niedaleko od Malet wielką winnicę. Wino, które produkuje na swojej facendzie, już dziś jest znane w całej Paranie. Wskutek braku czasu nie mogłem, niestety, oglądać tego przedsiębiorstwa uchodzącego za wzorowe, ale piłem wino, które się tam wyrabia i przyznać muszę, że jest znakomite.

Piłem to wino na wielkim bankiecie, który na naszą cześć wydała kolonia na sali Kolegium Polskiego im. Kopernika. Poznałem przy tej sposobności prawie całą miejscową inteligencję polską, wśród której najważniejszą rolę, zdaje się, odgrywa p. Roman Paul, jedna z najwybitniejszych i najbardziej znanych osobistości Polonii brazylijskiej. On też w krótkich, ale treściwych słowach nas witał. Przebieg przyjęcia był podniosły, a przy tym miły i wesoły. Minister Grabowski, który w Malet znowu się do nas przyłączył, sko-



Zjeżdżają się wychodźcy na biskupie nabożeństwo w Guarany.



Konne bantery witały J. E. X. Biskupa w Rio Grande do Sul.

rzyszał z tej sposobności, by udekorować orderem polskim jednego z najstarszych kolonistów.

Kolegium im. Kopernika uchodzi za jedną z najlepiej postawionych polskich szkół w Brazylii. Pracowali tu niegdyś jako kierownicy i nauczyciele ludzie, którzy dziś w Polsce zajmują wpływowe stanowiska. Niestety wskutek wakacyj, jakie przypadły właśnie na ten czas, nie mogłem zetknąć się z uczniami i przekonać się, czy poziom nauki i wychowania jest rzeczywiście wysoki. Żałować należy, że plan nauki nie obejmuje religii. Ale mam nadzieję, że ten poważny brak zostanie usunięty. Zdaje się, że obecnie pod tym względem już nie ma zasadniczego sprzeciwu ze strony tych, od których ta szkoła zależy. Jeżeli nowa konstytucja parańska przepisuje naukę religii we wszystkich szkołach rządowych, byłoby nader smutnym objawem, gdyby polska szkoła dla katolickiej i polskiej młodzieży naszego wychodźstwa w Paranie nadal wykluczała religię ze swego programu nauki i wychowania.

Pogoda, która dotychczas nam sprzyjała, tymczasem się zmieniła. Niebo się zachmurzyło, padał gęsty deszcz. A deszcz dla podróżujących po drogach w interiorze brazylijskim jest prawie katastrofą. Czerwona ziemia dróg, zazwyczaj twarda jak beton, przemienia się w krótkim czasie w kleistą masę, podobną do marmolady, w której samochody mogą się posuwać tylko przy pomocy łańcuchów, nałożonych na koła. A gdy dro-

ga idzie pod górę, to często nawet łańcuchy nie pomagają. Jazda samochodem w takich warunkach jest wprost niebezpieczeństwem. Można całe godziny grzęznąć w błocie, albo też ześlizgnąć się do przepaści. Mimo tego ryzyka wybraliśmy się jeszcze tego dnia po południu do Rio Azul, osiedla polskiego, odległego od Malet 24 kilometry, gdyż trudno nam było zrobić zawód rodakom, którzy nas tam oczekiwali. Wyprawa była rzeczywiście ryzykowna. Nasz szofer musiał się zdobyć na wprost nadludzkie wysiłki, by pokonać trudności drogi. Był moment, kiedy samochód nasz przednimi kołami już wisiał nad przepaścią; dzięki Bogu w ostatniej chwili udało się szoferowi zatrzymać wóz. Z trudem tylko zdołaliśmy się z niego wydobyć i wyciągnąć go na drogę. Ostatecznie jednak dobrnęliśmy do celu.

Nie żałowaliśmy tych trudów. Hojnie wynagrodziła je nam radość, z jaką nas witali rodacy. Mimo niepogody i złych dróg zebrali się oni w wielkiej liczbie, aby choć na krótką godzinę zetknąć się z polskim biskupem i polskim ministrem, aby usłyszeć od nich, co się dzieje w starym, nigdy niezapomnianym kraju i aby zapewnić ich, że, choć na obcej ziemi, chcą jednak wytrwać we wierze ojców i miłości do Ojczyzny.

Duszpasterzem w Rio Azul jest X. Hajda ze Zgromadzenia Słowa Bożego. Jest to kapłan gorliwy i poważny. Kościół posiada przepiękne sklepienie drewniane. Plebania jest obszerna i wy-

godna. Niestety, zbyt krótko bawiliśmy w tej kolonii, by dokładniej zaznajomić się z jej stanem materialnym i moralnym. Zdaje się jednak, że jest zadowolniający.

Deszcz padał ciągle, wobec tego droga powrotna do Malet była jeszcze trudniejsza. Zmęczyliśmy się okropnie, ale Bogu dzięki nie mieliśmy żadnego wypadku.

Interwentor (czyli gubernator) stanu Parana, podobnie jak gubernator w stanie Rio Grande do Sul, oddał do naszej dyspozycji na dalszą podróż, którą już mogliśmy odbyć koleją, wygodny wagon salonowy. Czekał on już na nas na stacji. Ponieważ w następny dzień mieliśmy wyruszyć o bardzo wczesnej godzinie, nie przenocowałem na plebanii, lecz na stacji, w bardzo dobrze urządzonej sypialni w wagonie. Nie potrzebuję dodawać, że po silnych wrażeniach i denerwujących przejściach tego pracowitego dnia zasnąłem od razu twardym snem. Obudziłem się dopiero, gdy pociąg był już w pełnym biegu.

Około godziny ósmej, był to dzień 28 grudnia, dojechaliśmy do Irati. Istnieje tu dość liczna kolonia polska, w której niestety, zdołało zagnieździć się sekciarstwo w postaci t. zw. „kościółka narodowego“.

Gdybym o tym smutnym fakcie nie był już przedtem poinformowany, byłbym się o nim dowiedział zaraz po przybyciu do tej poważnej osady. W drodze bowiem ze stacji kolejowej do

katolickiej plebanii spostrzegłem na wzgórzu wyrastające wśród domów dwie niewykończone wieże. Na moje zapytanie, co to za kościół, polski duszpasterz w Irati, X. Warkocz, odpowiedział mi, że to zbór sekciarzy. Budowa stanęła, bo siła sekciarzy, która właściwie nigdy nie była poważna, już się załamała. Liczą dziś już zaledwie kilka rodzin. Z praktykujących katolików właściwie tylko kilka jednostek zdołali zbałamucić. Przyłączyli się natomiast do nich ludzie, którzy i przedtem nie byli w porządku z Kościołem, między nimi kilku wpływowych wendziarzy (właścicieli wend, czyli sklepów handlowych, restauracyj). Niestety, także miejscowa organizacja młodzieży „Junaka“, zresztą słaba, uległa ich wpływom; prezes jej jest także przełożonym zarządu parafii sekciarskiej. Nie dziw wobec tego, że do „Junaka“ katolicy odnoszą się z rezerwą. Z sekciarzami sympatyzuje także stowarzyszenie „Wolność“ choć statutowo pod względem religijnym powinno być neutralne. Ale i to stowarzyszenie nie przedstawia dziś żadnej poważnej siły. Wobec zdecydowanej postawy olbrzymiej większości kolonii, która, jak mogłem się wnet przekonać, pozostała wierną wierze ojców, i wykazuje wielką ruchliwość w Akcji Katolickiej, sekciarstwo w Irati dziś już nie jest groźne.

Irati jest miastem municypalnym — powiatowym i jako takie siedzibą prefekta (starosty) i sędziego. Parafia katolicka, obejmująca tak miasto,

jak i całą szeroką okolicę, liczy około 20.000 dusz, między nimi z górą 600 rodzin polskich, (mniej więcej 5000 dusz). W samym „sede“ jest mała kaplica brazylijska, obok niej położono już fundamenty nowego obszernego kościoła. Kolonia polska posiada własny kościół w mieście i jedną kaplicę w pobliskiej kolonii. Poza tym w większej, lub mniejszej odległości od „sede“ znajduje się na liniach ni mniej ni więcej niż 30 kapliczek, służących tak naszym rodakom jak innym kolonistom różnych narodowości. Trudne to są warunki dla pracy duszpasterskiej, tym więcej, że wkradło się do parafii jeszcze sekciarstwo, niestety, polskie. Te trudności atoli nie zdołają załamać, ni osłabić energii dzielnego, ruchliwego i gorliwego X. Warkocza ze Zgromadzenia Polskich Księżów Misjonarzy, któremu ta ważna parafia jest powierzona. Ma on do pomocy jednego tylko polskiego księdza. Poza tym pomagają mu, szczególnie w pracy duszpasterskiej wśród brazylijskich katolików, księża profesorowie z Małego Seminarium, jakie tu założyła brazylijska prowincja tego Zgromadzenia.

Pogoda była nadal niepomyślna. Deszcz nie przestawał padać. Drogi, nawet w mieście, znajdowały się w takim stanie, że trzeba było założyć łańcuchy na koła samochodu, by móc po falistym terenie, na którym rozbudowało się miasto, dojechać do polskiego, dość wysoko położonego kościoła. Obszerne wnętrza świątyni, podzielone

dwoma rzędami kolumn na trzy nawy, bardzo gęstownie jest wymalowane. Nie dziwnego, gdyż sam X. proboszcz Warkocz zna się doskonale na sztuce malarskiej. Mimo niepogody zebrała się w kościele wielka rzesza naszego ludu z miasta i okolicy. Podczas Mszy św. chór młodzieży bardzo udatnie śpiewał kolędy.

W przemówieniu swoim mocno podkreśliłem, że nasz święty Kościół katolicki, choć jest powszechny, obejmujący wszystkie narody, dla nas Polaków jest równocześnie kościołem naszym, polskim, narodowym. Jest on bowiem jak słońce, które, chociaż należy do wszystkich narodów i wszystkim udziela swojej siły, należy jednak równocześnie całe do każdego narodu, i w każdym narodzie tak działa, jak tego wymagają jego specjalne warunki, potrzeby i właściwości. Nie potrzebujemy więc specjalnego narodowego, polskiego kościoła jak to twierdzą sekciarze, podobnie jak nie potrzebujemy specjalnego narodowego słońca. Przeciwnie należy stwierdzić, że tzw. „narodowy kościół“ pomijając to, że nie może być kościołem Chrystusowym, w gruncie rzeczy jest kościołem antynarodowym, niepolskim, gdyż obcym duszy narodu, która od samego początku w jak najściślejszy sposób zrosła się ze świętą wiarą katolicką. Wskutek tego, jak zresztą wykazały dzieje naszego narodu i jak szczególnie doświadczyło na sobie samo wychodźstwo — wiara katolicka jest nie tyl-

ko naszą największą siłą religijną, ale także największą naszą siłą polską.

Po nabożeństwie udaliśmy się do skromnego domku, w którym mieszkają polskie Siostry; skromny jest również domek, w którym mieszczą się ochronka i szkoła, przez nie prowadzone. Ale tuż obok wznoszą się mury wspaniałego nowego zakładu; jest jeszcze niewykończony, ale już dziś można powiedzieć, że będzie to jedna z największych i najpiękniejszych szkół, jakie posiada nasze wychodźstwo w Brazylii. A zakład taki był potrzebny w I r a t i, bo już dziś do szkoły Sióstr uczęszcza około 200 dzieci. Połowa z nich pochodzi z rodzin niepolских. Świadczy to o tym, że szkoła cieszy się dużym uznaniem nie tylko wśród naszych rodaków, ale także w społeczeństwie brazylijskim. W ten sposób szkoła ta przyczynia się do rozszerzenia znajomości polskiej kultury nie tylko wśród naszych wychodźców, ale także wśród Brazylijczyków; bo Siostry prowadzą ją w duchu katolickim, oraz w duchu szczerze polskim.

Wielka sala w tym nowym gmachu tak dalece jest już wykończona, że mogliśmy się w niej zebrać. Sala była przepełniona. Z wyjątkiem pewnego przykrego wypadku, o którym trudno mi mówić, nastrój podczas zebrania był wzniosły. Ładne korowody i tańce, wykonane na obszernej scenie przez dzieci i młodzież żeńską, deklamacje oraz przemówienia, wygłoszone przez członków różnych organizacji, świadczyły o rzetelnej pra-

cy oświatowej i kulturalnej w parafii, o dobrej jej organizacji, o głębokim duchu katolickim i polskim, jaki w niej panuje, o zgodnej współpracy wiernych z duchowieństwem i Siostrami.

Drugie przyjęcie w skromnej sali swego własnego domu urządziło także, więcej może ze względu i na cześć p. ministra niż dla mnie, towarzystwo „Wolność“, sympatyzujące, jak wspomnieliśmy, z sekciarstwem. Wahałem się, czy mam wziąć udział w tym przyjęciu. Ale sam X. Warkocz prosił mnie o to, zaznaczając, że zasadniczo według swego statutu Towarzystwo nie jest wrogiem Kościołowi i liczy między członkami także katolików. Wobec tego byłem na tym przyjęciu, tak samo jak X. Warkocz. Mimo, że przy tej okazji miał być odsłonięty i udekorowany przez p. ministra Krzyżem Zasłużonych portret niedawno zmarłego założyciela tego Towarzystwa, śp. Józefa Smolki, udział kolonii w tej uroczystości był bardzo słaby, a przebieg jej dość przykry. Widocznie szczerze po katolicku usposobiony ogół kolonii nie popiera tego Towarzystwa, zrażony objawiającymi się w nim tendencjami sekciarskimi. Śp. Józef Smolka, który także hołdował tym tendencjom, umarł pojednany z Kościołem. Rodzina jego jest katolicka.

Późnym wieczorem odbył się w hotelu bankiet, wydany na cześć naszą przez prefekta (starostę). Zebrała się cała miejscowa inteligencja (panie także): prefekt, sędzia, „deputato“ (poseł) i inni,

prawie wszyscy Brazylijczycy. Naturalnie zaproszono także kilku członków miejscowej Polonii, chociaż — zdaje się — nikt z nich nie zajmuje jeszcze wybitniejszego stanowiska w hierarchii społecznej miasta i powiatu. O ile niektórzy z nich zdołali się wybić, to nie na urzędach i w wolnych zawodach — lecz w handlu i przemyśle. Nastrój podczas bankietu był bardzo miły. Wygłoszono liczne przemówienia. Brazylijczycy lubią mówić, a trzeba przyznać, że mówią doskonale. Świetnie również, jak zwykle, przemówił w języku portugalskim minister Grabowski. Nie władając tym językiem, sam przemówiłem po włosku, ponieważ, jak już wspomniałem, język ten jest bardzo podobny do portugalskiego. Zauważyłem, że podczas bankietu przy stole panie, w przeciwieństwie do zwyczaju przyjętego u nas, zajmowały miejsce obok swych mężów. Panują tu widocznie inne, surowsze obyczaje towarzyskie, niż u nas w Europie.

Przez cały prawie ten dzień padał deszcz, który ustał nieco dopiero w dniu następnym tj. 29 grudnia. Niebo pozostało jednak nadal zachmurzone, krajobraz ponury. Wobec tych niepomysłnych warunków pogody wykonanie dalszego planu naszej podróży, który przewidywał odwiedzenie rodaków w *P r u d e n t o p o l i s*, placówce oddległej od Irati około 60 km na zachód, i dalej jeszcze oddległych kolonij nad rzeką Ivahy, w puszczy interioru parańskiego — budziło poważne wątpliwości.

W oczekiwaniu na zmianę pogody odwiedziliśmy tymczasem Małe Seminarium brazylijskiej prowincji Zgromadzenia Księża Misjonarzy. Duży, murowany, dobrze urządzone gmach tego Zakładu wznosi się na wzgórzu, nieco oddalonym od miasta. Większa część alumnów — nie jest ich dużo, bo zaledwie 20 — jest polskiego pochodzenia, przeważnie z osiedla Prudentopolis. Widać, że w młodym pokoleniu naszego wychodźstwa budzą się już powołania kapłańskie, a byłoby ich niewątpliwie jeszcze więcej, gdyby nasi polscy Księża Misjonarze, należący dotąd jeszcze do prowincji Krakowskiej, zdolali utworzyć w Brazylii własną polską prowincję i założyć własne seminarium. Polscy alumni mówią jeszcze bardzo dobrze po polsku, choć w seminarium nie mają lekcji polskiego języka. Po obiedzie, któryśmy spożyli w refektarzu seminaryjnym wspólnie z alumnami i z jednym z ich profesorów — inni bowiem znajdowali się na wakacjach — nieco się rozjaśniło.

Wobec tego zdecydowaliśmy się zaryzykować wyjazd do Prudentopolis.

18. *Prudentopolis*

Wyprawa nasza z Irati do *Prudentopolis*, ostatniej poważniejszej osady polskiej w puszczach zachodniej części stanu Parana, była nie małym ryzykiem. Wprawdzie słońce coraz częściej i na coraz dłuższy czas pokazywało się przez chmury, ale po całodziennym wczorajszym deszczu droga znajdowała się w stanie wprost rozpaczliwym. Dobrze, że wybraliśmy się dwoma samochodami, bo w ten sposób mogliśmy sobie w razie potrzeby wzajemnie pomagać. A ta potrzeba często zachodziła. Co kilka kilometrów jeden lub drugi samochód ugrzęznął w głębokim błocie i musieliśmy go wspólnymi siłami wyciągać. Nie dziw, że potrzebowaliśmy nie mniej niż 7 godzin, by przebyć 60 km drogi, jakie dzielą *Prudentopolis* od Irati. Zmęczyliśmy się niemało, ale nie straciliśmy humoru. Słońce przecież, choć z przerwami, znowu świeciło i mocno nam przygrzewało. Poza tym szczerzy zachwyty budziła w nas egzotyczność krajobrazu. Droga prowadziła przez bujne dziewicze bory, z górującymi nad gęstym podszyciem najrozmaitszych drzew i krzewów smukłymi piniorami. Rzadko tylko spostrzeegliśmy tu osiedla ludzkie. Przeważnie były to wendy, stanowiące

niby stacje dla podróżujących na tym ważnym szlaku, prowadzącym w puszcze interioru. Spotykaliśmy natomiast często ciężkie wozy, wlokące się przez błoto, malownicze grupy jeźdźców na szybkich koniach i półdzikich kabokłów, wędrujących pieszo. Przeżyliśmy jak gdyby rozdział z powieści egzotycznej, jakoby fragment z pierwotnego życia kolonialnego.

Noc już nadchodziła, gdy nareszcie wydostaliśmy się z lasu. Byliśmy u celu naszej dzisiejszej wyprawy. Na szerokiej falistej polanie, otwierającej się przed nami, widzimy dużą osadę z szerokimi ulicami, elektrycznie oświetlonymi. Ponad niskimi domkami wyrastają dwie wysokie wieże dużego kościoła w samym centrum osady, a bardziej na peryferii na łagodnym wzgórzu bizantyjskie kopuły, należące zapewne do cerkwi ruskiej. Zauważono widocznie w osadzie, że nadjeżdżamy, bo już z daleka witają nas raketami. Zajeżdżamy przed plebanię, gdzie już od kilku godzin oczekuje nas liczna rzesza rodaków, którzy wytrwali aż do tej pory, chcąc nas najuroczyściej i najserdeczniej powitać.

Większe jeszcze masy ludu zebrały się naza jutrz, dnia 30-go grudnia. W barwnej procesji z muzyką i pieśnią wprowadzają mnie z plebanii do kościoła. Nie jest to owa monumentalna świątynia z dwiema wieżami, która wczoraj przy wjeździe do miasta wpadła nam w oczy. Jak się dowiaduję, monumentalną tą świątynią jest kościół

brazylijski. Kościół polski jest skromniejszy, zbudowany z drzewa, ale wewnątrz bardzo miły. Smukłe kolumny dźwigają przepięknie wymalowane gotyckie sklepienie. Podczas Mszy św., którą odprawiam, prawie cała parafia: dzieci, młodzież, niewiasty i mężczyźni przystępują do Komunii św., zachowując przy tym wzorowy porządek. Świadczy to o dużym wyrobieniu religijnym parafii i o gorliwej pracy jej duszpasterzy.

Wrażenie to pogłębiła uroczysta akademія, jaką urządzono na naszą cześć po nabożeństwie. Odbyła się na dużej sali gmachu szkolnego i była bardzo dobrze przygotowana i umiejętnie przeprowadzona. Kolejno witały nas liczne organizacje istniejące w parafii: dzieci szkolne, sodaliczje młodzieży męskiej i żeńskiej, „Junak“, stowarzyszenie matek chrześcijańskich, towarzystwo rolnicze, a w końcu X. proboszcz. W przemówieniach swoich, wygłoszonych w poprawnym języku polskim, podkreślali mówcy szczególnie tę okoliczność, że mogą u siebie witać razem biskupa polskiego i polskiego ministra. Nappełnia ich to niezmierną radością, bo okoliczność ta stanowi dla nich pocieszający dowód, że w nowej Polsce istnieje współpraca między Kościołem a Państwem. Ta zaś współpraca — to jest mocne ich przekonanie — jest dla nich gwarancją, że nowa Polska przetrwa wszystkie burze i stanie się wielką i potężną. Dziękując im za złożenie tak wspaniałego hołdu nam, albo raczej Kościołowi w Polsce i Oj-

czyźnie, których jesteśmy przedstawicielami, minister Grabowski i ja sam ze swej strony gorąco zachęcaliśmy ich w naszych przemówieniach do zgodnej współpracy między sobą na wychodźstwie i z narodem w starym kraju.

Po południu przy pięknej pogodzie urządziliśmy wycieczkę do wspaniałych dwóch wodospadów nad rzeką Rio dos Patos, odległych o kilka kilometrów od miasta. Pierwszy z nich mogliśmy podziwiać tylko z daleka, gdyż dzieliły nas od niego głębokie przepaście i parowy, pokryte bujnym dziewiczym lasem. Widok był naprawdę czarujący, aż przerażający w swej pierwotnej dzikości. Nie widać samej rzeki ani na wyższym tarasie, z którego rzuca się w przepaść ani w dolinie, gdzie już spokojnie płynie. Widać tylko sam spad olbrzymich mas wody, jeden gigantyczny spad, 64 metry w dół, i słychać jakby ryk dzikiej tryumfalnej radości, z jakim rzeka wciąż powtarza ten szalony skok w przepaść. Uderzając przy tym o skaliste koryto, część wód rozбивa się w miliony kropel, które unoszone przez wiatr, podobne w swoim skłębieniu do śnieżno-białych obłoków, płyną nad zielonymi lasami, strzegącymi tego cudu przyrody.

Drugi wodospad, o kilka kilometrów odległy od pierwszego, nie jest tak wysoki i tak dziki, ale niemniej malowniczy i niemniej piękny, a przy tym bardziej dostępny. Przedzierając się przez gęsty las, mogliśmy dotrzeć aż do dolnego brzegu koryta rzeki, zaledwie o kilkadziesiąt metrów od skali-

stej, poszarpanej, tworzącej olbrzymie półkule prawie czarnej ściany, przez którą biała, szeroka rzeka kilku tytanicznymi skokami, hucząc i pieniąc się jakby rozszalała, rzuca się w dół. U góry wodospadu, prawie na samej jego krawędzi, na sterczących z wody skałach dziwnym jakimś sposobem zakorzeniły się pojedyncze, smukłe palmy. Zdaje się, jakby chciały one przestrzec spokojnie nadpływające szerokim korytem fale przed tym, co im tutaj grozi. Daremnie! A może i niepotrzebnie, bo ma się wrażenie, jakoby fale nie tylko nie lękały się tego skoku w przepaść, ale świadome swej siły z młodzieńczą brawurą do niego się rwały. To nie krzyk rozpacz, to raczej krzyk żywiołowej rozkoszy, który moglibyśmy wysłuchać w huku, z jakim rzeka rzuca się śmiałymi kaskadami w przepaść. Ta rozkosz udzielała się i nam. Byliśmy tak oczarowani tym widokiem, że trudno nam było od niego się oderwać, a czekały nas jeszcze inne rozkosze, nie tak wprawdzie żywiołowe, ale niemniej podniecające nasze wrażliwe na wszelkie piękno zmysły.

Wybrało się z nami na tę romantyczną wycieczkę dość liczne towarzystwo z Prudentopolis, a przede wszystkim chór kościelny, zorganizowany i świetnie prowadzony przez X. Orszulika, pomocnika księdza proboszcza, dzielnego duszpasterza i niemniej dzielnego muzyka i kompozytora. Chór przezeń stworzony w Prudentopolis zdobył już słuszną sławę w całej Paranie. Urządził on

dla nas przeżył koncert, gdyśmy nareszcie oderwali się od cudnego wodospadu i rozłożyli się wygodnie w cieniu palm i piniorów. O ile żywiołowy koncert wodospadu, w którym odzywały się potężne głosy przyrody, przejął nas rozkosznym dreszczem, o tyle ten drugi koncert, w którym przemówiła do nas pieśnią dusza polska, nappełnił nas błogą, niemniej rozkoszną tęsknotą, unosząc myśli nasze ku dalekiej Ojczyźnie.

Wieczorem po powrocie do Prudentopolis ponownie mogliśmy podziwiać wysoko artystyczny poziom tego chóru i delektować się jego produkcjami. Tym razem wystąpił on z kolędami w oryginalnym, bardzo udatnym opracowaniu X. Orszulika. Sala szkolna, w której odbył się ten nastrojowy wieczór jasełkowy, była przepelniona nie tylko przybyłymi rodakami, ale i brazylijczykami. Obecny był nawet sam prefekt i sędzia. A nastrój był bardzo miły, naprawdę gwiazdkowy. Kolędy nasze tak się podobają brazylijczykom, że przejęli ich melodie albo motywy z nich do swych własnych portugalskich pieśni gwiazdkowych. Słyszeliśmy je w dniu następnym przy Mszy św., którą odprawiłem w brazylijskim kościele. Jest to głównie zasługą X. Orszulika, który przez działalność swoją na tym polu wybitnie przyczynił się do rozszerzenia polskiej kultury muzycznej w Paranie.

Rusini zajmują w Prudentopolis i okolicy bardzo silną pozycję, znacznie silniejszą niż Polacy.

Jest ich tu około 15.000. Posiadają dwie okazałe cerkwie, jedną starą drewnianą o typowo bizantyjskiej kopule, drugą nową, murowaną, także z kopułą, ale raczej o charakterze renesansowym. Piękne, bardzo bogato wyposażone jej wnętrze ma także raczej charakter renesansowy niż bizantyjski. Obok tej nowej cerkwi znajduje się śliczna, murowana, piętrowa rezydencja Ojców Bazylianów, którzy zajmują się pracą duszpasterską między swymi rodakami w tej okolicy. Składając im wizytę, znaleźliśmy w klasztorze jednego tylko młodego ojca, bardzo uprzejmego i miłego. Urodził się już w Brazylii; studia kapłańskie odbył w Rzymie; mówi po polsku, ale słabo. Przy klasztorze, w skromnej oficynie urządzili ojcowie małą drukarnię, w której drukują miesięcznik religijny. Mają także własne szkoły, prowadzone przez siostry. Jak już wspomniałem, stosunek Rusinów do Polaków na wychodźstwie jest na ogół poprawny, lojalny; nie ma między nimi walki, ale nie ma też współpracy. Choć mieszkają na tym samym terenie, żyją raczej obok siebie niż ze sobą.

Do parafii katolickiej, rozległej do 100 kilometrów w promieniu wzdłuż, a 60 km wszerz, należy około 500 rodzin polskich i 1300 niepolskich, razem mniej więcej 12.000 dusz. W samym „sede” istnieją, jak już wspomniałem, dwa kościoły: jeden przeznaczony dla brazylijskich nabożeństw, drugi dla polskich. Na „liniach” znajduje się nadto 9 kaplic, z tych trzy są polskie; nie ma atoli

żadnej polskiej szkoły. Dzieci z „linii“ uczą się polskiego języka przy nauce przygotowawczej do pierwszej spowiedzi i Komunii św. W samym natomiast miasteczku istnieje szkoła polska, prowadzona przez Siostry Miłosierdzia. Wskutek jednak dużej konkurencji, jaką stanowi dla niej brazylijska szkoła rządowa, liczy ona zaledwie 80 dzieci polskich.

Szkoła i plebania, kościół i duży zakład Sióstr, w którym znajduje się także szpitalik, tworzą obszerny, piękny kompleks. Wszystkie budynki znajdują się w dobrym stanie i są wzorowo urządzone. Przy plebanii i zakładzie Sióstr założono przepiękne, starannie utrzymane ogrody, pełne egzotycznych drzew i kwiatów; jest nawet winnica. Widać, że parafia miała zawsze dzielnych księży administratorów; inaczej bowiem nie mogłaby prawie z niczego stworzyć tak wzorowego wprost kompleksu budynków parafialnych. Kapłani jej byli niewątpliwie równocześnie gorliwymi, roztroptnymi duszpasterzami, gdyż niemniej wzorowo niż stan materialny parafii przedstawia się jej stan moralny. Panuje w niej zgoda i harmonia, serdeczna współpraca wiernych z duchowieństwem. Organizacje są liczne, obejmujące wszystkie stany i bardzo ruchliwe. Wrogich i nieprzychylnych Kościołowi prądów tu nie ma.

Proboszczem jest tu obecnie X. Zabrzeski ze Zgromadzenia Księża Misjonarzy, Ślązak. Jako żołnierz brał udział w wojnie wszechświatowej;

pozostało też w nim coś z żołnierza; jest stanowczy, energiczny, lubi karność i porządek, a przy tym jest spokojny i zrównoważony. O jego pomocniku, X. Orszuliku, już wspomnieliśmy.

Parafia istnieje dopiero od roku 1906. Nie o wiele dłużej istnieje samo miasto, ale tak parafia jak i ono szybko się rozwinęły. Dziś miasto już jest bardzo ważnym ośrodkiem, siedzibą prefekta i sędziego, ma oświetlenie elektryczne, szerokie ulice, ładne domki. Wielkie zasługi dla rozwoju miasta położyła polska rodzina Durskich, która niestety dziś już się wynarodowiła.

W samym mieście jest sporo poważnych kupców, rzemieślników i przedsiębiorców polskich, przeważnie jednak rodacy nasi siedzą w swoich koloniach na „liniach“, w bliższej lub dalszej odległości od „sede“.

Z Prudentopolis mieliśmy według ustalonego programu odwiedzić najdalej na zachód — w puszczy interioru Parany — wysunięte osiedla polskie nad rzeką Ivahy. Są to osiedla względnie młode, gdzie rodacy nasi muszą jeszcze staczać ciężką, pionierską walkę z dziewiczymi lasami i borami, gdzie tworzą dopiero kolonie dla siebie i swego potomstwa. Niestety, jak mnie poinformowano, równocześnie muszą prowadzić jeszcze inną walkę, o wiele bolesniejszą niż walka o chleb, bo walkę o wiarę ojców, o polską katolicką szkołę, o jedność i zgodę między sobą. Wdarło się bowiem w te osiedla sekciarstwo tak zwanego „kościola

narodowego". Wobec tego szczególnie zależało mi na odwiedzeniu rodaków w tych okolicach, by przyrzec się ich pracy pionierskiej, by zaznać się z ich warunkami życia, by przynieść im słowo pociechy, wzmocnić ich w wierze św. i zachęcić do zgody i jedności. Niestety, dojazd samochodem do tych osiedli był niemożliwy. Słońce wprawdzie znowu świeciło, ale jak nam doniesiono, drogi prowadzące do nich, bardzo uciążliwe nawet przy normalnej, słonecznej pogodzie, wskutek poprzednich deszczów tak się pogorszyły, że zaledwie konno można było je pokonać. Dlatego musieliśmy zrezygnować z tej wyprawy, a zdecydować się na powrót do Irati. Zrobiliśmy przez to duży zawód tamtejszym rodakom. Bo jak dowiedziałem się później od młodego X. Misjonarza, który tam wśród nich pracuje jako duszpasterz, czekali na nas aż do samej północy, Niestety daremnie. Zresztą, jak mi opowiadał, sytuacja pod względem wiary wcale nie przedstawia się tam tak rozpaczliwie, jak głosiły wieści. Olbrzymia większość kolonistów, przynajmniej 80 proc., nie tylko pozostała wierna Kościołowi św. lecz wobec niebezpieczeństwa, grożącego wierze ze strony sekciarzy stała się nawet bardziej aktywną i ruchliwą niż była dotąd.

Co słońce w krótkim czasie może zdziałać na brazylijskich drogach w interiorze, doświadczyliśmy sami, kiedyśmy wracali z Prudentopolis do Irati. Ta sama droga, dla której przebycia

bezpośrednio po deszczach potrzebowaliśmy aż 7 godzin, teraz po panującej przez półtora dnia słonecznej pogodzie wymagała od nas tylko 2 i pół godziny jazdy. Nie dziw, że Brazylijczycy twierdzą, iż słońce jest najlepszym inżynierem drogowym kraju.

W Irati mogłem jeszcze wspólnie z rodakami obchodzić uroczyste zakończenie roku. Nie spodziewali się tam mego powrotu, bo przecież z Prudentopolis miałem wybrać się do kolonij nad rzeką Ivahy. Mimo to kościół polski był przepiękny. Był to dla mnie nowy dowód, że życie religijne w Irati płynie głębokim i szerokim korytem, że tutejsza kolonia polska nie tylko manifestuje swój katolicyzm przy nadzwyczajnych okazjach, do jakich niewątpliwie należy przyjazd biskupa z Polski, ale że opiera na nim codzienne swoje życie. Ani sekciarstwo ani inne prądy nie odciągną jej od tego zdecydowanego stanowiska, lecz przeciwnie pobudzą ją do jeszcze większej czujności i aktywności katolickiej.

Nowy Rok przepędziliśmy prawie całkowicie w pociągu, wracając przez Penta Grossa do Kurytyby.

19. *Alto Paraquassu* *i Cruz Machado*

W piękny, ciepły poranek, dnia 7 stycznia 1935, w towarzystwie ministra dra Grabowskiego, konsula dra Kulikowskiego i czcigodnego ojca winy-tatora Bronnego opuściłem nareszcie już osta-tecznie Kurytybę, gdzie przeżyłem tyle wznie-słych, ale też i dużo denerwujących chwil. Mimo weczesnej godziny zjawili się na dworcu na pożeg-nanie nasze interwentor (gubernator) stanu Pa-rana, włoski konsul generalny, marszałek dr Szy-mański, personel polskiego Konsulatu generalne-go i spora grupa rodaków. Interwentor znów od-dał do naszej dyspozycji na dalszą podróż wygod-ny wagon salonowy.

Jedziemy w kierunku południowym do stanu Santa Catharina, gdzie zamierzamy odwiedzić choć jedną z nielicznych zresztą w tym stanie placówek polskich. O godz. 12-ej jesteśmy w mia-steczku Rio Negro nad rzeką tej samej nazwy. Jest to ostatnia na tej linii kolejowej stacja, należąca do stanu Parana. Jedyne most nad rzeką dzieli, albo raczej łączy ją z następną już w stanie Santa Catharina leżącą stacją miasteczka Mafra. Wsiadamy, serdecznie powitani przez małą gru-

pę rodaków, którzy osiedlili się w tym ważnym punkcie handlowym i komunikacyjnym. Są to przeważnie kupcy lub rzemieślnicy. Po obiedzie, który spożywamy w ich towarzystwie w niemieckim hotelu „Excelsior“, wyruszamy trzema samochodami w kierunku Itajopolis. Droga wskutek słonecznej pogody jest względnie dobra, po obu jej stronach, jak daleko oko sięga, ciągną się gęste lasy, tylko od czasu do czasu dostrzega się pojedyncze zagrody kolonistów.

Nareszcie lasy się kończą. Przed nami otwiera się szeroka polana, na której rozłożyło się około skromnego kościółka miasteczko Itajopolis, siedziba prefekta. Polskich kolonistów tu tylko garstka, główna ich siła znajduje się w odległym o osiem jeszcze kilometrów Alto Paraguassu. Nie zatrzymujemy się też tutaj długo. Po wymianie kilku serdecznych słów z rodakami jedziemy dalej. Znowu zaczyna się las. W pewnej chwili, już pod wieczór, zagradza nam drogę liczny barwny oddział jeźdźców. To polska banderia z Alto Paraguassu, która wyjechała naprzeciw nam, by nas tryumfalnie odprowadzić do miasteczka. Droga pnie się coraz wyżej po zboczach wysokiego wzgórza. Nareszcie jesteśmy na szczycie, 1115 m nad poziomem morza. Tu leży osada Alto Paraguassu, centrum licznych kolonij, jakie rodacy nasi założyli w tej okolicy, tak bardzo odległej od cywilizowanego świata.

Przed naprawdę wspaniałym, murowanym kościołem z wysoką daleko widzialną wieżą entuzjastycznie witają nas wielkie rzesze naszego ludu. Kwiaty, wiersze, przemówienia, szum wystrzelonych w powietrze rakiet. Barwna procesja z chorągwiami wprowadza nas w przepiękne wnętrze świątyni, niewątpliwie jednej z najpiękniejszych, jakie wybudowali nasi wychodźcy w Brazylii. Gorąco przemawia do mnie miejscowy duszpasterz X. Sojka ze Zgromadzenia XX. Misjonarzy. Niemniej gorąco odpowiadam tysiącom wiernych, wypełniających kościół.

Po nabożeństwie, podczas którego chór bardzo udatnie śpiewa nasze pieśni kościelne, odbywa się przyjęcie w domu T-wa Wzajemnej Pomocy. Jest to duży i piękny gmach, z wielką salą ze sceną i bocznymi pokojami. Znowu liczne przemówienia, deklamacje, a nawet korowody i tańce, wykonane przez dzieci, produkcje chóru, a wszystko na wysokim poziomie. Świadczy to o wielkich, skutecznych wysiłkach parafii na polu pracy oświatowej.

Szybko nadchodzi noc, łagodna, nawet ciepła. Niebo pełne gwiazd. Chór „Junaka“ urządza mi serenadę przed oknami mego pokoju na milutkiej plebanii. Wychodzę do dzielnych śpiewaków, i już razem śpiewamy to kolędy, to pieśni narodowe, to żołnierskie. Długo jeszcze przechadzam się na dużym placu między plebanią a kościołem. Jestem rozmarzony; trudno oprzeć się temu nast-

rojowi, gdy noc jest tak piękna, otoczenie tak egzotyczne, a tęsknota za daleką ojczyzną tak silnie rozbudzona przez pieśń polską.

Tej nocy wypocząłem wyjątkowo dobrze. Nie dziw, wszak tu na wysokości przeszło 1100 metrów powietrze jest czyste i świeże, nie ma też tu komarów, które by mi — jak gdzieindziej dokuczały.

Nazajutrz, podczas Mszy św. kościół znowu jest przepełniony, wszyscy śpiewają, a śpiewają bardzo dobrze. Sprawia mi to szczególną radość, bo wspólny śpiew kościelny to jedna z największych sił wiary i polskości. Dopóki nasz lud w kościołach będzie śpiewał nasze stare pieśni, dopóty zostanie katolickim i polskim, jak tego dowiódł lud śląski. Jeżeli lud ten, mimo że setki lat był odłączony od macierzy polskiej, a przyłączony do obcych państw, mimo że systematycznie usiłowano pozbawić go wiary i narodowości, pozostał jednak katolickim i polskim, zawdzięcza to głównie temu, że w kościołach swoich nigdy nie przestał śpiewać pieśni katolickich i polskich. Taką rolę wspólny śpiew kościelny może odgrywać także na wychodźstwie. Dlatego też wszędzie jak najgoręcej zachęcałem rodaków do zachowania i pielęgnowania go jak najgorliwiej.

Bardzo licznie też przystąpili rodacy podczas Mszy św. do Komunii św. Spotkałem tu wyjątkowo dużo starych kolonistów, którzy jeszcze pamiętają Polskę. Kobiety, szczególnie starsze,

zachowały na ogół piękny polski strój. Wszyscy są dobrze ubrani, zwłaszcza młodzież. Kolonia zdaje się być zamożna. Dawniej, jak mi opowiadano, mieli duży dochód z herwy przy stosunkowo małej pracy i małych kosztach produkcyjnych. To „zielone złoto“, niestety dziś mocno straciło na wartości. Wskutek tego „herwowa szlachta“, jak wychodztwo dowcipnie nazywało plantatorów herwy, musiało przerzucić się na inne produkty, dziś więcej opłacalne.

Po Mszy św. odwiedziłem szkołę, prowadzoną przez Siostry Szarytki. W trzech pięknych salach uczą tu Siostry około 80 dzieci. Przy szkole jest obszerny plac sportowy z odpowiednimi urządzeniami. Korzystają z niego nie tylko dzieci, ale i młodzież pozaszkolna.

Parafia Alto Paraguassu należy do najpiękniejszych i najlepiej zorganizowanych w Brazylii. Liczy mniej więcej tysiąc polskich rodzin, a dusz blisko 11.000. Duże zasługi około jej rozwoju położył X. Kominek ze Zgromadzenia XX. Misjonarzy, który tu przez długie lata był proboszczem. W serdecznej trosce o lepszą przyszłość kolonii szczególnie jej młodego, coraz liczniejszego pokolenia, gorliwy ten kapłan rozpoczął na szeroką skalę zakrojoną akcję celem nabycia nowych terenów kolonizacyjnych dla mniej więcej tysiąca rodzin. Niestety, wskutek rewolucji, która w tym czasie wybuchła, i wskutek nieuczciwości ludzi, akcja załamała się, udziały włożone w nią przez

licznych parafian straciły swoją wartość. W parafii powstał wielki niepokój, X. Kominek został odwołany. Działał on w tej niefortunnej sprawie na własną odpowiedzialność, bez upoważnienia Zgromadzenia XX. Misjonarzy. Mimo to Zgromadzenie odwołując go, oświadczyło gotowość pokrycia strat, jakie poszczególni parafianie w tej akcji ponieśli, co też w miarę środków, jakimi rozporządza, czyni. Dziś w parafii już nastąpiło prawie zupełne uspokojenie. Z radością mogłem stwierdzić, że do X. Kominka właściwie nikt nie ma żalu, bo wszyscy wiedzą, że w całej tej akcji kierował się jedynie dobrem wychodźstwa, a stał się ofiarą stosunków. Rodacy nadal go poważają jako największego dobroczyńcę kolonii; słusznie, gdyż pracując na tym posterunku przeszło 25 lat, był naprawdę ojcem tej wielkiej rodziny polskiej na brazylijskiej ziemi.

Wspominałem tu o tej przykrej sprawie, aby uwydatnić choć na jednym przykładzie ryzyko i trudności, z jakimi liczyć się musi każda akcja kolonizacyjna i emigracyjna w państwach Ameryki Południowej. X. Kominek organizując swoją akcję miał niewątpliwie najlepszą wolę. Nie chodziło mu o zyski, ani o spekulację, przy tym przebywając tak długie lata wśród kolonistów w Brazylii, znał miejscowe prawa i stosunki, a jednak przedsięwzięcie jego zakończyło się fatalnym niepowodzeniem. Cóż powiedzieć dopiero o akcji, kolonizacyjnej, podjętej dla zysku i spekulacji

przez ludzi niedoświadczonych czy nieuczciwych. Słyszałem o częstych wypadkach, że sprzedawano kolonistom tereny, które były już w posiadaniu innych, jak to się później okazywało, kiedy już nie można było nikogo pociągnąć do odpowiedzialności, albo o takich wypadkach, niemniej częstych, że sprzedano za wysoką cenę kolonie całkiem bezwartościowe. Niejeden z rodaków naszych został wskutek takich oszustw doprowadzony do rozpacz, utraciwszy wszystkie swoje oszczędności, a często jeszcze i zdrowie. Dzięki Bogu mamy dziś w Brazylii, Argentynie i innych państwach swoich konsulów, którzy czuwają nad naszymi wychodźcami i bronią ich przed wyzyskiem i krzywdą, lecz nie zawsze interwencja ich odnosi pożądany skutek, albo następuje zapóźno, kiedy już nic uratować nie można. W każdym razie należy ostrzegać przed różnymi organizacjami kolonizacyjnymi, szczególnie nie popartymi przez czynniki oficjalne, jak w ogóle przed lekkomyślną emigracją.

Emigracja do Ameryki Południowej zawsze pozostaje ryzykiem, gdyż życie w koloniach zawsze będzie ciężkie. Jeżeli ogół naszych wychodźców na koloniach w Brazylii i Argentynie, jakby wynikało z moich opisów — znajduje się dziś w znośnych lub nawet dobrych warunkach, to jedynie dlatego, że przeszli oni już wszystkie trudności, przyzwyczaili się do nich i wzięli się w tutejsze

stosunki. Ale ile ich to kosztowało ofiar, rozczarowań i pracy!

Po jednodniowym pobycie w Alto Paraguassu wracamy do Mafra, gdzie na stacji czeka nasz wagon. Wygodnie w nim ulokowani, wyruszamy około godziny 12-ej, dnia 8 stycznia, w dalszą podróż. Tor kolejowy biegnie wzdłuż rzeki Rio Negro aż do jej połączenia się z rzeką Iguassu, a potem wzdłuż tejże. W blasku zachodzącego słońca wijąca się po skalistym terenie wstęga rzeki wciąż zmienia swoją barwę, podobnie jak gęste lasy, wśród których niespokojnie wartkim płynie prądem. Gdyby nie kolej, zdawałoby się, że znajdujemy się w dzikiej puszczy, nietkniętej jeszcze cywilizacją. Dopiero późnym wieczorem około godziny 10-ej jesteśmy u celu dzisiejszej naszej podróży, w Porto Uniao.

Na dworcu witają nas „autoridades“ (władze miejscowe) i rodacy. Ojcowie Franciszkanie, którzy prowadzą tu pracę duszpasterską, zabierają mnie do swego pięknego klasztoru.

Klasztor ten i nowy murowany kościół obok niego wznoszą się na wzgórzu. Wspaniały stąd roztacza się widok na daleką okolicę, na srebrną wstęgę rzeki Iguassu i szeroką dolinę, którą rzeka ta przecina; na góry zielone, które ją jakby wieńcem otaczają, oraz na miasto, raczej dwa miasteczka, które tuż u stóp klasztoru się rozłożyły. Są to dwa miasteczka, bo choć zrosły się w jedno, należą do dwóch różnych stanów: Porto Uniao

do stanu Parana, a Uniao da Victoria do stanu Santa Catharina. Granicę między nimi stanowi tor kolejowy.

Oba miasteczka bardzo szybko się rozwijają i mają niewątpliwie wielką przyszłość przed sobą. Istnieje pono projekt utworzenia ze stanów Parana i Santa Catharina, może nawet z przyłączeniem stanu Rio Grande do Sul — jednego wielkiego stanu z nazwą Iguassu. Wtedy owe dwa miasteczka stałyby się stolicą nowego stanu. Położenie ich jest rzeczywiście idealne. Wszystkie warunki pozwalają im rozrósć się w wielką i piękną metropolię.

Kolonia polska jest tu nieliczna, składa się mniej więcej z 50 rodzin. Nie ma ani własnej szkoły i kościoła, ani też nauczyciela i księdza polskiego. Istniejące tu Towarzystwo Polskie jest bardzo mało czynne. Liczy tylko 8 członków. Posiada jednak własny, bardzo piękny Dom Polski z dużą salą, w dobrym położeniu. Widocznie dawniej w towarzystwie był większy ruch, inaczej nie zdobyłoby się na stworzenie tak poważnego ogniska. Opiekę duszpasterską nad katolikami w obu miasteczkach sprawują, jak już wspomnieliśmy, Ojcowie Franciszkanie. Sa oni przeważnie pochodzenia niemieckiego, tylko jeden z nich, ślązak z Glywic, mówi słabo po polsku. Niemcy stanowią widocznie największą grupę wśród mieszkańców obu miasteczek, szczególnie po stronie stanu Santa Catharina, gdzie żywioł niemiecki jest domi-

nujący. Kościół i klasztor Ojców Franciszkanów leży w stanie Santa Catharina. Jest tak duży, że właściwie wystarczyłby dla obu miasteczek, ale lokalny patriotyzm nie pozwolił na to, żeby parańska część osady pozostała bez własnej świątyni. Mieszkańcy jej wybudowali więc niemniej wspaśniały kościół po swojej stronie. Tu też odprawiłem nazajutrz po naszym przyjeździe Mszę św. Ponieważ nabożeństwo nie było poprzednio zapowiedziane, brała w nim udział tylko mała grupa rodaków.

Zresztą głównym celem naszej wyprawy w te okolice nie były te dwa miasteczka, lecz wielka polska kolonia C r u z M a c h a d o, odległa stąd kilkanaście kilometrów i położona w górach. Dużo słyszeliśmy o tej kolonii. Opowiadano nam, że znajduje się ona w szczególnie trudnych warunkach i że z tego powodu panuje w niej niepokój i niezadowolenie, że wskutek złych dróg jest odcięta od cywilizowanego świata. Wieści te oczywiście nie mogły nas odstraszyć, ale raczej jeszcze więcej zachęciły do odwiedzania tej osady.

Drogi były rzeczywiście uciążliwe, ale bynajmniej nie gorsze, niż inne w górzystym interiorze Brazylii. Przy tym sprzyjała nam cudowna wprost pogoda. Zaraz za miastem drogę przerwała nam szeroka rzeka Iguassu. Trzeba było przeprowadzić się przez nią przy pomocy prymitywnego promu. Potem już droga nasza szła przez gęsto zalesioną puszcę, to przecinając głębokie

doliny, to pnać się po skalistych zboczach gór na szczyt Serry d'Esperanza, to znowu spuszczać się w ciasne wąwozy.

Wciąż nowe, coraz piękniejsze widoki otwierały się przed zachwyconymi naszymi oczyma: wspinałe wodospady, bezdenne przepaści, wstęga rzeki Iguassu, wijąca się między skałami, a biała od wzburzonej wody, dziwaczne kształty gór. Rzadko tylko dostrzegaliśmy w tym dzikim, romantycznym krajobrazie ślady cywilizacji, jak np. plantacje trzciny cukrowej, ryżu, tytoniu i kukurydzy. Przy jednym z wodospadów spostrzegliśmy elektrownię, dostarczającą światło i siłę do Porto Uniao, a przy drugim mały tartak.

Setki tysięcy hektarów dziewiczej ziemi, pokrytej pierwotnymi borami, czekają tu jeszcze na pionierów, którzy by ją ujarzmili, aby służyła ludzkości. Nie jest to atoli ziemia bezpańska, bo należy albo do państwa albo do prywatnych właścicieli. W naszych ciasnych europejskich stosunkach nie mamy wprost pojęcia, jak wielkie obszary ziemi znajdują się tutaj w rękach pojedynczych właścicieli. Po drodze jechaliśmy przez „fazendę“ (majątek ziemski), obejmującą, jak mi opowiadano, niemniej niż trzysta tysięcy mórg. A są w Ameryce Południowej majątki jeszcze większe. Jest więc niewątpliwie na ziemi jeszcze dużo miejsca dla ludzi. Chodzi tylko o to, żeby uprzystępnić ją dla nich, zgodnie z wolą Bożą. Nie na to bowiem stworzył Pan Bóg ziemię i utrzymuje ją, żeby po-

została puszcza, ale żeby dostarczała wszystkim ludziom chleba i pracy oraz miejsca na mieszkanie.

Była już godzina 4-a po południu, gdy nareszcie po sześciogodzinnej jeździe, przzerwanej tylko krótkim postojem przy precudnych kaskadach rzeki Palmital, dotarliśmy do C r u z M a c h a d o. Portugalska ta nazwa znaczy: „Krzyż i siekiera“. Stosowna to nazwa dla tej osady, bo krzyż i siekiera, czyli wiara w Opatrzność Boską i wytężona praca siekierą zdobyły ten skrawek wielkiej, dzikiej puszczy dla cywilizacji. A wielką musiała być ta wiara i praca, by dokonać tego dzieła, bo warunki kolonizacji były tu rzeczywiście szczególnie trudne. Ale krzyżem i siekierą dzielni nasi rodacy pokonali wszystkie trudności. Wprawdzie dziś jeszcze położenie ich nie jest świetne, ponieważ gleba na kamienistym podłożu nie jest urodzajna, poza tym jest stąd dość daleko do ośrodków handlowych, gdzieby mogli sprzedawać korzystnie swoje produkty. Ale już mocno się tu usadowili i stworzyli sobie podstawy dla lepszej przyszłości. A lepsza ta przyszłość niewątpliwie, prędzej czy później, nadejdzie, skoro tylko poprawią się warunki komunikacyjne.

Kolonia nie jest czysto polską, choć polscy koloniści stanowią główną jej siłę. W okręgu duszpasterskim, obejmującym tę kolonię, a sięgającym na sto kilometrów wzdłuż i wszerz, znajduje się około 600 rodzin polskich, 400 ukraińskich,

250 brazylijskich i 250 niemieckich (przeważnie protestanckich).

Duszpasterzami nad tą liczną, rozproszoną i tak różnorodną gromadą, są dwaj polscy księża Misjonarze, z których jeden, X. Madej, rezyduje w samym C r u z M a c h a d o, drugi zaś, X. Olszówka, w o-18 km odległej kolonii S a n t a A n n a. Nie mogłem odwiedzić tej ostatniej, gdyż samochodem dojechać do niej było niemożliwe, a konno jeździć niestety jeszcze się nie nauczyłem. Zbyt zaś ryzykowne byłoby zrobić pierwszą próbę w tej rycerskiej sztuce na karkołomnych ścieżkach, prowadzących do Santa Anna. Poza tym brakło mi na to i czasu, gdyż jeden tylko dzień mogliśmy poświęcić tej wielkiej kolonii, a program, jaki ułożono dla naszego krótkiego pobytu, był dość obfity. Składało się nań uroczyste powitanie na wielkim placu w środku osady, pięknie przyozdobionym bramami tryumfalnymi, procesja z muzyką do kościoła, tam nabożeństwo z kazaniem, przyjęcie w nowowynbudowanej, jeszcze nie całkiem wykończonej sali parafialnej, drugie przyjęcie w ludowym domu T-wa im. Bartosza Głowackiego, nazajutrz Msza św. z kazaniem, poza tym pogadanki z ludem naszym. Na ogół w kolonii panuje duch dobry. W p r a w d z i e, jak już wspomniałem, warunki kolonii są dość ciężkie, ale biedy nie ma. Nie ma też niezadowolenia i niepokoju. Są wprawdzie jednostki, przeważnie z półinteligencji, które mają pretensje, czy to do przedsta-

wicieli państwa polskiego w Brazylii, czy też do Kościoła, że mało czynią dla kolonii i w ogóle dla wychodźstwa w Paranie. Ale pretensje ich, jak np. takie, że rząd polski nie stworzył banku polskiego, a Kościół stolicy biskupa polskiego w Paranie itp. — są niesłuszne. Rzucanie takich i podobnych fantastycznych postulatów w masę, to demagogia, która przyczynia się tylko do osłabienia akcji wychodźstwa we właściwym kierunku. Dzięki Bogu, ogół wychodźców stoi na gruncie ale raczej opierając się na własnych siłach. I to realnym, nie oglądając się za pomocą z zewnątrz, słusznie, gdyż siły ich są zdrowe i poważne.

Na obu nabożeństwach, jakie odprawilem, miły drewniany kościół był przepełniony. Przed Mszą św. lud śpiewał godzinki, a podczas Mszy św. kołędy. Śpiewał je niegorzej jak u nas lud po wsiach. Widać stąd, że rodacy w Cruz Machado zachowali stare zwyczaje polskie, że wiara ich pozostała żywą, tak samo jak miłość ich do Ojczyzny. Nie ma też między nimi sekciarstwa ani innych sporów, które by mogły ich rozbić. Nie jest więc źle w kolonii, jak tego się obawialiśmy na podstawie różnych pogłosek, które usłyszeliśmy poprzednio. Cruz Machado zasługuje niewątpliwie na lepszą opinię, niż ją dotąd posiadało.

W powrotnej drodze do Porto Uniao krajobraz wydał nam się bardziej jeszcze czarującym niż w dniu poprzednim. Nigdzie nie widać było

skrawka nagiej ziemi ani piasków ani skał. Wszystko wprost tonęło w bujnej zieleni lasów i pól: góry, doliny, przepaście i rzadkie zagrody. Od czasu do czasu przeblyska jedynie przez zielen srebrna wstęga rzeki Iguassu. Ruch na drodze jest stosunkowo duży. Często spotykamy ciężkie, szerokie wozy. Trudno je wyminąć, ponieważ droga jest wąska, wijąca się nad przepaściami; trudno nawet wyminąć jeźdźców, gdyż konie lękają się samochodu. Po obu zaś stronach drogi bór jest tak gęsty, że niepodobna skierować weń konia, by bezpiecznie wyminął tę piekielną maszynę, jaką mu się wydaje samochód.

Po drodze spotkaliśmy także małą grupę półdzikich Indian z łukami i strzałami. Rzadki to tu dziś widok. Mimo iż przebywałem w Południowej Ameryce z górą trzy miesiące i głęboko zapuściłem się w głąb tego kontynentu, ani przedtem ani później — poza tym jednym razem — nie zetknąłem się z czerwonoskórymi potomkami dawnych panów tego olbrzymiego kraju. Cywilizacja białego człowieka, do której widocznie nie potrafili się przystosować, wyniszczyła ich, albo zmusiła do cofnięcia się w puszcze, do których jeszcze nie dotarła. Smutna to historia! A zdaje się, że skończy się całkowitym wyniszczeniem Indian. Bo choćby nawet dzisiejsi biali władcy na tym kontynencie kierowali się większą względem nich sprawiedliwością, niż czynili to ich poprzednicy, to i tak nikłe owe resztki szcze-

pów indiańskich nie mają już w sobie tyle żywotnych sił, aby się podnieść ze swego upadku.

Wieczór już nadchodził, gdy znowu stanęliśmy nad brzegiem rzeki Iguassu, aby przeprowadzić się na drugą jej stronę, po której leży Porto Uniao. Zachodzące słońce precudnymi kolorami maluje szeroką wstęgę rzeki. W głębokich, spokojnie płynących wodach odzwierciadlają się ciemno-zielone lasy nadbrzeżne z jednej strony, a z drugiej — czerwone dachy domów miasteczka. Błękit nieba coraz bardziej ciemnieje, w przeczystym powietrzu ostro rysują się góry na dalekim horyzoncie, a tuż przed nami na wzgórzu, wznoszącym się łagodnie nad brzegiem rzeki, lśnią opromienione ostatnim blaskiem zachodzącego słońca smukłe białe wieże kościoła Ojców Franciszkanów. Przepiękny to krajobraz, precudny wieczór. Choć zmęczeni przeżyciami pracowitego dnia, odczuwamy cały urok, jakim obdarzyła przyroda ten skrawek brazylijskiej ziemi.

W Porto Uniao pozostaliśmy jeszcze cały następny dzień. Na Mszę św., którą odprawiłem w kościele franciszkańskim, zebrało się około stu rodaków, przeważnie kobiety. Podczas nabożeństwa śpiewały polskie Siostry ze Zgromadzenia Rodziny Maryi, które prowadzą tu szpital miejski. Ochrzcilem tu także czworo dzieci polskich, z których troje miało już po kilka lat. Wobec braku polskiego księdza wiara w kolonii widocznie już osłabła. Trudno jednak stworzyć tu stałą pol-

ską placówkę duszpasterską, tak samo trudno utrzymać tu polską szkołę, ponieważ kolonia, przynajmniej na razie, jest nieliczna, a przy tym jak już wspomniałem, z wyjątkiem kilku jednostek mało ruchliwa. Do tych ruchliwszych jednostek należy tu: dr Ludwik Wolski, adwokat i p. Kowalewski, właściciel dobrze prosperującego garażu. Obaj wyrobili już sobie w Porto Uniao poważną pozycję społeczną, może im się też uda wnieść więcej życia w kolonię. Wobec tego, że Porto Uniao i złączone z nim drugie miasteczko, Uniao da Victoria, ma, jak należy się spodziewać, wielką przed sobą przyszłość, byłoby pożądanym, żeby tutejsza kolonia polska także licznie się wzmocniła.

Poza kościołem spotkaliśmy się jeszcze z rodakami w pięknym domu towarzystwa „Polonia“ na obiedzie i na kolacji. W obiedzie brali także udział prefekt z Porto Uniao i wiceprefekt z Uniao da Victoria. Jak zawsze przy takich okazjach, wygłoszono liczne przemówienia w języku polskim i portugalskim. Nastrój był miły i serdeczny.

Późnym wieczorem wróciliśmy do naszego wagonu na dworcu, skąd około północy pociąg nasz wyruszył w dalszą podróż w kierunku Ponta Grossa, ostatniej placówki polskiej w stanie Parana, jaką według ustalonego planu wypadało nam jeszcze odwiedzić.

20. *Ponta Grossa*

Ciekawe to miasto, największe po Kurytybie w stanie Parana, liczące ponad 35.000 mieszkańców, znane jest ze swego najwyższego ze wszystkich miast Brazylii położenia, wznosi się bowiem na wysokości blisko 1000 metrów nad poziomem morza. Szeroko rozbudowane na olbrzymim półkulistym wzgórzu, panuje ono nad daleką okolicą. Patrząc z głównego placu przed katedrą, wznoszącą się na samym szczycie kamiennej kopuły — jak wzgórze to z daleka się przedstawia — ku wyłotom szerokich ulic, ma się wrażenie, jakoby one ze wzgórza opadały w próżnię lub w morze. Dziwne to wrażenie wywołują bezbrzeżne stepy, z których Ponta Grossa wyrasta jak wyspa z fal morza.

Nie bez słuszności nazywają też to miasto „księżniczką stepów“, króluje bowiem nad nimi wskutek swego położenia na wzgórzu, oraz jako ośrodek ich życia gospodarczego i politycznego, jako ważny punkt komunikacyjny, siedziba prefekta i biskupa.

Nie można atoli powiedzieć, by ta „księżniczka stepów“ była szczególnie urocza. Ponta Grossa

czyni wprawdzie duże wysiłki, by nadać sobie charakter nowoczesnego miasta; nigdy atoli nie będzie miastem pięknym i przyjemnym. Nie pozwalają na to tumany kurzu, które przy najmniejszym podmuchu wiatru podnoszą się ze stepu i przepływając przez miasto pokrywają gęstym, brudno-czerwonawym pyłem domy, ulice i place, wdzierając się nawet do samych mieszkań. Brak też w samym mieście i okolicy zieleni lasów, parków i ogrodów. Trudno będzie je stworzyć wobec niekorzystnych dla roślinności warunków stepowego klimatu. Sam step, choć po deszczach wiosennych szybko się zazielenia, pod działaniem podzwrotnikowego słońca równie szybko wysycha, przemieniając się w szarą, melancholijną pustynię. Wskutek wysokiego położenia miasta, wystawionego przy tym bezbrinnie na wszystkie wichry stepowe, zima jest tu nader dokuczliwa.

Mimo to ta „księżniczka stepów“ ma swój urok. Polega on przeważnie na szerokich widokach, jakie tu ze wszystkich stron miasta się otwierają, na przedziwnej grze kolorów, jakie słońce, szczególnie przy wschodzie i zachodzie, rzuca na olbrzymią kopułę nieba, którą tu w całości jednym spojrzeniem może objąć oko; na melancholijnym nastrój fałstego, bezbrzeżnego — jakby się zdawało — stepu, otaczającego miasto; na błogim uczuciu swobody, jakie w duszy wywołuje ten stepowy krajobraz o dalekich widnokręgach; na kontraście europejskiej cywilizacji, jaka kształtuje już

życie miasta, do pierwotności przyrody i życia stepu, wkraczającego w samo serce miasta.

Poza tym istnieją widocznie w Ponta Grossa również dobre warunki gospodarcze. Inaczej nie możnaby zrozumieć, dlaczego właśnie tu, w stepach, powstało tak wielkie, jak na stosunki brazylijskie, i tak ruchliwe miasto o charakterze już nie kolonialnym, ale raczej europejskim, nowoczesnym, planowo zbudowane z szerokimi ulicami, krzyżującymi się pod prostym kątem, z wielkimi, dobrze uregulowanymi placami, z murowanymi ładnymi domami, z nową okazałą katedrą. Niewątpliwie Ponta Grossa ma przed sobą pomyślną przyszłość. Spostrzegli to także nasi wychodźcy, dlatego też osiedlili się tu w dość dużej liczbie.

Na nieszczęście przybył tu awanturnik ze starego kraju, który poparty także przez pewne oficjalne czynniki założył kościół sekciarski, rozbijając tym samym kolonię polską na dwa obozy: katolicki i sekciarski. Jak mi opowiadano — zanim jeszcze przybyłem do Ponta Grossa — stosunki, jakie na tle walki religijnej wytworzyły się w kolonii polskiej, przedstawiały się wprost rozpaczliwie. Siła sekciarzy była tu pono większa niż w innych placówkach, gdzie także się zagnieźdźili, a wódz ich szczególnie agresywny, katolicy natomiast i ich duszpasterz — jak mi opowiadano — mało aktywni. Nic więc dziwnego, że wobec takich pogłosek przyjechałem do Ponta Grossa z du-

żym niepokojem, obawiając się, by moja misja religijna nie spotkała się tu z niepowodzeniem. Byłoby to przykrym zakończeniem mej wielkiej, wszędzie tak błogiej w skutki podróży apostołskiej poprzez kolonie naszego wychodźstwa w Paranie. Bo właśnie Ponta Grossa miało stanowić ostatnią stację na drodze mej pielgrzymki w tym stanie. Dzięki Bogu, obawy moje okazały się płonnymi. Z radością mogę stwierdzić, że także w Ponta Grossa sprawa katolicka, sprawa Chrystusowa mocno stoi wśród naszego wychodźstwa. I w Ponta Grossa moja misja apostołska miała pełne powodzenie. Siły sekciarstwa i tu — jak w innych miejscowościach — już się załamały.

Sam wjazd nasz do miasta — a towarzyszyli mi minister Grabowski, konsul Kulikowski i czcig. X. wizytator Bronny — przybrał charakter tryumfalny. Na dworcu, gdzieśmy stanęli około godz. 12-ej, dnia 12 stycznia, witała nas muzyka wojskowa, witali nas również miejscowy biskup i autoridades oraz wielka grupa rodaków. Większym jeszcze tryumfem stały się nabożeństwa, które odprawiłem tego samego dnia wieczorem i w następnym dniu rano w kościółku polskim. Jest to rzeczywiście kościółek, mały i ciemny, chociaż wewnątrz bardzo pięknie urządzony.

Ale tuż obok na dużym placu wznoszą się już dość wysoko mury nowej, obszernej świątyni. A potrzebna jest tu taka obszerna świątynia. Bo, mimo zbałamucenia pewnej części kolonii przez

sekcjarstwo, liczba wiernych katolików pozostała tak wielką, że nie może się pomieścić w dotychczasowej skromnej świątyni, jak to ku mej wielkiej radości mogłem stwierdzić z okazji obu nabożeństw. A ponieważ sekcjarstwo, wywołując w ich szeregach stanowczą reakcję, pobudziło ich do większej niż dotąd aktywności katolickiej, uzasadniona jest nadzieja, że dzieło budowy nowego, odpowiedniego kościoła, chwilowo przerwane, — na nowo zostanie podjęte i w krótkim czasie doprowadzone do końca.

Nastrój w czasie jednego i drugiego nabożeństwa był podniosły, a postawa ludu, wśród którego przeważali mężczyźni — wspaniała; podczas Mszy św. wielka liczba osób przystąpiła do Komunii św.

W kazania swoje włożyłem całą swą duszę katolicką i polską i przemówiłem tak mocno, że w końcu wyczerpany ze wszystkich sił, musiałem się aż trzymać ołtarza, by nie upaść. Ale czułem się szczęśliwym, gdyż miałem to przekonanie, że słowa moje padły na glebę dobrą, że siła ich zdobyła dusze rodaków, wzmocniła ich w wierze św. i miłości do ojczyzny, dodała im nowej energii do akcji nad przywróceniem jedności w tutejszej kolonii.

Nie mogli tego oczywiście wypowiedzieć w samym kościele, lecz powiedzieli to stanowczo na uroczystej akademii, którą urządzili na naszą cześć w wielkiej przepelnionej sali. Widocznie na aka-

demie tę oprócz wiernych katolików przybyło także sporo rodaków, którzy dotąd raczej skłania-
li się do sekciarstwa. Sama akademia stała na
wysokim poziomie. Deklamacje wygłoszone przez
dzieci i tańce przez nie wykonane wypadły bar-
dzo dobrze; tak samo śpiewy chóru i liczne prze-
mówienia rodaków. Świadczy to wymownie, że
w kolonii zapanował nowy duch, że już została
podjęta w niej świadoma celów akcja katolicka
i polska.

Do tego pomyślnego zwrotu w wielkiej mierze
przyczyniły się polskie Siostry ze Zgromadzenia
św. Rodziny, które tu przed 2 laty otworzyły pol-
ską szkołę. Szkoła ta coraz lepiej się rozwija;
dziś już uczęszcza do niej większość dzieci pol-
skich, natomiast szkoła sekciarzy upada.

Trudno stwierdzić, jakimi siłami sekciarstwo
jeszcze rozporządza, ale zdaje się, że znajduje się
w pełnym rozkładzie. Sekciarze się już kłócą mię-
dzy sobą i ze swoim pasterzem. Dla usprawiedli-
wienia swego odstępstwa od wiary ojców powo-
łują się oni na to, że katolicy i ich duszpasterze
wykazali rzekomo za mało ducha narodowego;
nowy „kościół“, który sami stworzyli, miał być
„kościółem narodowym“, kościołem „polskim“.
Tymczasem sami już porzucili tę nazwę, a ich przy-
wódca próbuje pozyskać dla swego „kościoła“ nie-
polaków, rusinów i brazylijczyków. Potwierdza się
także w tym wypadku fakt, że kościół rzekomo
„narodowy“ w gruncie rzeczy jest antynarodowym.

W każdym razie wszędzie, gdzie powstaje, osłabia on ducha narodowego, polskiego, choćby już przez to samo, że rozбивa społeczeństwo. Nie mając bowiem w sobie siły wewnętrznej, a przede wszystkim pierwiastka boskiego, nigdzie i nigdy nie zdoła on pociągnąć za sobą ogółu społeczeństwa; może je tylko rozbić i pokłócić. Dlatego już z punktu widzenia czysto narodowego i politycznego należałoby sekciarstwo raczej zwalczać niż popierać, zwłaszcza na wychodźstwie, gdzie wobec słabości sił polskich — jedność i solidarność wszystkich jest szczególnie wskazana. Niestety, różne czynniki mniej lub więcej wpływowe nie zdają sobie z tego sprawy, i nie wiadomo z jakich pobudek przyczyniają się do rozbitcia wychodźstwa, do osłabienia sił jego przez popieranie sekciarstwa lub wolnomysłicielstwa. Ma się niekiedy wrażenie, jakoby im nie chodziło tyle o wzmocnienie polskiego ducha i polskiej siły wśród wychodźstwa, ile raczej o osłabienie jego ducha religijnego, a szczególnie o osłabienie wpływu polskich katolickich księży i polskich katolickich organizacyj na wychodźstwie.

Szkodliwa to robota, bo jak już kilkakrotnie stwierdziliśmy, religia katolicka jest największą polską siłą, a polski ksiądz katolicki najważniejszym czynnikiem życia polskiego na wychodźstwie. Jeżeli wychodźstwo nasze w Brazylii i Argentynie, podobnie jak w Ameryce Południowej nie tylko zachowało swoją narodowość, ale stworzyło tam

potężną Polonię, nową duchową Polskę, zanim jeszcze Polska zmartwychwstała w starym kraju, jest to głównie zasługą polskich księży katolickich.

Naturalnie trafi się tu i tam na wychodźtwie — zresztą bardzo rzadko — także ksiądz słaby, nieodpowiedni, ale to jest jeszcze nie powód, by oderwać wychodźstwo od Kościoła św., tak samo jak na przykład słaby nieodpowiedni konsul nie może być powodem do zerwania łączności i współpracy wychodźstwa ze starym krajem. Słabych ludzi na ważnych stanowiskach łatwo można zastąpić silnymi, jeżeli się czyni odpowiednie kroki w odpowiednich instancjach. Dzięki Bogu w narodzie polskim nie brak ani zdolnych księży, ani zdolnych urzędników.

Duszpasterz polski, którego spotkałem w Ponta Grossa, jest niewątpliwie kapłanem bardzo miłym, pobożnym oraz bardzo gorliwym; jest pochodzenia polskiego, ale wychowany w obcych, niepolskich szkołach, słabo mówi po polsku i może też nie ma tej świadomości narodowej i tego zrozumienia polskiej duszy, jakiegoby sobie życzyła kolonia polska. Będąc przy tym wątłego zrozwia i łagodnego usposobienia, nie mógł rozwinąć takiej energii i inicjatywy, jaka byłaby pożądana na tej trudnej placówce, — szczególnie wobec brutalnych ataków sekciarzy. Wskutek tych okoliczności wymowny i ruchliwy przewodca sekciarzy mógł zbałamucić pewną część kolonii w Pon-

ta Grossa, większość jej jednak nie uległa jego wpływom, lecz przeciwnie obudziła się do większej, niż dotąd, aktywności. Żeby jednak móc skuteczniej przeciwdziałać sekciarstwu i zlikwidować je, powinna nastąpić zmiana osoby duszpasterza. Kolonia w Ponta Grossa potrzebuje księdza, który by dobrze mówił po polsku, był narodowo uświadomiony i umiał się wczuć w specjalne nastroje wychodźstwa, a był przy tym ruchliwy i wymowny.

Przedstawiłem tę sprawę miejscowemu biskupowi i znalazłem u niego zrozumienie. Prawdopodobnie dziś już inny, odpowiednio wykwalifikowany ksiądz polski pracuje w Ponta Grossa. Wobec tego należy się spodziewać, że wychodźstwo nasze na tej ważnej placówce odżyje nowym życiem i wybuduje nowy, odpowiedni kościół, stworzy własny Dom Polski z dużą salą, którego tam dotąd nie ma, oraz rozwinie intensywną akcję katolicką i polską i wyrobi sobie warunki i wpływy społeczne i gospodarcze, jakie powinno posiadać w tym ruchliwym, szybko rozwijającym się mieście. I pod tym względem sekciarstwo działało szkodliwie, gdyż rozbilo nie tylko solidarność Polonii, osłabiając przez to samo jej siłę społeczną, ale wywołało także reakcję w katolickim społeczeństwie brazylijskim, co niewątpliwie odbiło się ujemnie na całej Polonii. Pewne wpływowe koła brazylijskie podjęły już nawet akcję celem

spowodowania władz do interwencji w sprawie polskiego sekciarstwa. Przestrzegałem przed taką akcją, bo sekciarstwa nie zwalczy się środkami policyjnymi, ale pozytywną pracą katolicką, szczególnie zaś modlitwą. Posługiwanie się środkami policyjnymi może tylko powstrzymać wewnętrzny rozkład, któremu prędzej czy później ulegnie każde sekciarstwo, a na tej drodze znajduje się już widocznie sekciarstwo w Ponta Grossa.

Młody gorliwy biskup w Ponte Grossa, mimo przykrości, jakie sprawił mu ruch sekciarski w polskiej kolonii, nie utracił zaufania do naszego wychodźstwa, lecz nadal odnosi się jak najprzychylniej do niego i do jego religijnych potrzeb. W skromnej, ale miłej swojej rezydencji przyjął mnie najserdeczniej i udzielił wszelkiej pomocy przy spełnieniu mej misji apostolskiej. Niestety, jeden tylko dzień mogłem poświęcić tej ważnej, a przy tym tak trudnej placówce. Mam jednak wrażenie, że i ten krótki mój pobyt nie był daremny. W każdym razie opuściłem Ponta Grossa z tym radosnym przekonaniem, że polska nasza kolonia w tym mieście odżyła już na nowo.

Ponta Grossa, jak wspomniałem, była ostatnią stacją na drodze mej pielgrzymki apostolskiej w stanie Parana. Podczas całej tej pielgrzymki, trwającej blisko cztery tygodnie, od Paranagua aż do Ponta Grossa, towarzyszył mi X. wizytator Bronny, przełożony licznego grona XX. Misjona-

rzy, pracujących jako duszpaście na licznych placówkach polskich w stanie Parana, a także na niektórych w stanie R i o G r a n d e d o S u l.

Nikt nie zna tak dobrze stosunków i nastrojów oraz trudności wśród naszego wychodźstwa w Brazylii jak ten wytrawny, światły, ruchliwy i energiczny misjonarz. Nic w tym zresztą dziwnego, przecież pracuje wśród nich już zgórą trzydzieści lat. Mimo długoletniej pracy misjonarskiej w najtrudniejszych warunkach, mimo różnych rozczarowań i licznych trosk, mimo wielkiej odpowiedzialności, jaka szczególnie ciąży teraz na nim, jako na przełożonym tak licznej rzeszy księży, rozproszonych po dwóch wielkich stanach — X. wizytator Bronny zachował młodzieńczą energię, zdrowy optymizm, pogodne usposobienie, gorącą wiarę i gorący patriotyzm polski. Miło było z takim towarzyszem, albo raczej przewodnikiem podróżować przez ten ciekawy kraj, dla mnie obcy, egzotyczny, a dla niego znany i przezeń ukochany. To też smutno mi było, gdy w Ponta Grossa trzeba było się z nim rozstać, może na zawsze. Wrócił do Kurytyby, tak samo jak konsul dr Kulikowski, który mi także towarzyszył podczas wielkiej części mej podróży apostolskiej w tym najwięcej polskim stanie Brazylii. Na dalszą drogę, która miała nas zaprowadzić do S a o P a u l o, stolicy stanu tej samej nazwy, i do Rio de Janeiro, stolicy Brazylii, pozostał ze mną już tylko minister dr Grabowski.

Byliśmy bardzo zmęczeni, kiedy, serdecznie żegnani przez drogich rodaków, ulokowaliśmy się w wygodnym naszym wagonie, odczuwaliśmy jednak przy tym błogie zadowolenie, ponieważ opuszczając Paragę mogliśmy sobie powiedzieć, że wspólne nasze wysiłki celem podniesienia ducha naszego wychodźstwa w tym stanie nie były daremne. Wspólna podróż polskiego ministra i polskiego biskupa przyczyniła się niewątpliwie w wysokim stopniu do pogłębienia wiary i miłości ojczyzny w sercach kilkuset tysięcy rzeszy dzielnego naszego wychodźstwa, które osiedliło się w tym pięknym kraju; do wzmocnienia ich łączności między sobą i ze starym krajem, do rozwinięcia przez nich energicznej akcji celem zapewnienia sobie w tym stanie takiej pozycji i takich wpływów, jakie na podstawie swej liczebności i pracy pionierskiej powinni posiadać. Łatwo wychodźcy nasi będą mogli zdobyć tę pozycję i te wpływy, jeżeli tylko solidarnie między sobą współpracować będą szczególnie w dziedzinie oświaty, nie dopuszczając do rozbicia swych żywotnych sił przez jakiekolwiek sekciarstwo religijne, czy polityczne. Bo istnieje tu i „polityczne sekciarstwo“, jak można nazwać prądy, zmierzające do narzucenia wychodźstwu partyjnych haseł i kierunków ze starego kraju. Dzięki Bogu, ogół wychodźstwa rozumie to i dlatego tak stanowczo opiera się narzuceniu mu myśli niekatolickiej i niepolskiej; organizuje się natomiast coraz świadomiej, rozwijając

**szeroką akcję oświatową pod jedynie zbawiennym
hasłem: Bóg i Ojczyzna.**

**Wobec tego nie wątpię, że Polonia Parańska —
stanie się z czasem wielką potęgą, jedną z najpię-
kniejszych prowincji wielkiej Polonii zagranicznej.**

21. *Sao Paulo*

W Ponta Grossa wyczerpał się nareszcie ustalony program mej pielgrzymki wśród naszego wychodźstwa w Brazylii. Wprawdzie z różnych placówek, nim nie objętych, rodacy zwracali się z usilną prośbą do mnie, bym także ich odwiedził. Szczególnie gorąco proszono mnie, bym zapuścił się jeszcze w bory i lasy stanu *Espírito Santo* na północ od Rio de Janeiro, już blisko równika, gdzie znajdują się najmłodsze osiedla naszych wychodźców, żyjących i pracujących tam w wyjątkowo trudnych warunkach. Ale trudno było mi przychylić się do tych prośb. Wszak byłem już cztery miesiące poza diecezją. Zresztą już raz, ulegając podobnym prośbom, odłożyłem termin mego odjazdu z Brazylii o 10 dni. Nie mogłem tego ponownie uczynić. Trzeba było ostatecznie zdecydować się na powrotną drogę do Polski.

Jedyne ustępstwo, na jakie się zgodzić jeszcze mogłem, było zatrzymanie się w drodze z Ponta Grossa do Rio de Janeiro, skąd miałem odjechać do Europy, w Sao Paulo, stolicy stanu tej samej nazwy, w celu zetknięcia się z tamtejszą kolonią polską, co też uczyniłem.

Ktoby chciał sobie wyrobić właściwe pojęcie o bogactwie Brazylii, o rozmachu jej życia gospodarczego, politycznego i kulturalnego, powinien odwiedzić Sao Paulo. Tu właściwie, a nie w Rio de Janeiro, jest serce olbrzymiego państwa brazylijskiego. Tu zazwyczaj rozstrzygają się jego losy, tu przeważnie zaczynają się przewroty, jakie dość często powtarzają się w tym kraju. Tu skupiają się największe jego bogactwa, tu żyje, pracuje i działa najruchliwsza część jego ludności, przeważnie pochodzenia europejskiego. Główną rolę i to we wszystkich dziedzinach życia, odgrywają tu Włosi. Stanowią oni prawie połowę ludności miasta, liczącego około 1.300.000 dusz. Wielką siłą liczebną — bo mniej więcej 10 proc. ogólnej liczby mieszkańców — oraz społeczno - gospodarczą rozporządzają tu także Niemcy. Przypadkiem mogłem to stwierdzić na własne oczy. W dniu bowiem mego przyjazdu nadeszła do Sao Paulo wiadomość o zwycięstwie niemieckim w plebiscycie na terytorium nad rzeką Saarą. I otóż w centrum miasta, gdzie jest największy ruch handlowy, prawie na każdym domu powiewały sztandary niemieckie. Nie wywiesili ich oczywiście Brazylijczycy lub Włosi, ale na pewno Niemcy.

Między innymi narodowościami i rasami, które mają tu mniej lub bardziej liczne kolonie — wyróżniają się zmysłem kupieckim szczególnie Syryjczycy. Rzadko natomiast spotyka się tutaj ludzi kolorowych, kabokłów i murzynów. Wskutek

tego Sao Paulo nie robi tak egzotycznego wrażenia jak Rio de Janeiro, gdzie kolorowi stanowią wielki procent ludności. Naturalnie jest tu też kilkaset tysięcy właściwych Brazylijczyków pochodzenia portugalskiego, rasy dominującej w Brazylii, ale charakter miasta jest raczej europejski lub międzynarodowy.

Bajeczny swój rozwój Sao Paulo, podobnie jak wielki jego port nad Atlantykiem — Santos — i jak w ogóle cały stan Sao Paulo, zawdzięcza kawie. Kawa stanowi główny produkt tego stanu, kawa jest źródłem jego bogactwa. Kawa tu stworzyła wszystko, kawa tu decyduje o wszystkim: o losach poszczególnych ludzi i całego społeczeństwa, o kierunkach politycznych, społecznych i gospodarczych, o kryzysach i okresach pomyślności, o powstaniu krezusowych wprost fortun, ale też o ich upadku.

Wielkie możliwości, jakie istnieją dla pracy i przedsiębiorczości człowieka w tej stolicy kawy, w tym najruchliwszym centrum gospodarczym i handlowym Brazylii, ściągnęły tu także sporo rodaków. Jest ich tu 5.000 do 6.000. Ale cóż ta liczba znaczy w tak olbrzymim mieście wobec ogromnej przewagi innych narodowości. To też Polonia tutejsza nie ma absolutnie żadnego znaczenia ani wpływu. Nikt też z Polaków nie zdołał się wybić ani pod względem gospodarczym ani społecznym. Nikt z nich nie potrafił zdobyć większej fortuny w tym „Eldorado“, w którym tylu

biednych imigrantów innych narodowości dorobiło się milionów. Poza kilku drobnymi kupcami i rzemieślnikami prawie wszyscy nasi rodacy należą do klasy robotniczej.

Brak im widocznie przedsiębiorczości i ducha kupieckiego. Brak im też, niestety, silnego poczucia solidarności narodowej. Mimo stosunkowo dużej swojej liczby nie zdołali wytworzyć między sobą żywotnej, organizacyjnej łączności, ani rozwinać aktywniejszego, świadomego celu zbiorowego życia polskiego. Zresztą nie można się bardzo temu dziwić. Trudno bowiem o solidarność przy rozproszeniu w milionowym mieście, tym trudniej, że nie mieli na czym, lub na kim się oprzeć, brakło im przewodnika, który by ich skupiał, zachęcał do jedności, podnosił na duchu. Do niedawna nawet nie mieli własnego duszpasterza polskiego, nie mówiąc już o własnym kościele. Byli jak owce bez pasterza. Mimo to aktywniejsze jednostki próbowały stworzyć środowisko, które by ich łączyło. Założyli „Towarzystwo Polskie“, nabyli własny lokal, otworzyli w nim także polską szkołę. Ale lokal ten leży na samej peryferii miasta, w dzielnicy zaniedbanej, nie cieszącej się dobrą opinią. Nic więc dziwnego, że rodacy do niego się nie garnęli, że życie towarzyskie i praca Towarzystwa nie mogła się w nim pomyślnie rozwijać.

W małej garstce członków, którzy się zapisali do Towarzystwa, panowała ponadto wciąż niezgoda, która na krótko przed moim przybyciem

doprowadziła do pewnego rodzaju „zamachu stanu“. Pewna grupa Polaków, zaliczając się do „inteligencji“, choć nią właściwie nie jest, ponieważ składa się li tylko z drobnych przemysłowców — zaskoczyła w konspiracyjny sposób stary zarząd, obaliła go i wyłoniła z siebie nowe kierownictwo Towarzystwa. Nowy ten zarząd, jak nam — ministrowi Grabowskiemu i mnie — opowiadali jego członkowie na udzielonej im audiencji, nosi się z wielkimi zamiarami. Przede wszystkim chcą się pozbyć starego niewygodnego lokalu i wybudować lub nabyć odpowiedni Dom Polski, możliwie w centrum miasta. Ale wątpię, by ten i inne zamiary im się udały. Zbyt bowiem liczą na finansową pomoc ze starego kraju, zamiast — jak się to dzieje w innych koloniach — oprzeć się na własnych siłach. Ale może sami wyczuwają, że ogół Polonii w Sao Paulo nie poprze ich akcji. Ogół bowiem uważa ich za członków masonerii, zdaje się zresztą słusznie — i obawia się, by nie narzucili kolonii kierunku wrogiego Kościołowi.

A ogół wychodźstwa w Sao Paulo jest i chce pozostać wiernym wierze ojców i katolickim tradycjom polskim. Wobec tego nie dziw, że działalności owej grupy, podejrzanej o styczność z masonerią, nie tylko nie popiera, ale podjął przeciwko niej reakcję w kierunku zdecydowanie katolickim, tworząc nową organizację: „Związek Polsko - Katolicki pod Opieką Matki Boskiej Częstochowskiej“. Zdrowy ten odruch niewątpliwie przy-



Port w São Matheus nad rzeką Iguassu.



Dom i szpitalik SS. Miłosierdzia w São Matheus (Parana).

czyni się do ożywienia zbiorowego życia kolonii, do większej jej aktywności na polu religijnym i narodowym, moralnym i społecznym.

Nadzieja ta jest tym więcej usprawiedliwiona, że kolonia otrzymała nareszcie własnego polskiego duszpasterza, a tym samym duchowego przewodnika, który też od razu zabrał się do pracy. Przede wszystkim zaprowadził stałe nabożeństwa polskie. Odbywają się one w kościele Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych, należącym tak samo, jak wielki zakład obok niego do Księży Salezjanów. Nie mogąc narazie zdobyć się na własny kościół polski, choć już o tym myśli, kolonia tymczasem ufundowała wspólnym wysiłkiem w tej świątyni salezjańskiej piękny ołtarz na cześć Matki Boskiej Częstochowskiej, tworząc sobie w ten sposób w tym wielkim mieście o międzynarodowym charakterze najpiękniejszy symbol dalekiej i ukochanej ojczyzny, który ich będzie łączył i pobudzał do zachowania wiary świętej i ducha polskiego, a obcym będzie głosił wielki cud miłosierdzia Bożego, jakim stała się Polska za przyczyną Matki Boskiej Częstochowskiej.

Jako biskupowi Częstochowskiemu sprawiło mi to niewymowną radość, że podczas swego krótkiego pobytu w Sao Paulo mogłem poświęcić właśnie ten ołtarz, który w tej wielkiej metropolii brazylijskiej będzie głosił sławę Częstochowskiej Pani i rozszerzał Jej cześć. Była to wielka i podniosła chwila tak dla mnie jak i dla rodaków, kiedy do-

konywałem tego uroczystego aktu. Zebrała się wówczas tak ogromna rzesza naszych braci, że prawie wypełniła obszerną świątynię. Było ich na pewno kilka tysięcy. Niespodziewany ten udział rodaków w tej uroczystości religijnej był dla mnie nowym dowodem, że wiara św. i miłość do Matki Boskiej nie wymarły w ich sercach, ale w nich żyją i stanowią największą ich siłę, która łączy ich między sobą i Ojczyzną, siłę, która na obczyźnie podtrzymuje ich życie polskie, nie pozwala im utonąć w morzu obcych, lecz pobudza ich wciąż do nowego czynu, by zachować i rozwijać te wielkie wartości, jakie Bóg włożył w ich polskie dusze. Nie potrzebowałem im tego przypominać w swoim kazaniu, bo wszyscy, świadomie czy nieświadomie, odczuwali to przed obrazem tej serdecznej naszej Matki, wszyscy, ślubowali Jej, że od tej uroczystej chwili, kiedy ona niejako zamieszkała wśród nich na obczyźnie, chcą jeszcze bardziej niż dotąd żyć z wiary św. i ducha polskiego jako najwierniejsze Jej dzieci, jako żywe członki tego narodu, którego Ona jest królową.

Widocznie śluby te, złożone w tak pamiętnej chwili, nie były bezskuteczne. Bo, jak się dowiaduje, polska kolonia w Sao Paulo odżyła od tej chwili jakby nowym życiem. Związek Polsko - Katolicki pod opieką Matki Boskiej Częstochowskiej zdołał już objąć znaczną część kolonii, zorganizować doskonały chór i orkiestrę, stworzył bi-

bliotekę, wydaje dobrze redagowany biuletyn związkowy i urządza manifestacje religijne i narodowe. Dzięki tej działalności Związku kolonia w Sao Paulo stała się nareszcie aktywną. Jeżeli wytrwa w tej aktywności, to niewątpliwie dorobkiem swym z czasem dorówna innym koloniom polskim, znajdującym się również jak ona w wielkich miastach Brazylii, jak Kurytyba i Porto Alegre, i przestanie być tym kopciuszkiem wśród innych narodowości w Sao Paulo, jakim dotąd, niestety, była. A powinno to się stać. W tym najruchliwszym mieście Brazylii wychodztwo nasze powinno zdobyć jak najsilniejszą pozycję.

Wielkie usługi oddają kolonii polskiej księża Salezianie. Kościół ich i zakład w Bom Retiro stał się centrum zbiorowego życia kolonii i pozo-
stanie nim, dopóki wychodztwo nie zdobędzie się na własny kościół oraz na własną szkołę i na odpowiedni Dom Polski. A trzeba przy tym zaznaczyć, że zakład księży Salezjanów nie jest właściwie zakładem polskim, ale brazylijskim, należącym do brazylijskiej prowincji tego Zgromadzenia. Tylko przypadkiem dyrektorem tego zakładu, a równocześnie proboszczem brazylijskiej parafii w tej dzielnicy jest Polak, X. Twórz. Kościół jeszcze niewykończony, tak samo jak zakład, jest dziełem tego świetnego organizatora i kapłana, cieszącego się dużym uznaniem w społeczeństwie Paulistańskim. Rodakom zawsze i chętnie służy

pomocą, o ile oczywiście pozwalają mu na to stosunki i obowiązki.

Jak wszędzie, tak też w Sao Paulo, złożyliśmy wspólnie z ministrem Grabowskim wizytę miejscowym władzom, X. arcybiskupowi, interwentorowi i prefektowi. W pałacu interwentora, a tak samo w prefekturze roiło się wprost od ludzi, czekających na audiencję u tych dostojników. Wyслуchanie tej rzeszy interesantów musi być dla nich wielką udręką i zabierać im mnóstwo czasu, ale trudno im uchylić się od tego obowiązku bez narazenia się na zarzut, że nie szanują demokratycznych tradycji i demokratycznych praw, na których opiera się polityczny ustrój Brazylii. Szeroko i szczerze pojęta zasada wolności i równouprawnienia wszystkich daje każdemu obywatelowi prawo dostępu do przedstawicieli najwyższych władz.

Charakter miasta i olbrzymi ruch na jego ulicach i placach przypomina wielkie metropolie Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, jak New York i Chicago. I tu widać drapacze chmur i tu rozpanoszyła się fantastyczna wprost reklama, szczególnie za pomocą światła elektrycznego, i tu samochody ciągną się prawie nieprzerwanym sznurem po ulicach, i tu widać przedstawicieli najróżniejszych ras i narodowości i słyszać prawie wszystkie języki. I tu zdaje się nikt nie ma czasu, wszyscy śpieszą gdzieś gorączkowo. Wskutek swego położenia na nierównym płaskowyżu Sao Paulo

nie jest jednak tak regularnie rozbudowane i dlatego nie tak nudne, jak bądź co bądź jest Chicago i Buenos Aires. Także klimat jest tu przyjemniejszy, podzwrotnikowy, na ogół zdrowy, przyroda bujniejsza, egzotyczna, niebo piękniejsze i życie swobodniejsze. Dumni ze swego miasta mieszkańcy jego wszystko czynią, by je upiększyć, budują monumentalne gmachy, tworzą wspaniałe parki i piękne dzielnice willowe na peryferiach. Pozwalają im na to bogactwa, jakie nawet w dzisiejszych kryzysowych czasach w tej stolicy kawy wciąż wzrastają.

Do najwspanialszych, naprawdę monumentalnych gmachów należy klasztor i kościół niemieckich Ojców Benedyktynów, zbudowany całkiem z kamienia w czystym stylu romańskim w samym centrum miasta. Nastrojowa świątynia pokryta jest wewnątrz precudnymi freskami ze szkoły beurońskiej. Gmach ten, dominujący nad najruchliwszą dzielnicą miasta, świadczy wymownie o silnej pozycji, jaką tu sobie zdobyła kolonia niemiecka.

Niemniej imponująco zapowiada się znajdująca się dopiero w budowie katedra gotycka, również z kamienia. Widać, że mieszkańcy Sao Paulo nie są całkowicie pochłonięci, jakby się zdawało, robieniem fortun, ale dbają także o chwałę Bożą, że nie tylko myślą o rozszerzeniu rynków kawy, lecz także o rozszerzeniu Królestwa Chrystusowego.

22. *Znowu w Rio de Janeiro*

Po całonocnej podróży szybkim, wygodnym pociągiem, dnia 16 stycznia, stanąłem nareszcie w Rio de Janeiro, u kresu swej wielkiej pielgrzymki przez nasze polskie kolonie na kontynencie Ameryki Południowej. Okręt, którym wypadało mi wrócić przez ocean do Europy, miał odbić z portu dopiero 20 stycznia. Wprawdzie bardzo mi się śpieszyło do domu, ale daną mi przez okoliczności sposobność przepędzenia całych czterech dni w tym najpiękniejszym mieście świata, uważałem za wielkie szczęście, które należało — z wdzięcznością ku Bogu — wykorzystać.

Jak drodzy czytelnicy sobie przypominają, byłem już raz w Rio de Janeiro, a to na początku października w drodze do Buenos Aires. Ale ten przelotny, krótki pobyt w tym istnym raju na ziemi, mimo oszałamiających wrażeń, albo może właśnie dlatego, wzbudził we mnie tylko gorące pragnienie ponownego odwiedzenia go, by znów z większą niż przy tej pierwszej okazji swobodą nasyć oczy i duszę przedziwną jego pięknnością. Pragnienie to teraz się spełniło.

Myliłem się jednak, przypuszczając, że tym razem z całą swobodą, nieskrępowany żadnymi obo-

wiązkami, będę mógł dysponować tymi czterema rozkosznymi dniami, że będę je mógł użyć tylko dla swej osobistej przyjemności. Nie liczyłem się przy tym z zamiarami ministra Grabowskiego, naszego dzielnego posła przy rządzie brazylijskim, a mego dostojnego przewodnika i miłego towarzysza podczas wielkiej części mej pielgrzymki wśród naszego wychodźstwa. Był on bowiem zdania, że przy tej okazji powinienem zapoznać się nie tylko z piękną stolicą brazylijską, ale zetknąć się także przynajmniej z kilkoma wybitnymi osobistościami, które odgrywają tu poważną rolę, a poza tym wypadłoby poświęcić choć trochę czasu tutejszej kolonii polskiej. Rozumie się, że chętnie się na to zgodziłem. I nie żałowałem tego, bo tutejsi ludzie są niemniej ineresujący niż krajobraz.

Przedewszystkim należy to powiedzieć o pierwszej i najwyższej osobistości tego kraju, o prezydencie państwa brazylijskiego, Getuljo Vargas. Nazywają go „Napoleonem brazylijskim“. Nie bez słuszności, bo i postać jego podobna jest do postaci Napoleona, i czyny jego godne są Napoleona. Jest jak on niskiego wzrostu, ale przy tym o silnej budowie ciała. Szczególnie, jak u Napoleona, podpada jego potężna głowa, o miękkich, ale szlachetnych rysach twarzy. Kilka lat temu zwycięsko przeprowadził rewolucję, pragnąc zaprowadzić w kraju lepszy porządek. Przez pewien czas rządził olbrzymim państwem władzą i metodą pra-

wie dyktatorską. Nie nadużywał jej jednak, lecz korzystał z niej, by stworzyć odpowiednie warunki dla zaprowadzenia nowej konstytucji, która obecnie już wchodzi w życie. W przeciwieństwie do innych dyktatorów Getuljo Vargas oparł nowy ustrój państwa na szeroko pojętej zasadzie wolności, oraz na rozumnej decentralizacji władzy. Poszczególne stany, wchodzące w skład wielkiego państwa, cieszą się szeroką autonomią, szerszą nawet niż w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Zrozumiał bowiem dobrze, iż wobec ogromnej różnicy poziomu cywilizacji poszczególnych stanów, centralizacja władzy i ograniczenie wolności mogą tylko powstrzymać rozwój kraju o tak wielkich możliwościach, jakimi rozporządza Brazylia. Starał się natomiast, by wzmocnić siły duchowe społeczeństwa i zapewnić im większą możność oddziaływania na kształtowanie się stosunków i na wyrobienie ludzi. Stąd więcej niż dotąd nowa konstytucja urzeczywistnia postulaty religii katolickiej, do której przyznaje się olbrzymia większość ludności. Kościół katolicki w Brazylii może obecnie spełniać swoją wzniosłą misję z wszelką swobodą. Nauka religii stała się obowiązkową w szkołach państwowych. Katolickie małżeństwo uznano za prawomocne, na rozwody nie pozwala nawet prawo cywilne.

Zresztą także i dawniejsze, bardziej liberalne prawodawstwo, choć ograniczało katolickie prawo małżeńskie, nie uznawało prawa rozwodów. Roz-



Polscy księża misjonarze przed plebanią w Santa Candida.



Kościół polski w Nowa Polonia pod Kurytybą.

wody w Brazylii uważa się za zbrodnię, którą potępia nie tylko Kościół, nie tylko prawo cywilne, ale, co najważniejsze, także i opinia publiczna. Rodzinę słusznie uważa się za świętość, której siły osłabiać nie wolno, co niewątpliwie czynią rozwody.

Wielką swobodę cieszą się również narodowości i rasy, które się tu osiedliły. Tendencje do wynaradowienia ich nie istnieją, ani w prawodawstwie, ani też, jak już wspomnieliśmy, w nastawieniu społeczeństwa brazylijskiego. Nikt nie krępuje rozwoju odrębnego ich życia osobistego i zbiorowego. Mogą swobodnie zakładać swoje szkoły, tworzyć własne organizacje, we wszystkich dziedzinach życia są równouprawnione. Kto się narodził na ziemi brazylijskiej, tym samym uzyskał pełne prawo obywatelskie. O jego stanowisku społecznym decyduje jego zdolność, czyli też umiejętność wyzyskania istniejących warunków i stosunków w kraju. Bardzo umiejętnie potrafili to wyzyskać szczególnie Włosi i Niemcy, którzy w niektórych Stanach odgrywają decydującą wprost rolę. Nasze wychodztwo, niestety, nie ma jeszcze tak silnej, jak oni pozycji. Zresztą trudno się temu dziwić, wszak nie jest tak liczne jak oni, przybyło też później do kraju, a składało się przeważnie z analfabetów i biedaków.

Nie można jednak wątpić, że z czasem i nasze wychodztwo się wybije — tak jak włoskie i nie-

mieckie — szczególnie, jeżeli postawi szkolnictwo swoje na wyższym niż dotąd poziomie i weźmie większy niż dotychczas udział w życiu publicznym. W każdym razie już dziś rodacy nasi cieszą się wielkim uznaniem w społeczeństwie brazylijskim. Sam prezydent na udzielonej nam — ministrowi Grabowskiemu i mnie — audiencji nader przychylnie wyraził się o nich, oświadczając, że stanowią oni czynnik bardzo pożądaný dla rozwoju Brazylii. Z naszej strony zwróciliśmy uwagę prezydenta na wielkie zalety naszego wychodźstwa, na ich miłość do ziemi, na której pracują, na ich zdrowe życie rodzinne, głęboką religijność oraz szczere przywiązanie do Brazylii mimo głębokiego patriotyzmu polskiego. Wskazaliśmy także na to, że przy określeniu obecnie dopuszczalnego kontyngentu imigracji z poszczególnych krajów należałoby pamiętać o tym, że polscy wychodźcy w olbrzymiej swej większości przybyli do Brazylii przed powstaniem Polski jako poddani obcych państw zaborczych: Rosji, Austrii i Niemiec. O ile by się nie pamiętało o tej ważnej okoliczności, mógłby obecnie od czasu do czasu na nowo ustalany kontyngent imigracji wypaść na niekorzyść Polski. Ustala go się bowiem według stanu liczebnego wychodźstwa za czasów przed powstaniem Polski. Nawiasem wypada stwierdzić, że obecnie Polska nie wyczerpuje kontyngentu imigracyjnego, który na nią przypada. Szkoda, bo jak już kilkakrotnie zaznaczyłem, warunki dla na-

szego wychodztwa w Brazylii są na ogół pomyślne.

Audiencja miała charakter nader miły. Przy filiżance wyśmienitej brazylijskiej kawy rozmawialiśmy ze sobą swobodnie, jak gdybyśmy od dawna się znali. Prezydent, czarujący w swej prostocie, z miłym uśmiechem na ustach, posiada wielki dar zdobywania serc ludzkich. Nie dziwię się wobec tego, że społeczeństwo brazylijskie wprost go uwielbia. Należałoby się raczej dziwić, że ten zawsze uśmiechnięty człowiek o niskim wzroście i miękkich rysach twarzy, jest rządcą jednego z największych państw świata, że żyje w nim i działa tak potężna wola i tak wielki umysł, jaki wykazał przez cały czas swoich rządów. Dopiero niedawno temu zdecydowaną energią w przeciągu kilku dni zdołał sparaliżować komunistyczną rewolucję, która wybuchła niespodziewanie — długo przygotowana — z udziałem nawet części wojska w różnych stronach kraju.

Chcąc zadokumentować swoje uznanie dla naszego wychodztwa oraz sympatię swoją dla Polski, Prezydent odznaczył mnie wysokim orderem brazylijskim, Komandorią Krzyża Południa. Celem wręczenia mi tego orderu odbyło się uroczyste przyjęcie w przepięknym pałacu ministerstwa spraw zagranicznych. Zebrała się na ten akt spora grupa tutejszej Polonii i przedstawicieli społeczeństwa brazylijskiego, między nimi prezydent T-wa Polsko - Brazylijskiego p. Rodrigo Octavio,

jedna z najwybitniejszych osobistości Brazylii, był minister a obecnie prezes najwyższego trybunału. Po krótkim serdecznem przemówieniu, na które również krótko odpowiedziałem, minister spraw zagranicznych udekorował mnie pięknym krzyżem tego orderu. Potem, znowu przy filiżance kawy, rozwinęła się swobodna pogawędka. Minister spraw zagranicznych — to piękna postać o rasowej twarzy, wysokiej kulturze oraz — tak samo jak prezydent państwa — o wielkiej prostocie. Głęboko religijny, interesował się szczególnie moją misją religijną wśród naszych rodaków.

Wielką rolę nie tylko religijną, ale także polityczną, odgrywa w Brazylii J. Em. X. Kardynał Leme, arcybiskup Rio de Janeiro. Jego to główna zasługa, że wielka rewolucja, dzięki której Getulio Vargas zdobył władzę w Brazylii — odbyła się bez przelewu krwi i skończyła się szybko. Orientując się bowiem dobrze w sytuacji, skłonił on dawniejszego prezydenta do rezygnacji z władzy, tak że Getulio Vargas bez krwawej bratobójczej walki, na którą się zanosilo, mógł zająć stolicę i objąć rządy. Jemu też głównie należy zawdzięczać, że nowa konstytucja brazylijska w tak wielkiej mierze uwzględnia postulaty katolickiej ludności, jako też, że katolicy zdobywają coraz większe wpływy na kształtowanie się stosunków w kraju, tworząc silne organizacje i rozwijając energiczną akcję katolicką. Bardzo mi zależało na tym, aby

poznać tego najwyższego dostojnika Kościoła w Brazylii, by złożyć mu hołd i zareferować o swej pracy religijnej wśród naszego wychodźstwa na terenie Brazylii.

Była to właśnie pora największych upałów, czas wakacyjny. Kto mógł, ten chronił się w pobliskich górach, gdzie powietrze jest świeższe, chłodniejsze. Tak też uczynił X. kardynał Leme, przenosząc na kilka tygodni swoją rezydencję do skromnej willi w okolicy Petropolis. Dzięki temu, chcąc go tam odwiedzić, poznałem jeden z najpiękniejszych zakątków Brazylii.

Z gmachu poselstwa polskiego nad samym wybrzeżem morza, gdzie zamieszkałem, trzeba było jechać przez całe prawie olbrzymie miasto, zanim szybkim samochodem wydostaliśmy się na jego peryferie w kierunku Petropolis. Już sama jazda przez miasto była nader ciekawa. Na ogół wyobrażamy sobie, że miasta południowe, egzotyczne, szczególnie zamieszkałe przez duży procent kolorowej ludności, są niechlujne, zaniedbane pod względem zdrowotnym i estetycznym, szczególnie na przedmieściach. Takie wrażenie odnosi się nawet na peryferiach niektórych wielkich stolic europejskich. Tym większą niespodzianką była dla mnie jazda przez Rio de Janeiro. Wszędzie, także na przedmieściach, panuje tu wzorowy porządek; ulice są asfaltowane, gładkie, czyste; domy i domki ładne, dobrze utrzymane. Nigdzie nie spostrzegłem wstrętnych ko-

szarowych kamienic, brudnych zaułków, do których ani słońce ani powietrze nie ma dostępu. Widać wszędzie wysoką cywilizację, rzetelną troskę o porządek i postęp. Widocznie społeczeństwo i rząd brazylijski mają tę ambicję, by naczelne hasło państwa: *Ordem i progresso* — porządek i postęp — przynajmniej w stolicy kraju stało się rzeczywistością. To im się też udało. Rio de Janeiro jest dziś nie tylko najpiękniejszym, ale zarazem jednym z najzdrowszych i najczystszych miast świata. A była tu niegdyś istna dżungla, straszna wylegarnia moskitów oraz rozmaitych zarazków febry i innych chorób, tak że marynarze z okrętów przez długi czas wzdragali się tu wychodzić na ląd. Rio de Janeiro dostarcza może najświetniejszego dowodu prawdy, że człowiek wytrwałą, cywilizacyjną pracą potrafi pokonać wszystkie trudności przyrody i stworzyć wszędzie na świecie możliwe, a nawet, jak tu, wprost doskonałe warunki bytowania.

Ta praca cywilizacyjna trwa nadal w dalszej okolicy miasta. Tu i tam po obu stronach szerokiej asfaltowej drogi widać jeszcze resztki bagnisk i lagun. Ale i te resztki powoli przemieniają się w urodzajną rolę.

Dość nagle droga z równiny przechodzi w góry, pnie się coraz wyżej śmiałymi serpentynami po bujnie zalesionych górskich zboczach, często prowadzi na krawędzie głębokich przepaści, to znów je przeskakuje za pomocą wysokich mostów. Nie-

dawno temu szalała tu straszna burza, pod jej naporem solidnie zbudowana droga w licznych miejscach została przerwana, mosty zniszczone, olbrzymie skały oderwane od masywu gór i rzucone na trakt, a potężne drzewa wyrwane z korzeniami. Spotkaliśmy całą armię robotników, przeważnie kolorowych, którzy usuwali te przeszkody, budowali prowizoryczne mostki, aby umożliwić komunikację na tej ważnej drodze w góry, stanowiące zbiornik świeżego powietrza dla stolicy.

Jazda stała się denerwującą i niebezpieczną. Nie zważaliśmy jednak na to, ponieważ nowe wciąż widoki, które przy każdym skręcie drogi przed nami się otwierały, pochłaniały całą naszą uwagę. Nareszcie po dwugodzinnej jeździe stanęliśmy na wyżynie, na której rozłożyło się ukryte w zieleni drzew, po obu stronach wartkiego strumyka, piękne miasteczko Petropolis. Powietrze jest tu czyste, świeże, niemal chłodne, podczas gdy w Rio de Janeiro o tej samej porze panują prawie nieznośne upały, a atmosfera przesycona wilgocią ciąży nad miastem jakby zasłona z ołowiu. Nie dziw, że Petropolis stało się ulubionym lotniskiem dla mieszkańców stolicy. Miasto jest przeważnie dziełem niemieckich kolonistów, nazwę zaś otrzymało po ostatnim cesarzu brazylijskim Dom Pedro, który stworzył tu sobie piękną rezydencję letnią. Pomimo że Brazylia tymczasem zmieniła swój ustrój polityczny i stała się republiką, pamięć tego wielkiego cesarza, jako jednego z najlepszych

rzadców, żyje nadal w społeczeństwie brazylijskim. Świadczy to dobrze o charakterze brazylijskich, że chociaż dziś ani nie myślą o przywróceniu ustroju monarchistycznego, to jednak z wdzięcznością uznają wielkie zasługi, jakie cesarze, a szczególnie Dom Pedro, położyli dla kraju, i otaczają głęboką czcią pamiątki, jakie po nich pozostały.

Niedługo zatrzymaliśmy się w tej uroczej miejscowości. Rezydencja bowiem X. Kardynała, jak dowiedzieliśmy się, nie znajdowała się w samym Petropolis, ale niżej w dolinie, w Itaipava. Trudno było ją odnaleźć, gdyż leży ukryta w zielonym lasku, na zboczu wzgórza, daleko od miasta. Rezydencja jest bardzo skromna, składająca się z kilku zaledwie pokoi, ale nader miła, zbudowana w prostym kolonialnym stylu portugalskim. Z ujmującą prostotą przyjął nas X. Kardynał. Postać to potężna, przypominająca żywo X. kard. Kakowskiego, arcybiskupa warszawskiego. Jest o dwa lata młodszy ode mnie. Stwierdziliśmy, że o tym samym czasie — nie znając się wówczas — odbyliśmy nasze studia teologiczne na uniwersytecie Gregorjańskim w Rzymie. Bardzo żywo zainteresował się X. Kardynał moją podróżą apostolską wśród naszych wychodźców w Brazylii. Pozwoliłem sobie przedstawić mu pewne życzenia celem podniesienia pracy polskich duszpastarzy z prośbą o polecenie ich na zjeździe episkopatu brazylijskiego, co też chętnie mi przyrzekł. W

gościnnej willi kardynalskiej spotkałem także dwóch innych biskupów brazylijskich i kilku prałatów. W cieniu drzew małego ogrodu przepędzi-
liśmy przemiłą godzinę w tym dostojnym gronie, rozmawiając na temat naszego wychodźstwa oraz innych wielkich zagadnień kościelno - religijnych w Brazylii i Polsce. Minister Grabowski, który cieszy się wielkim uznaniem J. Eminencji, brał w tych rozmowach żywy udział. Już słońce poczęło zachodzić, gdyśmy wreszcie oderwali się od tego przepięknego zacisza kardynalskiego, by wrócić tą samą drogą do Rio de Janeiro. W świetle księżyca, który wnet ukazał się ponad górami, romantyczny krajobraz nabrał wprost fantastycznego charakteru, przejmującego nas chwilami aż zgrozą.

Miłe były także chwile, które przepędziłem u nuncjusza apostolskiego przy rządzie brazylijskim, X. Arcyb. Masela, w pięknej jego rezydencji nad morzem. I tu przy obiedzie, na który raczył mnie zaprosić, mogłem zetknąć się z kilku wybitnymi osobistościami, między innymi z prezesem akademii literatury, prof. Conde Candido Mendes de Almenda, słynnym prawnikiem, a przy tym dzielny katolikiem i szczerym przyjacielem Polski. W Polsko - Brazylijskim Towarzystwie odgrywa on bardzo czynną rolę jako członek zarządu. Dzieje Polski zna doskonale. Wykazał to w swoim głębokim, treściwym przemówieniu, wygłoszonym na powitanie X. Kard. Hlonda i nas, biskupów pol-

skich, przy pierwszym naszym przybyciu do Rio de Janeiro. Sam nuncjusz to naprawdę godny przedstawiciel Stolicy apostolskiej, ujmujący wszystkich, którzy się z nim stykają, swoją pogodą i wysoką kulturą. Jak wszędzie, tak i przy tej sposobności staraliśmy się z ministrem dr Grabowskim, żeby okazane nam, a w naszych osobach wychodźtwa polskiemu i Polsce, sympatie jeszcze wzmocnić i pogłębić.

Inne znów towarzystwo, składające się przeważnie z dyplomatów, poznałem w willi p. Rodrigo Octavio, prezesa Polsko-Brazylijskiego Towarzystwa im. Tadeusza Kościuszki. Wspomniałem już o tej wybitnej osobistości, cieszącej się wielkim poważaniem w społeczeństwie brazylijskim. Jest już starcem, ale jeszcze pełen żywotnych sił. Doświadczenie długiego życia oraz bogata działalność w służbie nauki i państwa wyrobiły w nim spokój, pogodę i równowagę mędrca. Należy on niewątpliwie do najszlachetniejszych przedstawicieli ducha i kultury brazylijskiej. Jest wielką zasługą ministra Grabowskiego, posła naszego w Rio de Janeiro, że zdołał tę tak wpływową osobistość pozyskać dla pracy w Polsko-Brazylijskim Towarzystwie. Rezydencja jego, do której nas zaprosił, leży już na peryferii stolicy, u podnoża dwóch wzgórz, stykających się pod ostrym kątem a pokrytych bujnym, pierwotnym jeszcze lasem. Stary dworek o prostych liniach otoczony jest egzotycznym ogrodem, przez który w cieniu gęstych

drzew płynie, po gładkich głazach lekko szemrząc, przejrzysty jak kryształ strumyk. Jest to niewątpliwie jeden z najbardziej uroczych zakątków pięknego miasta. Piękność przyrody łączy się tu z pięknem wielkiej kultury, którą w to zacisze wniósł ów starzec-filozof, jakim jest pan Rodrigo Octavio. Przeżyłem tu jedną z najmielszych chwil mego pobytu w Brazylii, bo i towarzystwo, w którym się tu znalazłem, było wyborowe i rozmowy, które się między nami swobodnie toczyły, interesujące, a przede wszystkim przeżyłem w swej prostocie sam gospodarz.

Kolonia polska w Rio de Janeiro nie jest liczną, a przy tym rozproszona na terenie olbrzymiego miasta. Wobec tego trudno o rozwinięcie w niej intensywniejszego polskiego życia. Nie ma tu polskiego duszpasterza ani też polskiego nauczyciela. Poza członkami poselstwa nie ma tu też żadnego Polaka, który by wybitniejszą odgrywał rolę w życiu społecznym stolicy. Stąd też kolonia nasza składa się prawie wyłącznie z robotników i rzemieślników, zdobyła się jednak na założenie Polskiego Towarzystwa, które, choć słabo działa, jak zresztą w tych warunkach inaczej być nie może, jednak pracuje, podtrzymując wśród rodaków poczucie polskości.

By uczcić polskiego biskupa, Towarzystwo urządziło małe, ale miłe przyjęcie w skromnej wynajętej salce. Na własny Dom Polski, niestety, ich

nie stać. Była to już późna godzina — gdyż jako robotnicy, zajęci cały dzień, wcześniej zebrać się nie mogli — gdy z ministrem Grabowskim wybrałem się do nich. Na ulicach panował już szal karnawałowy, wrzask, hałas, ścisk. Karnawał przeciąga się tu pono przez kilka tygodni, rozpoczynając się zaraz po Nowym Roku, i odbywa się przeważnie na ulicach z udziałem całej prawie ludności. Nie dziwi nas to, jeżeli uprzytomnimy sobie, że o tej porze roku jest tu pełne lato; wieczory a nawet noce są ciepłe. Trudno było samochodem przedostać się przez rozbawione, hałaśliwe rzesze na boczną ulicę, gdzie się znajduje lokal towarzystwa. Hałas z ulicy przeszkadzał nam też podczas całej akademii. Mimo to wytworzył się wśród nas bardzo serdeczny nastrój. Wywołała go myśl o dalekiej ukochanej ojczyźnie, która w tej chwili z szczególną siłą odzywała się w naszych duszach i natchnęła słowa, któreśmy wymieniali między sobą. Nie było nas dużo, ale pocieszała nas świadomość, że stoi za nami wielki naród, który dzięki Opatrzności Bożej rozpoczął nowy okres swego życia i potrafi obronić swe dzieci, gdziekolwiek się znajdują.

Wśród niezbyt wielkiej liczby zebranych, przeważali młodzi ludzie z klasy robotniczej, Warunki kolonii są nader trudne, trudniejsze niż w innych miastach brazylijskich; ma ona jednak silne oparcie o min. dra Grabowskiego, który ją otacza ojcowską doprawdy opieką. Nie ma też w niej,

jak, niestety, gdzie indziej, żadnych sporów i kłótni.

Wobec różnych wizyt i przyjęć, zresztą — jak zaznaczyłem — bardzo interesujących i przyjemnych, nie pozostało mi dużo wolnych chwil, których mogłem użyć wyłącznie dla siebie. Znalazłem atoli tyle czasu, by móc odświeżyć się kilku kąpielami w morzu i zapoznać z dwiema największymi atrakcjami, jakie w Rio de Janeiro stanowią słynny Ogród Botaniczny i niemniej słynny szczyt Corcovado.

W miastach portowych trzeba zazwyczaj zdobyć się na małą podróż, by znaleźć odpowiednie miejsce na kąpiele w morzu; z reguły bowiem wybrzeże portu jest gęsto zabudowane różnymi halami, magazynami, często nawet fabrykami, a sam port zapchany nagromadzonymi statkami i łódkami. Panuje w nim wciąż ruch i hałas, a woda, nawet daleko od brzegu, zanieczyszczona jest i brudna. Tak samo brudne jest prawie zawsze najbliższe otoczenie portu.

Inaczej w Rio de Janeiro. Port tu jest olbrzymi, jeden z największych na świecie, a wybrzeże na którym rozbudowało się miasto, ciągnie się całymi milami. Te nader pomyślne warunki wykorzystali umiejętnie twórcy miasta, by właściwy ruch portowy i urządzenia portowe skoncentrować na pewnym, w stosunku do całości portu niedużym odcinku raczej na peryferii miasta. Resztę zaś wybrzeża o kształcie ogromnego łuku prze-

znaczyli na budowę najwspanialszych dzielnic stolicy. Wskutek tego umiejętnie przeprowadzonego planu rozbudowy miasta Rio de Janeiro całą pierś może oddychać przezczystym morskim powietrzem. Wszędzie też Carioci (mieszkańcy Rio de Janeiro) mają prawie bezpośredni albo bardzo bliski dostęp do morza. Wystarczy przejść przez szerokie przepiękne aleje, ocienione palmami lub innymi egzotycznymi drzewami, biegnące wzdłuż całego wybrzeża, by móc zanurzyć się w fale morskie lub, rozciągnąwszy się na przezczystym piasku miejscami bardzo szerokiej plaży, poddać się działaniu promieni słońca i wiatru od morza. Przy tym można się równocześnie rozkoszować precudnymi widokami, bądź to na skały i wyspy, wystające z oceanu, lub wielkie okręty majestycznie prujące jego fale, bądź to na ciekawe wzgórza o fantastycznych kształtach, wynurzające się jakby z kamiennego morza domów; bądź to na wspaniałe rezydencje, ciągnące się długim sznurem wzdłuż wybrzeża. Nie ma chyba na całym świecie piękniejszego i wygodniejszego miejsca kąpielowego nad morzem jak w Rio de Janeiro. Nie potrzeba tu nawet osobnych zakładów kąpielowych. Można bowiem rozebrać się w mieszkaniu i w kostiumie kąpielowym przejść przez ulicę do pobliskiego morza, z czego też Carioci skwapliwie korzystają. Przy tym należy podkreślić, że życie na plaży, choć tak swobodne, jednak nie jest rozwiązłe. W pojęciu bowiem bra-

zyliżczyków morze jest źródłem zdrowia, danym ludziom przez Boga, a nie okazją do grzechu. To też w niektórych miejscowościach, jak już wspomnieliśmy, rozpoczynają sezon kąpielowy uroczystym nabożeństwem i poświęceniem morza.

Gmach poselstwa polskiego, gdzie zamieszkałem, leży nad samym wybrzeżem morza, oddzielony od niego tylko szeroką aleją. Nie dziw, że korzystałem z tej okazji, by odświeżyć swoje siły w tym największym i najcudniejszym sanatorium, jakim jest wielkie morze. Po tych orzeźwiających kąpielach w przyjemnie chłodnych falach łatwiej mi było znieść te naprawdę tropikalne upały, jakie tu w styczniu panowały.

Ktokolwiek był w Rio de Janeiro, a nie odwiedził ogrodu botanicznego, ten nie ma pojęcia o tym, jak bogatą może być przyroda, ile różnych może rodzić drzew, krzaków, kwiatów i przeróżnych innych roślin o najrozmaitszych kształtach i kolorach, o przedziwnej piękności lub o egzotycznej — przynajmniej dla nas Europejczyków — dziwaczności. Żywa przyroda, objawiająca się w świecie roślinnym, potrafi być zawsze oryginalną, często fantastyczną, lubi wypowiadać się w najróżniejszych stylach i formach, umie wykorzystać wszystkie warunki, jakie dla niej Bóg stworzył. A warunki, jakie tu w ogrodzie botanicznym w Rio de Janeiro dla niej istnieją, w tropikalnym nadmorskim klimacie, przy umiejętnej pomocy wie-

dzy i pracy ludzkiej, są wprost idealne. Nie dziwnego, że przyroda wykazuje tu całe swoje bogactwo i piękno. By opisać to bogactwo i piękno, trzeba by równocześnie być wielkim uczonym - przyrodnikiem i wielkim artystą. Ponieważ nie jestem ani jednym ani drugim, mogę tylko powiedzieć, że, przechadzając się po tym ogrodzie, miałem wrażenie, jakbym przeżywał podobne chwile, jakie niewątpliwie przeżył Adam, gdy po raz pierwszy przechadzał się po raju i zobaczył cuda, jakich tam przyroda na rozkaz Stwórcy dokonała. Takie na przykład aleje królewskich palm, jakie tu widziałem, godne są na pewno samego raju. Przecudne są także naturalne ramy, obejmujące ten przepiękny obraz; stanowią je dziwnokształtne wzgórza, pokryte bujnym pierwotnym lasem. Najwyższym i najoryginalniejszym z nich jest słynny szczyt Corcovado, ukoronowany olbrzymią statua Zbawiciela.

Według legendy brazylijskiej Corcovado ma być ową górą, na którą, jak Pismo św. opowiada, „diabeł wziął Chrystusa Pana i ukazał mu wszystkie królestwa świata i chwałę ich i rzekł: „To wszystko dam Tobie, jeśli upadłszy uczynisz mi pokłon“ (Mat. 4, 8, 9). Jest to legenda, którą wyobraźnia ludzka stworzyła na tle kuszenia Chrystusa, podanego w Piśmie św. Trzeba jednak przyznać, że nigdzie w Palestynie, ani w ogóle na świecie diabeł nie mógłby znaleźć góry, u której stóp świat wydawałby się wspanialszym, piękniejszym,

bogatszym i bardziej kuszącym niż tu u stóp Corcovado.

Nie silę się na opisanie oszałamiających wprost widoków, jakie się roztoczyły na wszystkie strony przed zachwyconymi moimi oczyma, gdy stanąłem na szczycie tej góry: na przepiękną zatokę i liczne skaliste wyspy i wysepki, rozsiane po jej falach jakby potężną ręką Stwórcy; na szeroki ocean, z którym łączy ją wąska cieśnina morska, strzeżona przez najoryginalniejszą w świecie górę, Pao d'Assucar, wynurzająca się wprost z fal morza w kształcie olbrzymiej głowy cukru; na inne wzgórza, pokryte zielonym dziewiczym lasem, wznoszące się bądź to pojedynczo, podobnie jak Corcovado, w środku samego miasta, bądź to otaczające je zwartymi łańcuchami w coraz szerszych i wyższych kręgach; na kamienne morze domów, łączących się wzdłuż wybrzeża w szeroko i regularnie rozbudowane dzielnice, przecięte wspaniałymi alejami, albo tworzących jakby długie, wijące się sznury w wąwozach między wzgórzami; na cudownie błękitną kopułę nieba, rozpinającą się majestatycznie nad tym naprawdę rajskim krajobrazem. Rzeczywiście, jeżeli gdziekolwiek świat pięknnością i bogactwem swoim mógłby oczarować człowieka, to tu na szczycie Corcovado. Nie dziw, że Carioci wierzą, iż diabeł, chcąc skusić Chrystusa Pana, zaprowadził go właśnie na tę górę. Ale Chrystus skusić się nie dał, nie chciał z woli szatana królować nad tym ziemskim rajem.

Lecz co według legendy wówczas nie udało się podstępom szatana, udało się w naszych czasach gorącej wierze katolickiego społeczeństwa brazylijskiego. W postaci olbrzymiego białego posągu, który niedawno temu wzniesli Carioci na Corcovado, Chrystus Zbawiciel króluje dziś nad Rio de Janeiro i jego portem, nad ziemią i morzem brazylijskim. Wyrastając prawie z samego środka miasta na wysokość 700 metrów, Corcovado, a tym samym pomnik Chrystusa koronujący szczyt jego, jest ze wszystkich stron widoczny na daleką przestrzeń. Rozmiary pomnika są kolosalne. Wysokość jego wynosi 38 metrów, wysokość samego posągu 30 m, objętość głowy Chrystusa 3.70 m, objętość dłoni 3.20m. Odległość między rozwartymi ramionami wynosi 28 metrów. Ramiona Chrystusa rozwarte są w prostej linii, wskutek czego posąg robi z daleka wrażenie ogromnego krzyża. Postać Zbawiciela mimo olbrzymich swoich rozmiarów jest nader szlachetna, twarz pełna dobrot. Zdaje się, jakoby rozciągając ramiona nad krajem, ścielącym się u jego stóp, Chrystus Pan wołał do jego mieszkańców: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście, a ja was ochłodzę“. I nie woła na próżno, bo także i w Rio de Janeiro, pomimo, że wydaje się rajem na ziemi, trzeba jak wszędzie na tym świecie ciężko pracować i walczyć o byt, szaleją tu, jak wszędzie, namiętności, kusi szatan, panuje śmierć. I Rio de Janeiro potrzebuje Zbawiciela i Boskich Jego

sił i nie wstydzi się tego, przeciwnie wyznaje to publicznie wobec całego świata, przeznaczając właśnie Corcovado na tron Chrystusa Zbawiciela, na wielki Jego ołtarz, by z niego wciąż płynęło błogosławieństwo Boże na miasto i zatokę, na ziemię i morze. Brazylia i jej stolica chcą pozostać „Ziemią św. Krzyża“, jak ją nazwali conquistadorzy, zdobywając setki lat temu ten olbrzymi kraj dla cywilizacji. Głęboka wiara naszego wychodźstwa, które się osiedliło na tej ziemi, jego uwielbienie dla krzyża św., jego praca pionierska pod tym znakiem przyczyni się niewątpliwie w wysokiej mierze do tego, by Brazylia coraz więcej zasługiwała na tę zaszczytną nazwę.

Jak już wspomniałem, podczas mego cztero-dniowego pobytu w Rio de Janeiro zamieszkałem na zaproszenie ministra dra Tadeusza Grabowskiego w gmachu naszego poselstwa przy rządzie brazylijskim. Gmach ten, choć skromny, nieduży, to terytorium polskie, to Polska jakby w miniatrze na obcej dalekiej ziemi, ale jednak w pełni majestatu swej suwerenności. Mieszkając więc w rezydencji naszego posła, znajdowałem się jakby w Polsce. Ta świadomość nappełniała mnie słuszną dumą i sprawiała, że w tym egzotycznym mieście nie czułem się obcym i niepewnym jakby zgubionym w nieznanym świecie. Dzięki poselstwu swego państwa Polak dziś znaczy tu coś, a to tym więcej, że stosunki między Polską a Brazylią są nie tylko poprawne, ale i przyjaźne. Jak z ra-

dością mogłem stwierdzić podczas całej mej podróży, Polska cieszy się tu wielkim poważaniem nie tylko w kołach rządowych, lecz również wśród społeczeństwa brazylijskiego. Niewątpliwie w wielkiej mierze przyczynił się do tego minister dr Grabowski, długoletni przedstawiciel Polski przy rządzie brazylijskim, dzięki swym zdolnościom dyplomatycznym, wysokiej kulturze i gruntownej znajomości stosunków i ludzi, a także i języka krajowego, którym doskonale włada. Zna przy tym dobrze nasze wychodźstwo i jego sprawy. Może nie ma ani jednej kolonii polskiej w Brazylii, której by nie odwiedził, pragnąc utrzymać jak najściślejszy kontakt z rodakami i przejęty serdeczną troską o ich losy.

Podczas mojej podróży apostołskiej po Brazylii, minister Grabowski oddał mi nieocenione usługi, ułatwiając mi w wszelki sposób spełnienie mej wzniosłej misji, dzieląc ze mną jej radości i trud, a nawet pomagając mi przy samej pracy apostołskiej, zachęcając gorącym słowem rodaków nie tylko do wytrwania w miłości Ojczyzny, lecz także we wierze ojców. Nie dziw, że zawiązały się między nami prawdziwie serdeczne stosunki, które — o ile to było możliwe — pogłębił jeszcze mój czterodniowy pobyt w gościnnej jego rezydencji, w gmachu poselstwa polskiego w Rio de Janeiro.

Szybko, zbyt szybko — choć mi się śpieszyło do Polski — nadeszła godzina pożegnania się z tym ziemskim rajem, jakim jest Rio de Janeiro, po-

żegnanie się równocześnie z gościnną Brazylią i z wielkim kontynentem Ameryki Południowej. Było mi trudno, bardzo trudno oderwać się od tego świata, tak ciekawego, tak pięknego, obfitującego w tak nieograniczone możliwości rozwoju i życia, od tych ludzi, których tu poznałem i pokochałem, a przede wszystkim od naszego dzielnego wychodźstwa, które znalazło tu nową, drugą ojczyznę. Dobry Bóg pozwolił mi oglądać w tym kraju cudowne rzeczy, wzbogacić duszę moją potężnymi wrażeniami i głębokimi przeżyciami, pozwolił mi dokonać tu także wzniosłej misji dla Kościoła i Polski. Ta myśl podniosła mnie w tej bolesnej chwili pożegnania. Tą myślą przejęty, odprawiłem nabożeństwo pożegnalne. Ta myśl natchnęła ostatnie słowa, które podczas tego nabożeństwa wygłosiłem do drogich rodaków w Brazylii.

„Magnificat anima mea Dominum, quia fecit mihi magna, qui potens est et sanctum nomen eius — Uwielbia dusza moja Pana, albowiem uczynił mi wielkie rzeczy który mocen jest i święte imię Jego“. Dziękowałem Panu Bogu za Polskę, która dzięki Jego miłosierdziu dziś tu na ziemi brazylijskiej była między nami, reprezentowana przez polskiego ministra. Dziękowałem Mu za nasze wychodźstwo, które na kontynencie Ameryki Południowej wiarą swoją stworzyło nową Polskę, zanim jeszcze stara Polska odżyła nowym życiem. Dziękowałem Mu za Brazylię, która tak gościnnie na swej pięknej ziemi przyjęła naszych

rodaków. Dziękowałem Mu za Kościół św. katolicki, który jak w starym kraju tak i tu w nowym świecie stał się źródłem sił dla naszego narodu. Dziękowałem Mu za Kongres Eucharystyczny w Buenos Aires, który w tak przedziwny sposób wykazał, że przez Amerykę Południową idzie nowa wiosna wiary, a mnie dał błogosławioną sposobność podjęcia mej podróży apostołskiej wśród naszego wychodźstwa. Dziękowałem Mu za dokonanie mej misji i pomyślnie jej skutki, wyznając przy tym szczerze, iż sam może więcej od wychodźstwa naszego otrzymałem, niż jemu dałem. W każdym razie miałem wrażenie, że z tej podróży apostołskiej wśród nich wracam do Ojczyzny wzmocniony na duchu, z większą jeszcze wiarą w nieśmiertelne siły naszego narodu, bo widziałem cud wiary i polskości, jakiego wychodźstwo nasze tu dokonało, bez wszelkiej pomocy, li tylko z tych duchowych sił, które w duszy swej poprzez ocean przyniosło w ten nowy, nieznany świat. Tych sił Bożych, działających w naszym narodzie, trzymajmy się, tak tu w Brazylii jak w starym kraju; rozwijajmy je w jedności i zgodzie, a cud Polski będzie się powtarzał, polski naród spełni na szerokim świecie swoje dziejowe posłannictwo, powierzone Mu przez Boga Wszechmogącego“.

Tak mniej więcej mówiłem, przejęty do głębi serca tą wzniosłą chwilą. Byłem tak wzruszony, że z trudem tylko ukończyłem to ostatnie nabożeństwo dla rodaków na ziemi brazylijskiej.

a wzruszenie moje udzieliło się wszystkim na nim obecnym, tak szczupłej, grupie Polaków, bo nie duża jak już wspomniałem — jest polska kolonia w Rio de Janeiro, jako też licznym Brazylijczykom, chociaż oni słów moich nie zrozumieli. Ale zrozumieli duszę katolicką i polską, która w tej chwili przeze mnie przemawiała. Dlatego także oni po Mszy św. przed bramą kościoła przyłączyli się do serdecznego owacyjnego pożegnania, z jakim drodzy rodacy rozstali się ze mną.

Szczególnie ciężko mi było pożegnać się z ministrem dr Grabowskim. Wspólna bowiem nasza pielgrzymka — jak pięknie określił on naszą podróż poprzez kolonie wychodźstwa naszego w Brazylii — i wspólne głębokie przeżycia podczas niej wytworzyły między nami związek szczerzej przyjaźni. Lecz nie było rady, trzeba było się rozstać. Pocieszała nas atoli świadomość, że rozstanie się nie oznacza zerwania tego związku. Miłe wspomnienia wzniosłych chwil, któreśmy przeżyli w harmonijnej współpracy w służbie naszego dzielnego wychodźstwa, stale łączyć nas będą.

Oślniewający blask tropikalnego słońca spoczywał nad Rio de Janeiro, gdy o godz. 1-ej, w niedzielę 9 stycznia 1935 r., okręt mój powoli i majestatycznie odbił od wybrzeża. Z wysokiego pokładu po raz ostatni — bo chyba już nigdy tu nie powrócę — mogłem nasycić swe oczy precudnym widokiem tego najpiękniejszego miasta na świecie. Im bardziej okręt oddalał się od wy-

brzeża, tym więcej rozszerzała się panorama, tym doskonalej mogłem objąć okiem czarującą całość tego rajskiego krajobrazu. Powoli zacierały się szczegóły, zlewały się linie i kolory, coraz wyżej zdawał się unosić nad miastem i zatoką szczyt Corcovado i koronujący go biały posąg Chrystusa Zbawiciela z szeroko do błogosławieństwa rozwartymi ramionami.

Coraz bardziej zdawało mi się, jakoby wielka stolica Brazylii z milionową swoją ludnością pięła się na klęczkach po olbrzymich stopniach do tego wielkiego ołtarza, jaki niewątpliwie stanowi dla niej posąg Chrystusa na Corcovado.

To było ostatnie potężne wrażenie, jakie głęboko w duszę moją wryła ta błogosławiona, „Ziemia św. Krzyża“. Oby nią zawsze pozostała.

23. *Na powrotnej drodze przez Ocean do Polski*

Podczas trzech przeszło miesięcy mej pielgrzymki poprzez kolonie naszego wychodźstwa na kontynencie Południowej Ameryki żyłem w nieustannym napięciu wszystkich sił, tak fizycznych, jak i duchowych. Wciąż zmieniała się przede mną sceneria i narzucały mi się nowe wrażenia, wciąż czekała mnie nowa praca. Prawie nigdy nie miałem czasu na odpoczynek, ani na uporządkowanie swych wrażeń, ani też na — nudzenie się lub chorowanie. Mimo naprawdę wielkich wysiłków zawsze czułem się świeży, zdolny i chętny do pracy, zawsze gotów do przeżywania nowych wrażeń.

Ten nastrój raptownie się zmienił, gdy znalazłem się na statku, aby przez ocean wrócić nareszcie do Polski. Urwała mi się praca, a tym samym przestał działać bodziec, który mnie dotąd podniecał, podtrzymując wciąż w gorączkowym napięciu moje siły. Czułem się teraz zmęczony, wyczerpany do ostateczności, niezdolny do wszelkiej pracy, nawet do kontynuowania mego pamiętnika z podróży, i do spokojnego przetrawienia i uporządkowania w swojej duszy przeróżnych,

potężnych wrażeń, które się w niej nazbierały podczas tej przedziwnej tułaczki mojej przez wielką część olbrzymiego kontynentu Ameryki Południowej.

Ten stan apatii i zmęczenia dzięki Bogu nie trwał długo, i długo trwać nie mógł. Wszak znalazłem się równocześnie w najlepszym i najpiękniejszym sanatorium — na morzu. Sam Bóg Wszechmogący jest naczelnym lekarzem, a zarazem właścicielem tej precudnej, wielkiej lecznicy, asystentami zaś Jego są: słońce, powietrze i fale morskie. Pod błogim ich działaniem już po kilku dniach odzyskałem w pełni swoje siły, stałem się znowu świeżym, zdolnym do przyjęcia i przeżycia nowych wrażeń.

A nowych wrażeń morze wciąż dostarcza, choć zdaje się, że jest zawsze i wszędzie tym samym, zawsze i wszędzie niezmiennym. Pod tym względem morze jest podobne do wieczności, która, choć zawsze jest tą samą, wciąż z siebie wyłania nowe czasy. Jak wieczności, tak też i niezmierzoności morza nikt ogarnąć nie może. Choć znane, wciąż pełne jest nieodgadnionych tajemnic niepokojących człowieka. Stąd też morze nigdy nie nudzi, przeciwnie tak pochłania uwagę człowieka, że trudno mu się oderwać od niego, że trudno mu w jego obliczu zająć się czymś innym, jak nim samym. Tak przynajmniej na mnie oddziaływało morze. Żal mi było każdej chwili, której nie mogłem przepędzić na pokładzie, zapatrzony

w nieustanną grę fal, zasłuchany w rytm ich szumu, zaczarowany urokiem niezmierzonej przestrzeni, po której szerokimi kręgami biegają fale, wciąż ją niepokojąc, a nawzajem się rozbijając, zamysłony nad tajemniczością głębin, z której wciąż powstawają, by szybko w niej zginąć.

W Brazylii daremnie szukałem wśród gwiazd „Krzyża Południa“, tak charakterystycznego dla kopuły niebieskiej, rozpinającej się nad tym krajem, że stał się symbolem jego i dał mu nazwę „Ziemi Krzyża Południowego“. Tu dopiero na pełnym morzu, z wysokiego pomostu okrętu, skąd okiem objąć mogłem całą kopułę niebieską aż do jej zetknięcia się z morzem, zobaczyłem tę ciekawą konstelację gwiazd. Tworzy ona rzeczywiście wyraźny znak krzyża. A wydaje się, jakby krzyż ten przypięty był na długiej wstędze „Drogi mlecznej“ na piersiach nieba za pomocą trzech złocistych gwiazd, należących do konstelacji Oriona. Sam Krzyż Południa tkwi dość nisko na firmamencie, co właśnie, zdaje mi się, było powodem, że go przynajmniej o tej porze roku i o tej godzinie, w której go szukałem w Brazylii, nie mogłem odnaleźć; zasłaniały mi go widocznie góry. Nie mogłem się wprost napatrzeć na tę przepiękną konstelację gwiazd. Ale i inne zjawiska, jakie mogłem obserwować na niebie i na morzu wieczorem, gdy słońce już zaszło, budziły i podniecały moją ciekawość. Przede wszystkim uderzał mnie przedziwny kontrast między niepokoi-

jem morza a spokojem nieba, między ruchomą płaszczyzną morza a nieruchomą kopułą nieba, między ponurymi o tej porze falami a jaśniejącymi pogodnym blaskiem gwiazdami. Zagadkowym wydawał się zmysłom moim ten kontrast, bo przecież według logiki zmysłów, o ile o takiej można mówić, należałoby przypuszczać, że kopuła nieba, spoczywająca na wiecznie niespokojnych falach, powinna się chwiać, jak chwiał się wciąż posuwający się po nich okręt. A tymczasem kopuła stała mocno, niezwruszona, jakby na granitowej podstawie. Jak wiele innych nierozwiązalnych dla zmysłów zagadnień, tak i tę zagadkę dopiero rozwiązać może nauka, wnikać przez pozory w samą istotę rzeczy.

Podróż moja przez ocean i morze Śródziemne, od Rio de Janeiro aż do Genui, trwała od 20 stycznia do 1 lutego, a więc zaledwie 11 dni. W tym krótkim jednak czasie przeżyłem wszystkie pory roku. Gdy wyjechałem z Rio de Janeiro było pełne, tropikalne lato. W pierwszych dniach podróży na okręcie panowały takie upały, że, by móc je wytrzymać, trzeba było ubrać się jak najlżej, a w nocy w kabinie, choć była bardzo wygodna i przestronna, trzeba było puścić w ruch aż dwa wentylatory. Dopiero gdyśmy przekroczyli równik, powietrze stało się chłodniejsze, świeższe, tak jak u nas w porze wiosennej. W Dakar znów, na kontynencie afrykańskim, wiał zimny jesienny wiatr, jesienny też był nastrój

przyrody, a gdyśmy płynęli wzdłuż wybrzeża hiszpańskiego, widzieliśmy góry pokryte już śniegiem. Wreszcie w Genui trzeba było wyciągnąć z walizy futro, by zabezpieczyć się przed ostrą zimą, która tu panowała. Ciekawe to zaiste przejście z pełnego lata do pełnej zimy w przeciągu kilku dni. I dziwna ta siła słońca, które choć na całym świecie jest jednym i tym samym, w różnych jednak częściach jego różne wywołuje skutki i objawy. Widocznie także i słońce, jak wszelkie inne siły na świecie — nie jest wszechwładne, ale w swej działalności zależne od innych sił i od warunków, w jakich mu działać wypada. I dobrze, że tak jest, inaczej świat stałby się jednostajnym i nudnym, życie nie byłoby tak bogatym w swej różnorodności i zmienności, jakim jest rzeczywistość. A jest tak z woli Boga Wszechmogącego, który stworzywszy ten świat i utrzymując go, tak go urządził, by w swej różnorodności i zmienności dał człowiekowi jak najwięcej możliwości oraz środków do rozwinięcia i kształtowania swego życia.

Okręt „Conte Grande“, który nas tym razem niósł przez ocean, należy do największych jednostek włoskiej floty pasażerskiej. Pasażerów atoli było na statku tym razem bardzo mało, we wszystkich trzech klasach razem tylko 150, z tych w pierwszej 40. A jak mnie poinformowano, właściwie nigdy liczba ich nie jest wysoka. Sama zaś załoga okrętu liczy około 500 ludzi. Oczywiście przy tak małej liczbie pasażerów jest wykluczo-

nym, by należytością za przejazd, uiszczoną przez nich, zostały pokryte faktyczne koszty, jakich wymaga jednorazowy przejazd tego olbrzyma przez ocean. Mówiono mi, że do każdej przeprawy przez Atlantyk, z Genui do Buenos Aires i z powrotem, rząd włoski dopłaca olbrzymią sumę, jeżeli się nie mylę, 2.000.000 lirów, czyli około miliona złotych. Wprawdzie okręt należy do towarzystwa prywatnego, nie do państwa, ale Mussoliniemu, wodzowi państwa włoskiego, zależy na tym, by utrzymać tę dla prestiżu włoskiego tak ważną linię okrętową między Europą i Ameryką Południową, poza tym na wypadek wojny, jak niedawno z Abisynią, chce on mieć do dyspozycji wielką flotę handlową i pasażerską, by móc ją użyć dla przewożenia wojska i amunicji. Kierując się tymi powodami rząd włoski pokrywa z funduszków państwowych deficyty, które pociąga za sobą utrzymanie tej linii i floty. Kosztowna to, ale niewątpliwie mądra i przezorna polityka. Ze względów też prestiżowych rząd włoski czuwa nad tym, by włoska flota pasażerska i handlowa przedstawiała się pod każdym względem wzorowo. Statki pasażerskie są nowoczesne, wygodne, niekóre z nich, jak właśnie „Conte Grande“, urządzone z największym komfortem, nawet wprost luksusowo, kapitan i inni oficerowie i funkcjonariusze są widocznie wysoko wykwalifikowani, marynarze karini, służba okrętowa grzeczna, dobrze wyszkolona. Na każdym większym okręcie jest kaplica i kape-

lan okrętowy, nie mówiąc już o innych urządzeniach, służących bezpieczeństwu i wygodzie pasażerów. Podróżowałem już różnymi okrętami, ale na żadnym nie czułem się tak dobrze i bezpiecznie jak właśnie na włoskim.

Po ośmiodniowej podróży przez Atlantyk, podczas której na olbrzymiej jego przestrzeni rzadko tylko spotykaliśmy inne statki, 28 stycznia dołączyliśmy do portu Dakar na wybrzeżu kontynentu afrykańskiego. Bardzo ciekawy był wjazd do portu między skalistą wyspą a równie skalistym półwyspem, wybiegającym z wybrzeża daleko w morze w kształcie olbrzymiego sierpa księżycowego. Sam port jest obszerny, już nowocześnie urządzony przez Francuzów, do których należy ta część Afryki.

Statek nasz zatrzymał się w Dakar przez kilka godzin, czas wystarczający, by przy pomocy szybkiego samochodu odwiedzić choć pobieżnie miasto i najbliższe jego okolice. Położone na najdalej na zachód wysuniętym na Atlantyk punkcie kontynentu afrykańskiego, a tym samym najbliższym Ameryki po drugiej stronie morza, bliższym niż każdy inny punkt w Europie, Dakar stało się naturalną odskocznią dla aeroplanów do lotu z Afryki i Europy przez ocean do Ameryki Południowej. Z tej też odskoczni odleciał nasz polski lotnik kpt. Skarżyński do Brazylii. Loty te są dziś jeszcze rzadkie. Ale przewidując szybki rozwój lotnictwa na tej linii, Francuzi dziś już

tworzą tu na płaskowzgórzu ponad miastem olbrzymi port lotniczy. Posiadając przy tym, jak wspomnieliśmy, także wygodny port dla ruchu okrętowego, Dakar szybko się rozrasta na wielką metropolię handlową i komunikacyjną o wszechświatowym znaczeniu. Już dziś miasto przedstawia się poważnie, jest planowo rozbudowane, ma szerokie, asfaltowane ulice, wzdłuż których ciągną się długim sznurem ładne gmachy w nowoczesnym, przeważnie europejskim stylu, wśród nich wspaniała nowa katedra, reprezentacyjny pałac gubernatora i inne gmachy publiczne. Na zboczach długiego, górzystego półwyspu, na którym rozłożyła się najpiękniejsza dzielnica miasta, widać dużo bogatych will. Wszystko jest nowe, świeże, jakby dopiero wczoraj stworzone. Zdawałoby się, że jest to nowoczesne miasto europejskie, gdyby ruch na ulicach nie przypominał na każdym kroku, że znajdujemy się na czarnym kontynencie, w Afryce. Nigdzie jeszcze nie widziałem tyłu czarnych co tutaj, biali wśród nich wprost znikają. A czarni posuwają się na ulicach nie jakby jakiś dziki, przełęczony, niecywilizowany tłum, lecz ze swobodą, powagą i godnością, a co mnie szczególnie uderzyło — z uśmiechem zadowolenia na lśniących jak polerowany czarny heban twarzach, jakby oni, a nie Francuzi byli tu panami. Wrażenie robią bardzo dodatnie, są przeważnie wysokiego wzrostu, twarze ich są piękne raczej niż brzydkie. Biedy i nędzy wśród nich nie

widać. Są też dobrze ubrani, albo, co rzadziej, po europejsku, albo w długie podobne do togi, na ogół czyste, niekiedy śnieżno - białe suknie, sięgające aż do samych kostek, gładko ogolone ich głowy zdobią wysokie fezy. Widać, że Francuzom udało się wszczepić w nich trochę przynajmniej zewnętrznej kultury europejskiej i wciągnąć ich w orbitę swej pracy cywilizacyjnej. Byłem za krótki czas w Dakar, by móc stwierdzić, czy kapitaliści francuscy wyzyskują ich jako tanie i nieświadomione siły robocze, jak to niestety się dzieje w koloniach. Zauważyłem atoli w mieście dużo urzędników policyjnych i oficerów rasy murzyńskiej, co świadczyłoby o tym, że rząd francuski szczerze stosuje zasadę równouprawnienia rasy czarnej z białą w tej, jak i w innych koloniach swoich.

W każdym razie kontrasty cywilizacyjne w Dakar są jeszcze bardzo silne. Zauważyłem to szczególnie podczas krótkiej wycieczki samochodem w okolice miasta do dwóch wsi murzyńskich. Prowadzą do nich wspaniałe nowoczesne drogi asfaltowane, jakich lepszych trudno znaleźć w Europie, szczególnie u nas w Polsce. Wzdłuż nich, zaledwie o kilka kilometrów od wielkiego miasta zbudowanego na wzór europejski, rozłożyły się istne kłębowniska prymitywnych, brudnych chat, rojące się od murzynów, a szczególnie od nagich i półnagich dzieci, równie krzykliwych, hałaśliwych jak dorośli, zwłaszcza kobiety, prawie każda

z nich z czarnym jak smoła dzieckiem w rorku na plecach. Widocznie tak jak nasze towarzystwo z Conte Grande, często tu przyjeżdżają turyści, by zobaczyć ten ciekawy fragment półdzikiego afrykańskiego życia. Czarni bowiem nauczyli się już wykorzystywać te wizyty turystów w ich wioskach, by zarobić na nich kilka groszy, czy to wykonując prymitywne tańce, zresztą przyzwoite, czy to pozwalając się fotografować. Na ogół wrażenie tych murzyńskich wsi i życia w nich jest przykre, tym przykrzejsze, że i krajobraz jest ponury. Ziemia szara, piaszczysta, zaledwie tu i tam widać pojedyncze, dziwaczne, grube drzewa, jakby spuchnięte i pokręcone od artretyzmu, bez zieleni, może to jednak dlatego, że o tej porze roku więcej tu zimne, jesienne wiatry. Powietrze jest przesiąknięte drobnym piaskiem, nadlatującym chmurami wprost z pobliskiej wielkiej afrykańskiej pustyni Sahary. Chmury te są tak gęste, że zasłaniają niebo, osłabiają działanie promieni słońca, a opuszczając się na ziemię, utrudniają rozwój życia przyrody. Z wielkim wysiłkiem próbowano, niedaleko od miasta, stworzyć ogród botaniczny z okazami afrykańskiej flory. Chlubią się nim mieszkańcy Dakar jako szczególnie ciekawą osobliwość, którą należy zwiedzić i podziwiać. Zwiedziliśmy ją, jednak trudno tu było coś podziwiać, chyba sam rozpaczliwy wysiłek stworzenia na tych beznadziejnych piaskach ogrodu botanicznego. Natomiast widocznie dobrze rozwija-

ją się na tej ziemi fabryki, magazyny i składy, ciągnące się, jak zauważyłem, całymi kilometrami, prawie nieprzerwanym szerokim pasem wzdłuż wybrzeża.

Niewątpliwie życie w tym środowisku murzyńsko - europejskim, dla Europejczyków przynajmniej, nie jest zbyt przyjemne. Mimo to miasto szybko się rozwija. Tak już jest na świecie, że ludzi kuszą do osiedlenia się w pewnych miejscowościach bardziej widoki wzbogacenia się aniżeli widoki pięknej przyrody. A możliwości wzbogacenia się są widocznie w Dakar bardzo duże. Warto dla nich zrezygnować z pięknych widoków na kraj i innych przyjemności. Poza tym nie bez słuszności powiedzieć można, że gdzie tworzą się bogactwa, tam można też z czasem urządzić sobie wygodne i przyjemne życie, można nawet pracą, wiedzą i sztuką ludzką poprawić braki przyrody i upiększyć ją, przynajmniej ujarzmić i unieszkodliwić działające w niej wrogie człowiekowi siły.

I Rio de Janeiro było niegdyś, jak wspomnieliśmy, piekłem dla człowieka, a dziś stało się rajem. Nie ma dziś miejsca na świecie, gdzieby człowiek nie mógł się osiedlić i stworzyć sobie znośnych warunków życia. Trudne są tylko początki. Dakar, zdaje się, uporało się już z nimi i znajduje się na drodze do wielkiej przyszłości.

Do słynnej cieśniny Gibraltaru jakoś nie mam szczęścia. Jak w drodze do Ameryki, tak też teraz w powrotnej drodze do Europy tak się złoży-

ło, że przejazd przez nią wypadł nam w nocy. Ciekawość jednak nie pozwalała mi przespać tej chwili, kiedy — było to już po północy — okręt nasz przepływał tę wąską szczelinę morską, dzielącą Europę od Afryki, a łączącą Atlantyk z morzem Śródziemnym. Wskutek ciemności nie mogłem wprawdzie rozpoznać linii wybrzeża jednego i drugiego kontynentu, liczne jednak światła, wylaniające się z ciemności po obu stronach okrętu zdradzały mi, że dwa te wielkie światy, tak różne, tu zbliżają się do siebie nieomal tak, jak dwie przeciwnie strony szerokiej, wielkomiejskiej alei. Przynajmniej tak zdawało mi się, niewątpliwie pod wpływem fantazji, upraszczającej sobie faktyczne wrażenia.

Jak „Oceania“ w drodze do Ameryki, tak też „Conte Grande“ w drodze do Europy zatrzymał się przez kilka godzin w piękny, słoneczny, lecz chłodny poranek w Barcelonie na wybrzeżu hiszpańskim. Miałem więc nową sposobność odwiedzenia tego ruchliwego, wciąż niespokojnego miasta portowego. Korzystałem z niej bardzo skwapliwie, przypominając sobie, że w kilka dni zaledwie po pierwszym moim tu pobycie przeszła przez to miasto krwawa rewolucja komunistyczna, zgnieciona w krótkim czasie przez ówczesny rząd. Byłem więc bardzo ciekawy, jaki obecnie panuje nastrój wśród ludności.

Przechadzając się bez planu ni przewodnika po głównych ulicach, od razu zauważyłem, że nad

miastem ciąży jeszcze groźna atmosfera, że ludność nie wróciła jeszcze do równowagi. Przede wszystkim uderzył mnie brak owego charakterystycznego, a szczególnie dla człowieka z północy tak ciekawego nastroju, jaki wytwarza zazwyczaj krzykliwe, hałaśliwe, a przy tym swobodne życie w wielkich południowych miastach portowych z ludnością o gorącym na ogół i wesołym temperamentem. Wprawdzie główne ulice przepełnione były tłumem ludzi, ale posuwali się po nich z jakąś dziwnie ponurą powagą, bez krzyku, hałasu, prawie milcząco. Wszędzie widać było silne oddziały policji, zaopatrzone w karabiny, i pilnie obserwujące ruchy mas. Jak wykazały dalsze wypadki, ówczesny rząd hiszpański zdołał wprowadzić zgnieść rewolucję, ale nie zdołał opanować i unieszkodliwić ruchu komunistycznego. Dziś przez nieszczęśliwy ten kraj przechodzi znowu niebezpieczna fala komunistyczna. Czy i tym razem Hiszpania będzie w stanie opanować ją w krótkim czasie? Na to, niestety, na razie się nie zanosz. Wątpić jednak nie można, że katolicka dusza narodu uwolni się ostatecznie od wschodniej trucizny, jaką wnieśli w nią komuniści z Bol-szewii przy pomocy masonerii i żydów.

Mając sporo czasu, wstąpiłem także do kilku kościołów, jakie zauważyłem błędząc po ulicach. Jeden z nich, zdaje się, że był to kościół św. Anny — był wewnątrz tak ciemny, iż zdawało mi się, że znajduję się w katakumbach. Tym silniej ciem-

ność ta uderzyła mnie, że ulica, przy której kościół leży, tonęła wprost w jaskrawym świetle słońca. Nawet liczne lampki elektryczne nie mogły przeniknąć tej ciemności. Dopiero po kilku chwilach oko tak się przystosowało do tych dziwnych warunków oświetlenia, że mogłem podziwiać nader bogate wnętrze tej świątyni, rozpoznać liczne jej ołtarze i zauważyć gorliwe przed nimi modlące się grupki ludzi.

Ciemne jest także wspaniałe wnętrze Katedry. Olbrzymia ta świątynia, stanowiąca jeden z najpiękniejszych pomników hiszpańskich średnio-wiecznego gotyku, wyrasta z pośród starych czcigodnych, ciasno ją otaczających gmachów o surowym, fortecznym stylu, sama podobna do ogromnej fortecy. Całość przedstawia się groźnie, a przy tym malowniczo. Wskutek ciemności trudno jest okiem objąć obszerne i wysokie wnętrze z precudnym gotyckim sklepieniem, tym trudniej, że w pośrodku nawy głównej, podobnie jak w Katedrze Krakowskiej na Wawelu, wznosi się jakby drugi kościół. Jest to chór kapłański, czyli to miejsce, gdzie kanonicy i duchowieństwo katedralne odśpiewują godziny brewiarzowe. Gdzie indziej dzieje się to zazwyczaj w prezbiterium przed Wielkim Ołtarzem w tzw. stallach. I tu w Katedrze spostrzegłem rzesze modlących się, szczególnie w podziemnej kaplicy pod Wielkim Ołtarzem, gdzie spoczywają w alabastrowym grobowcu szczątki św. Eulalii, patronki Barcelony,

męczenniczki z trzeciego wieku po Chrystusie, tak samo w kaplicy przed zwłokami św. Rajmunda z Pennafort, słynnego uczonego Dominikanina z wieków średnich, a także przed innymi ołtarzami, zwłaszcza przed Przenajświętszym Sakramentem. Widocznie wielka część ludności Barcelony mimo ruchu komunistycznego, niepokojącego to wielkie miasto, wierną pozostała swym tradycjom katolickim. Daj Boże, żeby z tych świetnych tradycji wyrósł nowoczesny czyn katolicki, który by odnowił i uporządkował publiczne życie tego tak nieszczęśliwego kraju, żyjącego wciąż w gorączce rewolucyjnej.

W powrotnej drodze do portu już blisko niego, uderzyła mnie swoją monumentalnością jeszcze inna świątynia. Jak się dowiedziałem, był to kościół poświęcony Matce Boskiej Morskiej — Santa Maria del Mar. W przeciwieństwie do innych kościołów wewnątrz jest przestronny, przejrzysty i pełen światła, przedzielony długimi szpalerami smukłych, wysokich kolumn na kilka naw, a dominuje dwiema również smukłymi, bardzo wysokimi wieżami nad całą dzielnicą portową, która się skupia około niego.

Po długiej podróży przez ocean, droga z Barcelony do Genui wydała mi się krótką, a morze Śródziemne, przez które nas wiodła — małym. A jednak to małe morze dało mi bardziej odczuć swoją złowrogą siłę niż wielki ocean, jak gdyby przy samym końcu mej podróży chciało mnie po-

uczyć, że ono wcale nie musi być tak łagodnym, jakim się dotąd mi okazywało. Rozpętało więc swe fale, rzucając je wściekle na okręt, tak że mimo wielkości swej i ciężkości począł się kołysać jak huśtawka; rozdmuchało lodowe wiatry, że trudno było wytrwać na otwartym pokładzie. Wytrzymałem jednak, ponieważ nawet w gniewie swym morze nie traci nic ze swego majestatu, przeciwnie objawia go w całej jego żywiołowej, groźnej sile.

Niedługo jednak trwał ten szal morza. Gdy w następny dzień, po niespokojnej nocy, wyszedłem w czas rano na pokład, już się było uspokoiło. Okręt nasz właśnie zbliżał się do portu Villefranche na francuskiej Riwierze. Tu krótko tylko się zatrzymał, a potem już płynął bez przerwy wciąż wzdłuż słynnej ze swej piękności Riwieri aż do Genui. W blasku słońca przesunęły się przed naszymi oczarowanymi oczyma na tle skalistego, promieniami słonecznymi jakby ozłoconego pasma wzgórz, owe precudne miejscowości, które zdobią Riwierę francuską i włoską, jakby kosztowne perły, wyrzucone z morza na wąskie wybrzeże: Villefranche, Beaulieu, Monaco, San Remo i inne.

A nareszcie wjazd do portu samej Genui. Kilkakrotnie już zwiedziłem to wielkie miasto portowe. Słusznie Włosi nazywają je „Genova la Superba“ — „Przepyszną Genuą“. Jest nią naprawdę. Takie zawsze miałem wrażenie. Pierwszy raz widziałem ją teraz od strony morza z wyso-

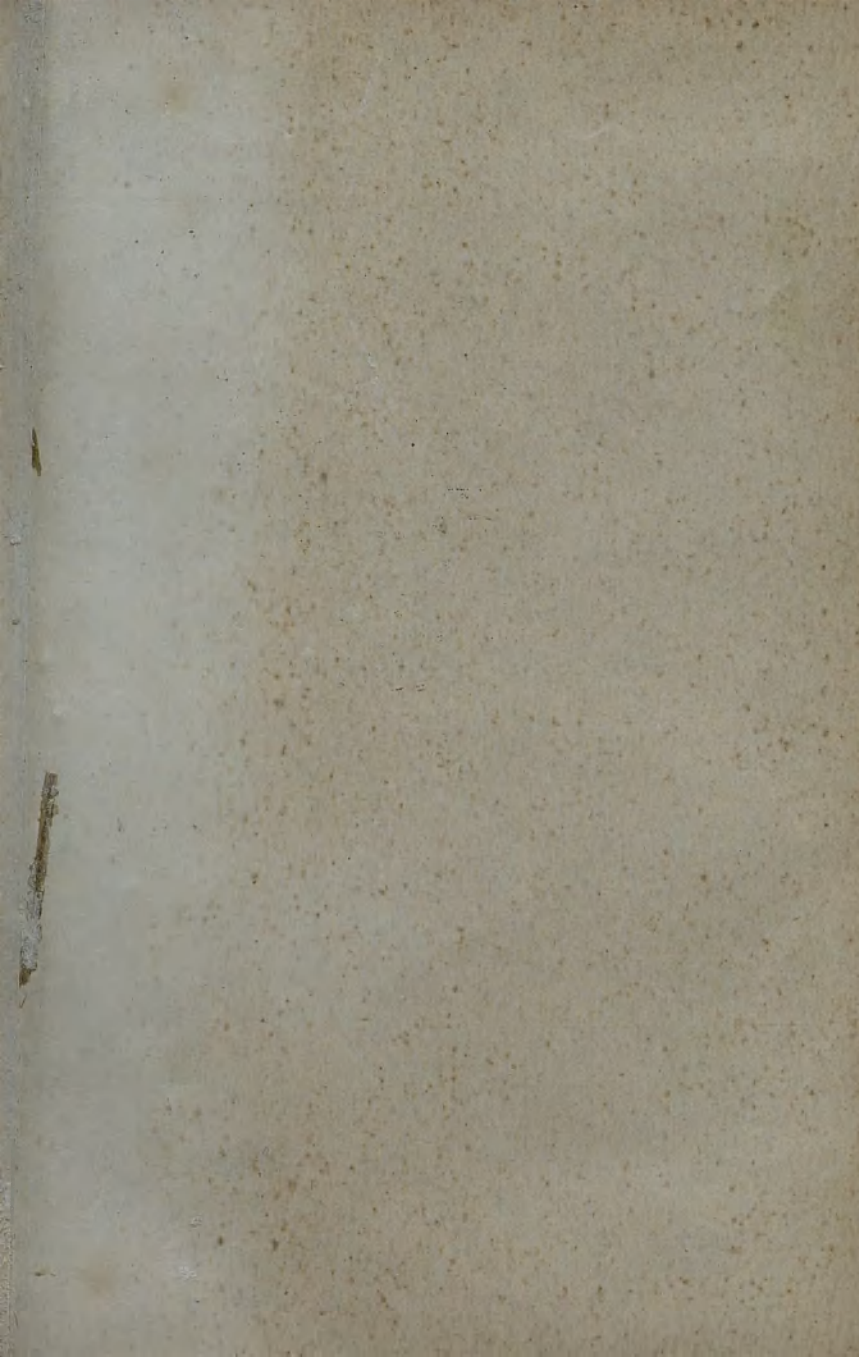
kiego pomostu naszego okrętu, ostrożnie i powoli wpływającego do portu wśród niezliczonych innych statków, dążących w różnych kierunkach olbrzymiej zatoki. I muszę powiedzieć, że dopiero teraz, kiedy jednym spojrzeniem mogłem objąć całość krajobrazu, objawił mi się cały przepych tego miasta, pnącego się po tarasach od brzegu morza aż do szczytów otaczających go w półkole skalistych wzgórz. Tak czarujący był ten widok, że dopiero w ostatniej chwili oderwałem się od niego, gdy już inni pasażerowie opuścili statek, rozjeżdżając się koleją na wszystkie strony Europy.

Sam też ze statku udałem się na bliski dworzec kolejowy, by po tylu miesiącach jeszcze tego samego dnia — było to 1-go lutego — przez Włochy, Austrię i Czechosłowację wrócić do ukochanej Ojczyzny, z sercem pełnym wdzięczności dla Boga, że pozwolił mi przeżyć tyle potężnych wrażeń w tej przecudnej podróży i spełnić przy tym tak piękną misję religijną wśród naszych rodaków na drugiej półkuli ziemi.



T R E Ś Ć

	str.
Słowo wstępne	5
1. Na falach Morza Śródziemnego i Atlantyku . .	7
2. Z Rio de Janeiro do Buenos Aires	20
3. Powszechny Kongres Eucharystyczny w Buenos Aires	31
4. Nasz udział w Kongresie Eucharystycznym . .	41
5. Wśród naszego wychodźstwa w miastach Urugwaju i Argentyny (Montevideo, Buenos Aires, Cordoba, Rosario i Santa Fe)	49
6. Nowe życie polskie na ruinach starej kultury jezuickiej w Misjones	76
7. Z Argentyny do Brazylii przez rzekę Urugwaj . .	100
8. Guarany, typowa parafia w interiorze Brazylii .	110
9. Przez stepy i bory stanu Rio Grande do Sul . .	124
10. Porto Alegre	145
11. Mariana Pimental i Sao Feliciano	157
12. Pelotas i Rio Grande	175
13. Z Rio Grande do Kurytyby	187
14. Kurytyba	195
15. W starych koloniach polskich w okolicy Kurytyby	218
16. Polskie Boże Narodzenie w brazylijskich borach	234
17. Malet i Irati	249
18. Prudentopolis	263
19. Alto Paraguassu i Cruz Machado	274
20. Ponta Grossa	291
21. Sao Paulo	304
22. Znowu w Rio de Janeiro	314
23. Na powrotnej drodze przez ocean do Polski . .	341



Biblioteka Śląska

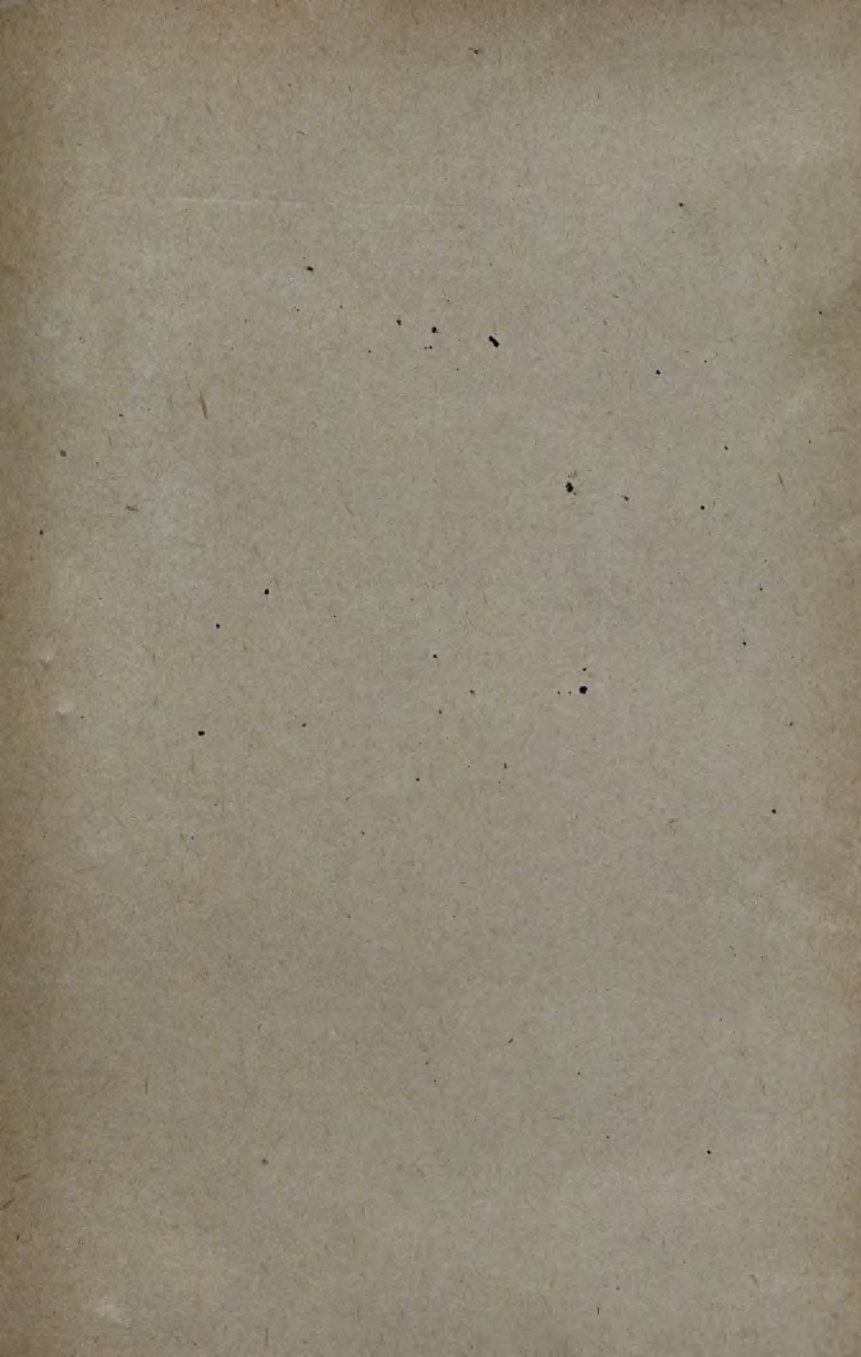
182572

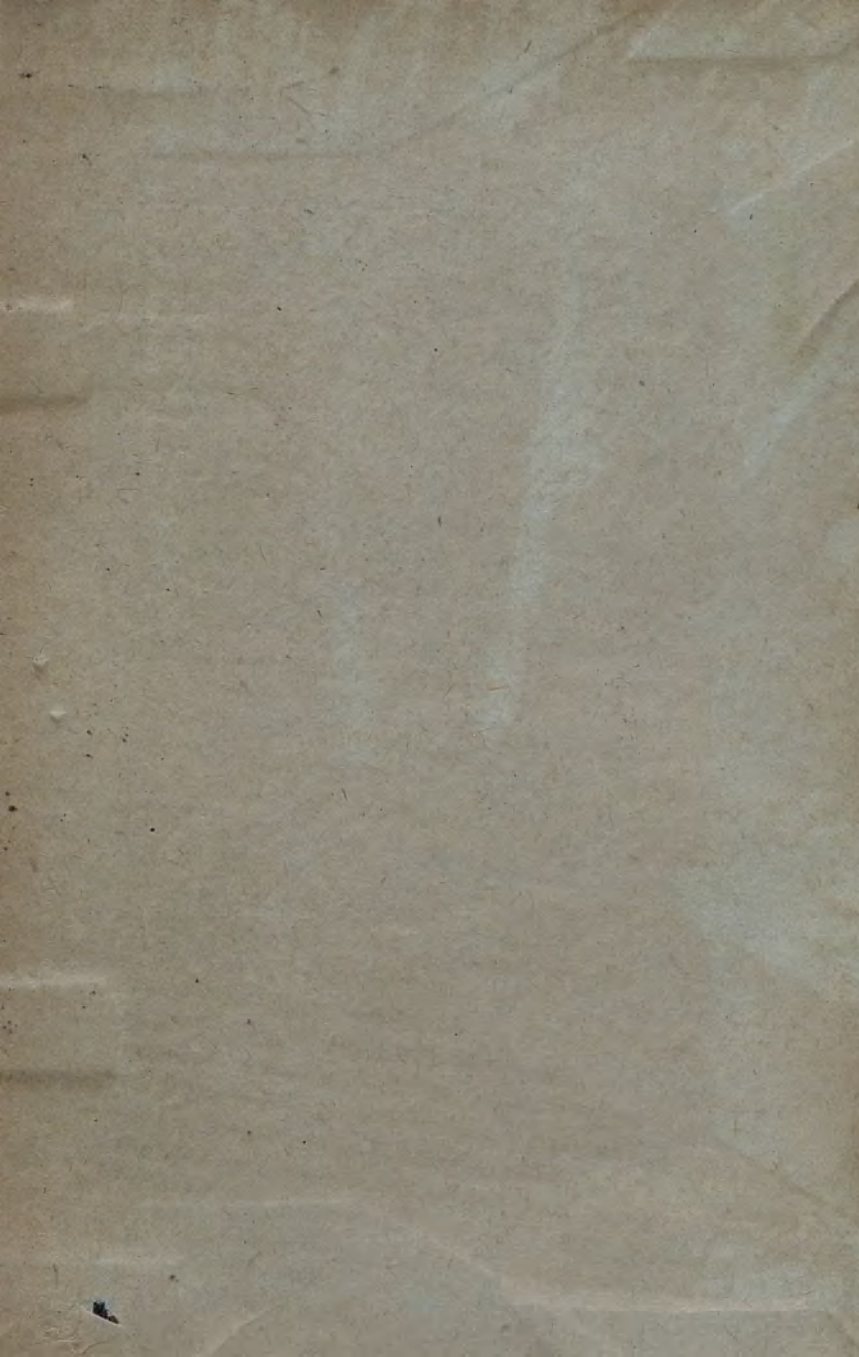
I

PL.

kdd — 496/63 90000 szt.







Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000617339



I 182572